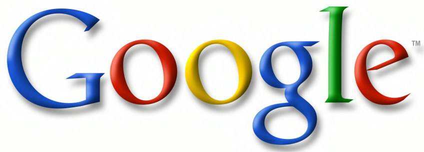





LELAND STANFORD JUNIOR UNIVERSITY
ORGANIZED 1891

Rok 1863

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.

Stanisław Koźmian

Rok 1863

Tom I

WARSZAWA
Skład główny w księgarni JANA FISZERA
Nowy-Świat 9
1903

Дозволено Цензурою.
Варшава, 30 Сентября 1902 года.

ROZDZIAŁ I.

Cel i rozkład książki.

Wszyscy zawinili w wypadkach, nad któremi zastanowię się.

Pragnę, aby same przemówiły, najdzielniej bowiem nauczają tych prawd, od których zbawienie narodów zawisłem jest.

Wobec podobnych zadań powstaje pytanie: czy nie zawcześnie, czy nie zapóźno?

Nigdy zawcześnie, ani zapóźno podać do wiadomości ogółu, co się wié o przyczynach narodowej klęski, aby te stały wciąż przed oczyma społeczeństwa, jako nauka i przestroga; nie jako nieubłagane już *Mane Tekel Fares,* ale jako drogowskaz na stromej ścieżce, po której przyszło mu kroczyć.

Zadaniem mojem będzie rozłożyć odpowiedzialności, rozróżnić winnych od współwinnych, sprawców złego od tych, którzy mu przeszkodzić ani zaradzić nie potrafili; tych, którzy klęskę zgotowali od tych, któ-

rzy, chcąc ją zażegnać, rozszerzyli jej rozmiary; wykazać wreszcie przyczyny obłędu jednych, pomyłki drugich. Pragnę zatem wytłómaczyć, dlaczego w błędzie popełnionym przez nierozważnych wzięli udział roztropni i dlaczego zaszli tam, gdzie wiódł bezrozum, lekkomyślność, w końcu szał.

Nie dzieje powstania 1863 r. zamierzam skreślić. Znamieniem tej epoki i jej karą będzie, że znajdą się jej historycy, lecz historyi swej mieć nie będzie.

Opowiem w *Części Pierwszej*, jak pamiętam i jak mi wiadomym jest przebieg wypadków, oraz smutnego dla mnie wspomnienia, własny w nich udział; będzie to bowiem wytłómaczeniem postępowania szczupłego grona, które po roku 1863 skupiło się około *Przeglądu Polskiego*, będzie zarazem przedstawieniem powodów, zachowania się wobec powstania 1863 r. znacznej części zachowawczych w polskiem społeczeństwie żywiołów.

Doprowadzi mnie to do określenia stanowiska, zajętego przez Galicyę w 1863 r.

W *Części Drugiej* zbadam przyczyny dalsze i bliższe, błędu jednych, pomyłki drugich, wspólnej wszystkim winy. Zaznaczę znamiona tych czasów; ocenię ludzi i wypadki, które nie tylko na losy narodu polskiego wpłynęły, ale światowe miały znaczenie, doniosłość i następstwa.

Zapiszę w końcu zmianę, jaką rok 1863 sprowadził w położeniu narodu polskiego; zwrot w wyobrażeniach, którego wyrazem stała się szkoła, wytworzona przez to szczupłe grono, którego udział w wypadkach 1863 r. opiszę w *Części Pierwszej*, a które następnie

zajęło w sprawach publicznych, zwłaszcza w publicystyce odrębne stanowisko. Wskażę jak, i w jakiej mierze ta szkoła wpłynęła na ów zwrot, jak zrozumiała zmienione położenie narodu.

Nie danem mi jest narodowych tryumfów opisywać, ani własnych lub przyjaciół zapisać powodzeń. Mam opowiedzieć i zastanowić się nad klęską wszystkich, błędami wszystkich spowodowaną.

ROZDZIAŁ II.

Wybuch powstania. Zapatrywanie się na ten wypadek i rozumowanie. Pierwsze wiadomości z Paryża. Przyjazd do Krakowa wraz z Ludwikiem Wodzickim. Jakie postanowienie ma powziąść Galicya? Spisek i *Ława*. Konserwatyści i ich usposobienie. *Czas*. Różne teorye. Niema widoków obcej pomocy. Parcie spisku i ruchu. Stawiamy opór. Komitet dla rannych. Półśrodek. Dalsze wiadomości z Paryża usuwają wszelkie nadzieje obcej pomocy. Powstanie nie na rękę cesarzowi Napoleonowi. Głosy półurzędowych dzienników francuskich. *Monitor* o powstaniu. Mowa ministra bez teki Billault. Zdążamy do potępienia powstania. Przedtem znosimy się z *białymi* w Warszawie. Ich odpowiedź. Żądamy stanowczego słowa od *Hotelu Lambert*.

Byłem na wsi w Dobrzechowie, gdy nadeszła wiadomość o wybuchu w drugiej połowie stycznia 1863 r. zbrojnego powstania w *Królestwie Polskiem*.

Wychowanie, tradycye, wyobrażenia, którym ulegałem, atmosfera, w której żyłem, stosunki osobiste, wiadomości, jakie o położeniu politycznem miałem; wszystko kazało mi wnioskować, że powstanie stanie się nieszczęściem dla mojego narodu; zarazem jednak myśl moja zwróciła się natychmiast w jedyną stronę,

od której wówczas oczekiwać można było przychylności, poparcia lub obrony sprawy polskiej, w stronę Francyi i jej władcy cesarza Napoleona III. Wiedziałem, że powstanie nie mogło być na rękę cesarzowi Napoleonowi, że go nie tylko nie doradzał, ale odradzał; przecież tak wielką była wiara w niego, tak zresztą uzasadnionem przekonanie, iż nie tylko sprzyja odrodzeniu Polski, ale że się niem zajmuje i obejmuje je postawioną przez siebie zasadą narodowości, iż przypuszczałem wraz z wielu innymi, że w krytycznej chwili nie opuści jej, a mniemałem, że podoła zadaniu, raczej tak dalece ufałem w jego przewagę i wszechpotęgę, że się nad możnością nie zastanawiałem, a tak przekonany byłem o jego wyższości umysłowej, iż wierzyłem, że bezskutecznie sprawy nie podniesie. Dlatego w następujący sposób rozumowałem. Powstanie jest zgubnem, przecież rozstrzygającem będzie zachowanie się wobec niego cesarza Napoleona. Wiem, że dziś po nabytych doświadczeniach i w obecnym nastroju umysłów, rzec można.

„Trzeba było powiedzieć sobie odrazu, na nic i na nikogo oglądać się nie potrzeba. Wojna o Polskę jest niemożliwą, wojny takiej, pomimo zamiarów w sprawie polskiej Napoleona III, nie będzie; nie wywoła jej odradzane, bezrozumne powstanie. Cesarz Napoleon choćby chciał, nie zdoła podnieść oręża. Zatem—powstanie jest i pozostanie największem dla narodu nieszczęściem, stanie się przyczyną klęski stanowczej.“

Mijałbym się z prawdą, wprowadzałbym rozmyślanie w błąd, gdybym twierdził, że zdolny byłem za-

równo jak moi przyjaciele, wówczas, podobnego rozumowania. Rzecz się miała wprost przeciwnie.

Tak trzeźwo zresztą sądzić o położeniu mogą tylko ludzie oceniający wypadki po ich spełnieniu, z punktu widzenia czasów, w których żyją, nie zaś tych, w których zaszły zdarzenia. Taki sąd nie jest jasnowidzeniem historycznem, lecz prorokowaniem przeszłości.

Ludzi i wypadki należy nie uniewinniać, ale sądzić, uwzględniając wychowanie, czynniki i siły moralne oraz materyalne epoki, w której żyli i działali, stanowisko, z którego patrzyli na położenie. Inaczej nie można mieć ani jasnego i zdrowego o nich pojęcia, ani też o błędach przez nich popełnionych.

Moje zaś rozumowania — jak się to okaże — były wynikiem wyobrażeń i czynników epoki, oraz osobistych stosunków. Rozumowanie to znamionuje owe czasy i ludzi tych samych, co ja przekonań i zapatrywań. Stało się nicią przewodnią dla owego szczupłego grona, które później założyło *Przegląd Polski*, a które tu nazwę—*gronem krakowskiem*; z oka wśród tego opowiadania spuszczać go nie należy, chcąc sobie zdać sprawę z wypadków i udziału w nich.

Wychodząc z powyższego założenia, wyczekiwałem z gorączkową niecierpliwością pierwszych od mojego ojca z Paryża wiadomości; przez stosunki, które miał ze światem urzędowym, a zwłaszcza hrabią Walewskim wtedy ministrem stanu, był on w możności zdania lepiej niż ktokolwiek dokładnej sprawy, nietylko z wrażenia, jakie wybuch powstania wywołał tam w kołach rządowych, ale także z zapatrywania się

rządu cesarskiego i samego cesarza, na ten wypadek, oraz z postanowień jego, które musiały być dla nas rozstrzygającemi.

Nie mniej skwapliwie oczekiwałem zdania ludzi, skupiających się wraz z moim ojcem, około ks. Władysława Czartoryskiego w *Hotelu Lambert*, z którymi łączyła mnie tożsamość przekonań, acz może nie zawsze zapatrywań. Tworzyli oni tak zwane *Biuro* paryskie *Hotelu Lambert*, kierujące polityką emigracyjną ks. Czartoryskich. Składało się ono ze znanych w społeczeństwie polskiem znakomitych ludzi, a pozostawało w Galicyi w stosunku z Tarnowskiemi Janem i Stanisławem, z Ludwikiem Wodzickim i ze mną.

O *Biurze* powiem obszerniej w *Części Drugiej*.

Wiedziałem, że ks. Czartoryski znosił się bezpośrednio z cesarzem.

Na razie powstanie musiało się każdemu rozsądnemu a miłującemu naród człowiekowi, wydać błędem, przedsięwzięciem szalonem, niczem nieuzasadnionem, podjętem w najniestosowniejszej chwili, krokiem chorobliwej i bezpodstawnej rozpaczy, słowem — nieszczęściem.

Nastąpiło w pierwszej chwili łatwe do zrozumienia oszołomienie, jako następstwo nadzwyczajności i niesłychaności przedsięwzięcia, oraz pierwszych, acz drobnych przecież niepojętych jego powodzeń.

Ulegaliśmy tym uczuciom i wrażeniom; przecież odczuwałem wraz z moimi przyjaciółmi, instynktowny wstręt do tak lekkomyślnie użytego środka, a to co wiedziałem o stosunkach europejskich, nie pozwalało

oprzeć na nich usprawiedliwienia dorywczego i zuchwałego czynu.

Zrozumieliśmy, iż stanie przed Galicyą pytanie i zadanie, że przyjdzie i nam na pierwsze odpowiedzieć, a drugie podjąć.

Pierwsze listy odebrane z Paryża od mojego ojca, były wyrazem przerażenia i potępienia zaszłego, lekkomyślnego powstania. Tłómaczono je sobie jedynie rozpaczą wywołaną wyjątkowym poborem, którego wyśrubowane i przesadnie przedstawione okrucieństwo, nadało mu już było nazwę proskrybcyj. Ani cesarz Napoleon, ani rząd cesarski, ani Walewski, a wskutku tego także *Hotel Lambert*, najmniejszej nie dodawali otuchy, najmniejszej nie robili nadziei wojny, lub jakiejkolwiek pomocy ze strony Francyi i cesarza dla powstania wybuchłego, nietylko bez wskazówek, ale nawet wbrew radom jego i jego rządu, do tego w chwili wyprawy meksykańskiej; poczytywali powstanie za nieszczęście, niemal za zawód, za wypadek niweczący warunki powodzenia sprawy polskiej, za zgubne działanie; chcieli w niem widzieć jedynie opór stawiony poborowi, i łudzili się, że nim pozostanie i na tem zakończy się.

Niektórzy widzieli w powstaniu znowu objaw nadzwyczajny, nadludzki, jak dawniej w demonstracyach warszawskich, który z rezygnacyą i zamkniętemi przyjmowali oczami; ale nikt nie dawał nadziei najmniejszej, skutecznego, a nawet jakiegokolwiek z zewnątrz poparcia.

Uczułem potrzebę zbliżenia się z temi pierwszemi wiadomościami i wskazówkami, do widowni wy-

padków i do przyjaciół. Pospieszyłem do Krakowa 3 lutego; zastałem tam przybyłego w wilię Ludwika Wodzickiego. Zażądałem przed wyjazdem ze wsi, szczegółowych i ciągłych z Paryża doniesień.

Ze spiskiem już wtenczas rozgałęzionym we wszystkich polskich dzielnicach, równie jak moi przyjaciele, żadnych nie miałem stosunków. Widocznem było, iż pod różnemi kształtami istniał i działał od od 1860 r., ale ani wiedzieliśmy, kto nim kieruje, ani żadnego z nim nie szukaliśmy zetknięcia. Raz tylko ofiarowano mi w początkach ruchu w bliższą wprowadzić mnie ze spiskiem warszawskim styczność, lecz odmówiłem, oświadczając, iż zgadzam się jedynie z kierunkiem dotąd przedstawianym przez Andrzeja Zamoyskiego i *Towarzystwo Rolnicze*. Istotnie ograniczaliśmy się wówczas na współdziałaniu w Galicyi, w szczupłym zakresie, w pracy publicznej jawnej i w polityce określonej adresem z 4-go stycznia 1861 r. do minstra stanu Schmerlinga.

Pozostawaliśmy jednocześnie w bliższych stosunkach z *Hotelem Lambert*.

Przybywszy do Krakowa, zastaliśmy odnogę spisku warszawskiego pod nazwą *Ławy*, oraz cały zastęp ludzi rozsądnych, statecznych, patryotów, słowem, tak zwanych konserwatystów: przerażony, bezradny, czujący całą grozę położenia, niebezpieczeństwo powstania, lecz jak zawsze w Polsce, obawiający się narazić śmielszemu od niego stronnictwu ruchu i niechcący uchodzić za mniej od niego patryotyczny.

Do tych ludzi zbliżyliśmy się Wodzicki i ja, i u

nich, i dla nich, pragnęliśmy szukać sposobów wyjścia i zachowania się wobec opłakanych wypadków.

Byłem za młody, a zwłaszcza za mało w sprawach ludzkich doświadczony, aby wiedzieć, że wobec zgubnych przedsięwzięć i szalonych ruchów nie pozostaje jak je stanowczo potępić i zwalczyć, lub całkiem stanąć na boku. Łudziłem się nadzieją, którą wtedy wielu ze mną dzieliło, iż można na nie wpłynąć, złe z nich wynikające ograniczyć, lub z tego złego coś dobrego wydobyć. Nie domyślałem się ani przeczuwałem, iż zbliżając się do nich bez bezwzględnego potępienia, rozszerza się jedynie rozmiary klęski.

Czas używał wtedy wielkiego wzięcia i znaczenia, nadało mu je było grono znakomitych ludzi stojące za nim, w znacznej części Maurycy Mann, twórca politycznie wykształconego dziennikarstwa polskiego.

W *Czasie* szukała wskazówek część społeczeństwa rozsądniejsza i politycznie od innych wytrawniejsza. *Czas* przecież przez lata 1860—1863, z małemi w początkach wyjątkami, czasem ostrożnie, to znowu—niebacznie, ale systematycznie sprzyjał ówczesnemu w Warszawie spiskowi i ruchowi, pochwalał takowy, nie wpływał na niego, lecz dawał mu się kierować; nie wskazywał należycie niebezpieczeństw; nie dał z początku dostatecznego Wielopolskiemu poparcia, następnie całkiem przeciw niemu się zwrócił i przyczynił się do fatalnego rozwoju wypadków, których epilogiem stało się powstanie, a wobec jego wybuchu, przybrał męczeńsko bohaterski ton; nie ganiąc, nie potępiając lekkomyślnego kroku, przedstawiając go, jako

opór stawiony jedynie poborowi, wtedy, gdy powstanie od dawna było przez spisek przygotowanem, chociaż nie na dzień, w którym wybuchło. *Czas* idealizował w szczegółach i całości to powstanie, które nazywał oporem przeciw gwałtom. Już po wybuchu dnia 27 Stycznia, zaprzeczał, aby dążono do powstania, stanowczo twierdził, że powstanie nie było zaczepnem, powtarzał, iż było czynem rozpaczy, wywołanym konskrypcyą, którą przed lordem J. Russellem nazwał był — proskrypcyą, twierdził, że jest „obroną wolności przed bezprawiem“. Zaraz potem przecież, mówił o „przedwczesnem powstaniu“ i począł w barwach jaskrawych, z pewną siłą, talentem i metodą wystawiać powodzenia powstania, a każde działanie wojsk rosyjskich, piętnować mianem okrucieństwa i barbarzyństwa. Członek spisku później *Rządu Narodowego* warszawskiego, Giller, pisywał wtedy do *Czasu*, pod znakiem kółka, ogniste listy, rozpalające i tak już rozgrzane umysły.

Kiedy przybyliśmy z Ludwikiem Wodzickim do Krakowa, wpływ Manna w *Czasie* był znikł; sam usunął się był — zapóźno dla przestrogi tych, co w nim zaufanie pokładali—do Rzymu.

Dla mnie pozostawało pewnikiem, że albo wojna europejska rozwiąże sprawę polską, albo powstanie zabije ją. Z tego punktu widzenia wychodziłem i postępowałem od początku do końca, wraz z moimi przyjaciółmi. Dziś wydaje się on zbyt loicznym, aby o nim wspominać; wówczas miało się do czynienia z innemi jeszcze rozumowaniami; z nadziejami rewolucyi w Rosyi, i pomocy danej przez powszechną rewolucyę euro-

pejską; z teoryą o własnych siłach, z dogmatem potrzeby ofiar, wreszcie z zasadą, w imię której wybuchło powstanie—jakoś to będzie!

Miałem, jak powiedziałem, w pierwszej zaraz chwili jak najlepsze i najpewniejsze doniesienia; że powstanie na żadną pomoc zewnętrzną liczyć nie może, ani na wybuch wojny europejskiej.

Rozstrzygające dla nas zachowanie się cesarza Napoleona i rządu francuskiego, potwierdzało to doniesienia. Półurzędowe dzienniki francuskie, jak *La France* i *Constitutionnel*, który wtedy wyrażał najdokładniej myśl rządową, potępiały powstanie i zapowiadały bliskie jego zakończenie, mówiły, że jest odosobnionem. Wreszcie urzędowy *Monitor*, przemówił 30 Stycznia. Umieścił list z Warszawy, przypisywany konsulowi francuskiemu Valbezan, w którym nie potępiając poboru, nie pochwalał powstania, oskarżał kobiety, iż one swoim wpływem na społeczeństwo wywołały je, a z mowy cesarza Aleksandra do gwardyi wyprowadzał wniosek, że ten monarcha postąpi z polskiemi ofiarami „z politycznem umiarkowaniem.“ List był twardym, nawet przykrym dla polaków. *Monitor* dodawał, „że garstka nieszczęśliwej młodzieży nie zdoła się oprzeć stutysięcznej armii, dowodzonej przez doświadczonych oficerów“.

„Wyjąwszy *Opinion Nationale*, pisano z Paryża do *Czasu*, dzienniki paryskie pokazały się zimnemi. Czuły one, że w położeniu, w jakiem znajduje się Francya, wszelki dzisiejszy ruch w Polsce, był nie na rękę rządowi francuskiemu. Rząd francuski trzyma się systemu nie dawania żadnej zachęty Polsce, choćby

jednem słowem, ale zapewniają ciągle, że przemawia w Petersburgu. Napoleon III zajęty Ameryką i Wschodem, wypadki zatem w Polsce, są dla niego ambarasem.“

Nawet zwykle sprzyjające sprawie polskiej półurzędowe organa francuskie, jak *Patrie*, tylko obawy o losy nieszczęśliwego narodu wyrażały.

W Warszawie konsul francuski, Valbezan, jawnie i poufnie potępiał w ostrych wyrazach powstanie.

W Paryżu w ogóle w pierwszej chwili nie zdawano sobie dokładnie sprawy ze stanu rzeczy, poczytywano zaszłe wypadki, za opór stawiony poborowi wojskowemu. Z wszystkich przecież doniesień i objawów widocznem było, że cesarz Napoleon ani zamierza ani może wziąść powstania wybuchłego w drugiej połowie Stycznia, za punkt wyjścia do podniesienia sprawy polskiej. Zresztą wyprawa meksykańska i mowa cesarza Napoleona, otwierająca 12 Stycznia Ciało prawodawcze, acz sympatyczna dla ludów, lecz bardzo pokojowa i mówiąca o sprowadzeniu armii lądowej i morskiej do szczuplejszych rozmiarów, były wskazówkami, iż polskie powstanie wcale nie wchodziło w grę cesarza, że pomimo znanego nam stałego jego zamiaru rozwiązania sprawy polskiej, nie zechce, ani będzie mógł, szukać go na tej drodze, że raczej przyjdzie mu raz jeszcze odłożyć zadanie.

W skutku tego byłem stanowczo przeciwny popieraniu powstania i łączeniu się z niem, nie ukrywałem mojego zdania, nie szczędziłem usiłowań, aby moich przyjaciół i rozsądnych ludzi utrzymać na stanowisku wobec niego odpornem, dopóki nie nadarzy się

sposobność i możność potępienia go jawnie. Nacisk jednak ze strony spisku i ruchu, a w Krakowie ze strony *Ławy* był coraz większy, coraz bardziej naglący. Zastęp, który nazwę zachowawczym — chociaż do tej nazwy wiele brakowało mu warunków—coraz bardziej nie wiedział czego się chwycić, co począć, a im silniej instynkt mu mówił, że powstanie jest zgubnem, tem wyraźniej odzywały się w nim czułostkowość i obawa pozostania po za ruchem narodowym; odgłos zaś strzałów dolatujący z za kordonu, obóz w Ojcowie pod Kurowskim i wiadomości o krwawych starciach, coraz bardziej rozstrajały jego system nerwowy.

Pierwszym krokiem, do którego chciano ten zastęp popchnąć, było zbieranie składek dla zakupywania broni i tworzenia oddziałów. Od tego kroku zależały inne, dalsze i udział wszystkich rozsądnych i zamożnych w powstaniu. Czując to, nie szczędziliśmy z Wodzickim zabiegów i starań, aby mu przeszkodzić, a po długich naradach i walkach uzyskaliśmy, iż składki miały być jedynie dla rannych zbierane. Dowodziliśmy, że albo powstanie upadnie, a wtedy pieniądze obrócone zostaną na rannych, albo będzie miało powodzenie, wtedy użytemi być mogą na jego uzbrojenie i poparcie.

Tyle tylko osiągnąć można było. Powstał komitet opieki nad rannymi, który, gdyby się tego okazała potrzeba, miał nieść pomoc powstaniu.

Był to jednak półśrodek, w ważnych chwilach szkodliwy zawsze, istotą bowiem swoją, nieodpowiada on potrzebom rozstrzygających wypadków, te wymagają zdania i postanowienia, on jest wyminięciem zda-

nia i odłożeniem postanowienia. Do tego przyłączyło się mniemanie, które przez cały bieg wypadków było czynnikiem, iż współdziałanie zachowawczych żywiołów jest koniecznem, aby ubiedz tak zwanych *czerwonych*, to jest spiskowców i ludzi bezwzględnego ruchu. Mniemanie mylne, które tylko posłużyć miało do oddania na usługi *czerwonych* i ich bezrozumnego przedsięwzięcia powagi, sił i zasobów zachowawczych żywiołów.

We Lwowie również odrysowały się zaraz trzy kierunki: *Ławy* i gorętszych żywiołów, domagający się natychmiastowego, bezpośredniego popierania powstania; drugi, chcący zająć na wzór komitetu krakowskiego dla rannych, wyczekujące stanowisko; trzeci nareszcie, silnie popierany przez Franciszka Smolkę i Aleksandra Dzieduszyckiego, którzy żądali potępienia powstania. Jak w Krakowie, tak we Lwowie, przemógł kierunek drugi, a akt spisany przez jego przedstawicieli wyłuszczał powody skłaniające do zajęcia wyczekującego stanowiska. Brzmiał on:

„Oparci na sumiennem zbadaniu i zestawieniu otrzymanych wiadomości o obecnym ruchu zbrojnym w Kongresówce, musimy niestety uważać go za krok przedwczesny, który bez należytej oględności i odpowiedniego przygotowania zasobów i środków, bez względu na niestosowną porę i zupełnie niesprzyjające okoliczności tak wewnętrzne, jak i zewnętrzne, podjęty został.

Tłómaczyć go tylko może okropność położenia, i właściwie ruch ten w początkach nie powstaniem narodowem, ale obroną tylko przeciw strasznemu pobo-

rowi nazwanym być mógł. Wystąpienie czynne z naszej strony w pierwszej zaraz chwili i rzucenie naoślep naszej młodzieży źle lub wcale nieuzbrojonej, tam, gdzie brak większy broni jak ludzi, gdzie organizacyi brak zupełny, w niczem nie mogłoby tak wielkich przynieść korzyści ruchowi, a ogałacając prowincyę naszą z tej młodzieży i podając ją na rzeź i zgubę pewną, bez żadnej, a w każdym razie wielce wątpliwej korzyści dla sprawy, byłoby zmarnowaniem najcenniejszych sił narodowych, byłoby lekkomyślnością, jeżeli nie zbrodnią wobec sprawy, której się właśnie służyć pragnie. Jako więc prawdziwie Ojczyznę miłujący, i w przeświadczeniu, że wyrażenie tego naszego głębokiego przekonania jest teraz właśnie świętym obowiązkiem, wzywamy wszystkich, choćby najgoręcej sprawie Ojczyzny służyć pragnących, aby równie z nami w tej części Polski, przyjęli za hasło na teraz: „Czekać.“ — Czekać dlatego, że choćbyśmy nawet niezważając na niesprzyjające okoliczności, chcieli przez przystąpienie nasze ruch teraźniejszy w ogólne zamienić powstanie, to wypada koniecznie zostawić Kongresówce czas do zorganizowania dziś już walczących sił jej.

Czekać, bo i my dziś jeszcze nie jesteśmy przygotowani, bo nam trzeba zebrać fundusze, w broń się zaopatrzyć, tak, aby ci, których z Galicyi wyszlemy, nie stawali się, dziś już walczącym, przez brak broni, odzieży i zapasów, ciężarem i balastem utrudniającym działanie, ale, aby, jeżeli granicę przejdą, byli im rzeczywistą pomocą. Czekać, bo okoliczności zewnętrzne dziś powstaniu ni sprzyjające, mogą i to w krótkim

czasie, na najkorzystniejsze się zamienić, a wtenczas potrzeba nam będzie sił znacznych i świeżych. Czekać, bo i w armii najsilniejszej nawet, wódz roztropny, rozpoczynając bitwę, wysyła najpierw forpoczty, potem idzie w ogień z głównym korpusem, a zawsze jeszcze część wojska zostawia w rezerwie, i nieraz to już widziano, że rezerwa o wygranej stanowiła. Rezerwą zaś tą nam koniecznie być wypada. Czekanie to wszakże nie ma być trupie, martwe, nieczynne, nie owe wyczekiwanie schlebiające niedołężnej gnuśności lub brudnemu egoizmowi, ale wyczekiwanie czynne, skupiające siły i zapał, organizujące i sposobiące się w środki i zasoby. Powtarzamy więc, że ruch dzisiejszy w Kongresówce jeszcze powstaniem ogólnem nie jest, i przypominamy, że tak jak w latach 1846 i 1848 nie tylko za złe nie miano mieszkańcom innych dzielnic Polski, że nie biegli z życiem i mieniem łączyć się z ruchem zbrojnym w Księstwie Poznańskiem, owszem przyznawano, iż roztropność i prawdziwy patryotyzm nakazywały nie narażać wszystkich sił polskich na pewną zgubę w ruchu, który do oswobodzenia Ojczyzny w żaden sposób prowadzić nie mógł; tak też i dzisiaj, zanim do ruchu przystąpimy, wypada dobrze rozważyć, czy pożytek, czy szkoda dla sprawy ogólnej ztąd wyniknie. Zdaniem więc naszem, Galicya tylko wtenczas może i powinna z siłami swemi do ruchu w Kongresówce przystąpić, jeżeli ruch ten dzisiaj nie wiele jeszcze znaczący, stanie się tam ogólnym, to jest: jeżeli połączą się w nim wszystkie klasy ludności, a szczególniej, jeżeli ogół włościan obojętnym przynajmniej będzie, a częściowo z ruchem się połączy; albo jeżeli

okoliczności zewnętrzne choć w części się zmienią, a głównie, jeżeli w Rosyi przyjdzie do ważniejszych zaburzeń, czy to między ludem wiejskim, czy w wojsku, lub też, jeżeli na wiosnę wybuchnie wojna na Wschodzie, bo tak jedno, jak drugie odwrócić musi znaczną część siły zbrojnej rosyjskiej, przeciwko której, jeżeliby cała ku nam zwróconą została, żadnejby, najmniejszej nadziei powodzenia mieć nie można. Że zaś przyznać musimy, iż to wszystko, co uważamy za warunki konieczne powodzenia, nastąpić może, nie wzywamy do potępienia ruchu, nie żądamy, aby przeciw ruchowi występować i paraliżować go, powiadamy tylko, że jest obowiązkiem patryotów, zanim warunki wyżej przytoczone nie ziszczą się — *Czekać*, a równocześnie rozpocząć niezwłocznie i z całą energią przygotowania, które w razie potrzeby łączenia się z ruchem w Kongresówce, umożebnią nam silne i skuteczne poparcie tego ruchu!

We Lwowie, 4-go lutego 1863 r."

Wiadomości z Paryża, rzecz dla nas główna, gdyż stamtąd tylko nadejść mogła pomoc lub stanowcze słowo, brzmiały wciąż tak samo jak w pierwszej chwili. Listy mojego ojca będące odbiciem myśli najprzychylniejszego, dla sprawy polskiej doradcy cesarza, Walewskiego, nie pozostawiały wątpliwości, że powstanie może tylko klęskę zgotować, a na pomoc Francyi liczyć nie powinno, że zatem nie należy się ani z niem łączyć, ani je wspierać. Listy te potwierdzały słowa Leona Rzewuskiego do mnie powiedziane zaraz w pierwszej chwili. *L'Empereur n'aime pas la cuisine, qu'il*

n'a pas faite. „Cesarz nie lubi potraw, których sam nie zgotował".

Do *Czasu* pisał mój ojciec 4 lutego oczywiście oględniej, mniej niż do mnie wyraźnie:

„Zastanowić się należy, jakie wrażenie wypadki dzisiejsze wywołały w społeczeństwie francuskiem i jakie ocenienie znalazły. Podziw bohaterstwa, obawa bezskuteczności jego wysileń, tkliwa litość, są uczuciami najwięcej napotykanemi. Takie to usposobienie okazują dzisiaj ci przyjaciele sprawy polskiej, którzy objawiali gotowość przemówienia o niej i za nią w izbach francuskich, a którzy po zaszłych od dni dziesięciu wypadkach, chwieją się i cofają przed trudnością dokładnego oznaczenia charakteru dzisiejszego ruchu. Senat też przemilczał o Polsce wśród dwudniowych nad adresem obrad. Wiedzieć jeszcze nie można czyli—zkąd—i jaki głos o niej wzniesie się w Ciele Prawodawczem. Co do rządu francuskiego, taić nie można, że między dzisiejszymi doradcami cesarskiemi sprawa nasza, w rozciągłych rozmiarach, nie wielu stronników liczy; lecz wiadomo jest, że dziś ministrowie we Francyi są tylko narzędziami i wykonawcami woli monarchy. Napoleon III, ku któremu tak ufnie, tak chętnie, instynktowo zwracały się nadzieje polskie, nie złożył dotąd wprawdzie jawnego i wyraźnego dowodu, że go losy narodu polskiego, że go przyszłość jego zajmowała i zajmuje. Przeciwnie, to co było widzialnem i głośnem, mogło być uważanem za oznakę obojętności. Przemilczenie o Polsce na Kongresie paryskim, nachylenie się ku związkowi z Rosyą od zawarcia pokoju, ścisłość dzisiejszych z nią stosunków, mogły ostu-

dzić zapał i osłabić ufność polską dla cesarza Francuzów."

Wszystko to potwierdzało brak wszelkich widoków podniesienia sprawy polskiej, na mocy powstania. Nie długo też przyszło czekać na stanowcze, dotąd nie wypowiedziane ani przez cesarza Napoleona, ani przez *Hotel Lambert* słowo. Nadeszła pamiętna mowa ministra bez teki, Bilault. Dnia 5 lutego w Ciele Prawodawczem, panowie Guyard Delalain i Juljusz Favre, przy dyskusyi adresowej przemówili za Polską. Na to minister bez teki mówca, Bilault, rzekł:

„Panowie! Rząd nie uważa za rzecz stosowną wchodzić w dyskusyę przedłożonej wam kwestyi. Francya nie straciła dawnej sympatyi dla Polski, lecz sądzi i rząd zarówno z nią sądzi, że autonomija tego kraju więcej mogła się spodziewać od wspaniałomyślnych i liberalnych uczuć obecnego cesarza Rosyi, jak od ruchu powstańczego, którego usiłowania mogą tylko nowe sprowadzić klęski na ten kraj nieszczęśliwy." „Najbardziej złowrogą rzeczą, są zwodnicze zachęty dla uczucia patryotyzmu, którego bezsilne usiłowania, nowe tylko nieszczęścia sprowadzić mogą. Rząd cesarski zbyt jest roztropny, aby płonnemi słowy dawać zwodniczą podnietę namiętnościom rewolucyjnym i zbyt jest zazdrosnym o swą i Francyi godność, aby pozwalał, iżby powtarzano przez lat szesnaście w adresie, bezużyteczne słowa i daremne protestacye."

W dniu tej mowy *Constitutionnel* pisał: „Rząd francuski obrał był inną drogę dla Polski i na tej drodze sprawa polska zbliżała się do pożądanego kresu."

Mój ojciec pisał do *Czasu* 10 lutego: „Pan Guyard Delalain poprzednio starał się zasięgnąć rady prezesa Ciała Prawodawczego, ks. Morny, który ożeniony z Rosyanką, stronnik gorący związków z Rosyą, od chwili jak tylko Polska przypomniała Europie, że żyje i własnem chce żyć życiem, odznaczał się obojętnością, jeżeli nie nieprzyjaźnią dla jej sprawy. Prezes więc Ciała Prawodawczego odwieść usiłował pana Delalain od jego zamiaru i nawet dał mu uczuć, że milczenie o Polsce dogodziłoby życzeniom samego cesarza."

Po mowie ministra Bilault, obecna księżna Morny uścisnęła jego rękę.

W kilka dni później minister Baroche złożył także niechętne dla Polski oświadczenie w Ciele Prawodawczem. Półurzędowe dzienniki francuskie wtórowały słowom ministra mówcy, Bilault.

Cesarz zatem przez usta swojego ministra przemówił, a nie ulegało wątpliwości, że minister wyraził myśl i zdanie rządu francuskiego.

Pozostawało już tylko jedno zadanie, wstrzymać kogo się da, zwłaszcza żywioły zachowawcze i stateczne od udziału w powstaniu i od popierania go. Do tego wraz z L. Wodzickim i kilkoma innymi, zmierzaliśmy mozolnie, wśród oczywiście największych trudności, w zamiarze oszczędzenia przynajmniej Galicyi i zatrzymania jej na stanowisku politycznie roztropnem i zarazem z tem wyrachowaniem, że bez jej współudziału, a zatem bez podstawy operacyjnej, powstanie w *Królestwie Polskiem* niebawem upadnie; że tam ludzie rozsądni i wytrawni tak zwani wówczas *biali* przejrzą, otrząsną się z osłupienia i teroryzmu spisku,

wyjdą z bierności i może zdołają jeszcze lepszą dla kraju nawiązać przyszłość, a oszczędzą mu i społeczeństwu polskiemu nieobliczonych strat.

Niepodobna jednak było na razie opuścić wyczekującego stanowiska; trzeba było do wyparcia się powstania zdążać stopniowo. To pewna, że bylibyśmy celu dopięli, gdyby zmiana w położeniu ogólnem nie była nas od niego odwiodła.

Wypadki szły spiesznie, a przecież dni ciągnęły się smutne i przykre dla wszystkich.

W mojem przekonaniu rzecz była przesądzoną. Przecież moi przyjaciele uznali jeszcze za potrzebne znieść się ze stronnictwem umiarkowanem w Warszawie z tak nazwanemi *białemi*. Od nich bowiem winno było wyjść pierwsze stanowcze słowo. Wysłaliśmy do Warszawy Włodzimierza Cieleckiego. Przywiózł nam niesłychaną, najdziwniejszą, jedyną w dziejach odpowiedź, która określała przecież nieszczęsne stanowisko zajęte wśród wypadków przez *białych*, odzwierciadlała ich usposobienie, zaznaczała upadek i potępiała ich. Odpowiedź brzmiała: „Nie łączyć się z powstaniem, ale uznać je za narodowe.“ Zmysł polityczny i uczucie patryotyczne oburzyły się i zaprotestowały przeciw tej odpowiedzi. Przemówiłem silnie za uznaniem jej, co się nas i Galicyi tyczy—za niebyłą. Zdanie to przemogło. Zrozumieliśmy jednak, że ze strony najważniejszej, która powinna była być rozstrzygającą, nie znajdziemy poparcia w działaniu jawnem i śmiałem przeciw powstaniu. Przecież nie straciliśmy jeszcze głowy.

Na razie usiłowaliśmy oszczędzać ofiar niepotrzebnych, a zarazem postanowiliśmy zażądać, brakującego

nam dotąd stanowczego i ostatecznego słowa *Hotelu Lambert*, któreby było stanowczem i ostatecznem słowem cesarza Napoleona, i które moglibyśmy okazać. Poczem mieliśmy ostatecznie i stanowczo postąpić sobie: porzucić wyczekujące stanowisko i albo rzucić się w powstanie, jeżeliby ono było potrzebnem dla działania Napoleona III na korzyść Polski; albo w razie przeciwnym, potępić je, oświadczyć się za jego zaniechaniem i rozjechać się do naszych zatrudnień.

ROZDZIAŁ III.

Hotel Lambert przesyła kuryera z instrukcyą spiesznego zaniechania powstania. Cyfrowana depesza odwołująca te instrukcye. Trzeba jaknajdłużej przetrzymywać walkę. Przełom. Zmiana w zachowaniu się rządu francuskiego i jego organów. Wystąpienia dzienników i ministrów angielskich. Postępowanie władz austrjackich w Galicyi. Zachowanie się dzienników wiedeńskich. Listy *Hotelu Lambert*, objaśniające cyfrowany telegram. Zmiana położenia. Konwencya prusko-rosyjska z d. 8 Lutego. Ojców i Miechów. Langiewicz. Przyjazd Stanisława Tarnowskiego z Paryża do Krakowa. Józef Szujski i *grono krakowskie*. Wysłanie Ludwika Wodzickiego do Paryża. Powody popierania powstania. Zwrot w położeniu europejskiem. Konwencya i jej losy. Misya ks. Ryszarda Metternicha. Ks. Metternich wyjeżdża do Wiednia. Widoki poważne.

Dotąd wiadomości z Paryża, instrukcye *Hotelu Lambert* brzmiały zgodnie z objawami zewnętrznemi rządu francuskiego, że powstanie na poparcie cesarza Napoleona liczyć nie może. Ale zapatrując się na nie nieco sentymentalnie, zawsze jeszcze jako na opór stawiony proskrypcyi, *Hotel Lambert* nie mówił, co wobec niego począć, jak się zachować; czy należy je potępić i od niego zupełnie się odsunąć; słowem okazywał pe-

wne wahanie się; zdawał się liczyć na współczucie okazywane dla ofiar nawet przez te organa rządu francuskiego, które powstania nie pochwalały; obawiał się potępieniem ich, wydać je na pastwę zemsty rosyjskiej; bronił wobec obcych rozpaczliwego kroku, chociaż czuł jego zgubność. To postępowanie *Hotelu Lambert*, skłoniło nas do zachowania jeszcze wyczekującego stanowiska.

Przedewszystkiem *Hotel Lambert* nie powiedział był, jaką co się tyczy zachowania się naszego, jest rada, sprzyjających sprawie polskiej członków rządu francuskiego i samego cesarza, którego uczucia dla Polski, nie były, nam przynajmniej, tajnemi.

Ks. Władysław Czartoryski w imieniu *Biura Hotelu Lambert*, nie listownie, ale telegrafem i cyframi jak dotąd, ale teraz już umyślnym kuryerem *G. F.*, przesłał nam wreszcie stanowcze i ostateczne, zażądane słowo. Kuryer *G. F.*, którego nazwiska wymienić jeszcze nie mogę, i który w odnośnym protokule *Biura* tylko owemi pierwszemi literami jest oznaczony, wysłanym został 9 lutego z Paryża na Drezno do Krakowa i Lwowa.

To, co przywoził, nie pozostawiało najmniejszej wątpliwości. Odpowiedź na nasze zapytanie, przedstawiała powstanie jako czyn bezrozumny, opłakany, który nie tylko nie mógł liczyć na poparcie Napoleona III, ale który przeciwnie, krzyżował jego plany i politykę, a niweczył na razie wszelkie w sprawie polskiej zamiary. Dawniej wypowiedziane słowa: „Bóg za wysoko, Francya za daleko“ określały i dziś jeszcze położenie. Cesarz Napoleon nie był na teraz ani w chęci,

ani w możności podniesienia orężnie sprawy polskiej. Opinia publiczna we Francyi, acz sprzyjająca jej, cofnęłaby się przed wojną na rzecz Polski, a brak sprzymierzeńców do prowadzenia jej, uniemożebniał ją zupełnie. Cesarz Napoleon zbliżeniem się do Rosyi, wpływem, jaki mógł mieć na gabinecie petersburgskim, nareszcie zamierzonem przymierzem z północnem cesarstwem, które miało pociągnąć za sobą znaczne na rzecz Polski ustępstwa, mógł jedynie coś zdziałać dla sprawy, którą od początku swojego panowania miał na oku i której rozwiązanie poczytywał za jedno ze swoich zadań. Powstanie w najwyższym stopniu szkodziło tym rachubom i zamiarom, a mogło je zniweczyć zupełnie, ubezwładniając cesarza. Trwanie zatem powstania, przeistoczenie oporu przeciw brance w wojnę z Rosyą, mogło się stać tylko zgubnem dla Polski i polityki Napoleona III. Niweczyło wszelkie korzyści dotąd zdobyte za wpływem Francyi i wprowadzało Polskę w stan opłakany tak wewnątrz jak zewnątrz. Nadziei żadnej w tym stanie rzeczy ani mieć ani dawać niepodobna; ale jeżeli co jeszcze uratować by mogło sprawę polską i dla Królestwa zapewnić pomyślne lub znośne warunki, to jedynie natychmiastowe, zupełne zaniechanie powstania. Chyba dopiero po zakończeniu takowego, możnaby pomyśleć o interwencyi dyplomatycznej lub wstawieniu się za krajem.

Taką była treść instrukcyi kuryera *Hotelu Lambert*, zgodna ze znaną już mową Bilault i z zachowaniem się półurzędowych dzienników francuskich. Z bólem w sercu, najmniejszej nie mogliśmy mieć już wątpliwości.

Wobec powyższego raportu, nikt z ludzi, z którymi znosiliśmy się, nie mógł dłużej wahać się ani w sumieniu, ani w sądzie, ani w zdaniu. To też w naszem gronie, postanowienie stanowcze nie popierania powstania, a następnie potępienia go i powstrzymania dalszego jego rozwoju oraz udziału w niem Galicyi, powziętem zostało jednomyślnie. We wszystkich głowach rozjaśniło się. Pierwszą i naglącą potrzebą — zgodną zresztą z poleceniem *Hotelu Lambert* — było, jak najspieszniejsze udanie się kurjera *G. F.* do Lwowa, dla objaśnienia w tej samej mierze co nas, tamtejszych poważnych, rozumnych i patryotycznych ludzi, a zwłaszcza ks. Leona Sapiehę. Natychmiast też po wzięciu przez nas do wiadomości instrukcyi przywiezionej przez pana *G. F.* i krótkiej nad nią naradzie, zająłem się wyprawieniem go do Lwowa, objaśniwszy komu i w jaki sposób ma rzecz przedstawić, a zarazem poleciłem mu, aby oznajmił nasze zapatrywanie i już powzięte postanowienie; kładłem główny nacisk na osobę księcia Leona Sapiehy, znając i ceniąc jego zdrowy zmysł i wytrawny sąd polityczny. Odprowadziłem pana *G. F.* na dół i wsadziłem do dorożki; sam wróciłem do pokoi w *Hotelu Saskim*, w których zamieszkałem był wraz z kilkoma przyjaciółmi. Nie upłynęło parę minut, a wszedł posłaniec z telegrafu, z cyfrowaną do mnie depeszą. Była ona od *Hotelu Lambert*, a opiewała: „Wszystko zmienione, instrukcye *G. F.*.. uważajcie za niebyłe. Trzeba jak najdłużej przetrzymać walkę. Dalsze polecenia listownie.“ Stało się to 16 Lutego.

Trudno zdać sprawę z wrażenia chwili takiej.

Rzadkiemi są na szczęście w życiu chwile podobne do tej, rozstrzygające o niem w znacznej części. Owa depesza była dla mnie zarazem gromem i promieniem słonecznym, a instynkt wtedy mówi, że taka minuta zawiera w sobie całą przyszłość.

Wskoczyłem do dorożki i już po drugiem dzwonieniu dotarłem na peronie do pana *G. F.*, który wsiadał do wagonu. Pokazałem mu depeszę i okazałem niemałe zdziwienie z powodu sprzeczności tak spiesznie zachodzącej, między tem wszystkiem, co nam mówił, a tem, co zwiastować się zdawał telegram. Jego zdumienie, powiem nawet przerażenie, nie było mniejszem od mojego, zmięszał się i rzekł: „Coś od mojego wyjazdu zajść musiało.“ „W każdym razie — odparłem — misya pańska do Lwowa uledz musi zmianie. Opowiedz całą rzecz ks. Leonowi Sapieże, zdaj mu sprawę dokładną z danych ci w Paryżu instrukcyj, a zarazem podaj treść depeszy, którą dopiero co odebrałem. On zrozumie i potrafi osądzić, jakie stąd wynika dla nas położenie.“

Owa depesza telegraficzna stała się przełomem w wypadkach, w zapatrywaniu się naszem na powstanie i zachowaniu wobec niego, w stanowisku Galicyi. Miała ona wogóle doniosłość wielką i wywarła wpływ stanowczy na przebieg sprawy. Zaznaczała bowiem zwrot w stosunkach europejskich, króry miał pociągnąć za sobą, zgubne w skutkach, wmięszanie się obcych mocarstw w sprawę polską, lecz które wtedy musiało być poczytanem za deskę zbawienia. Od chwili, jak rzecz nie ograniczała się na bezrozumnem powstaniu, a wciągniętemi były w nią czynniki i siły poważ-

ne, dyplomacya, rządy i mocarstwa europejskie; inne powstać musiało zapatrywanie na położenie, inne zwłaszcza w naszem gronie i rozumować trzeba było conajmniej w ten sposób—skoro już największe złe, to jest powstanie, stało się, niepodobna zapoznawać i odpychać na raz pojawiających się środków naprawienia złego lub przeistoczenia go w coś dobrego. Nadarzała się nareszcie sposobność zużytkowania tej pomocy zewnętrznej, tego interesu europejskiego, w który wierzyło całe nasze pokolenie, wychowane w myśli niepodległości Polski i utrzymywane w nadziei odbudowania jej przez Europę.

Depeszy *Hotelu Lambert* wtórowały niebawem półurzędowe dzienniki cesarstwa francuskiego. Zmiana w sposobie ich przemawiania była raptowna i stanowcza; zamiast zniechęcać powstanie i wróżyć jego prędki upadek, dodawały mu odwagi, zamiast potępiać, stawały w jego obronie. Nawet *Monitor* umieszczał z Warszawy obszerne i przychylniejsze o powstaniu wiadomości.

Naraz wszystko brzmiało inaczej i wszystko inaczej wyglądało, jak w ostatnich dniach Stycznia i pierwszych Lutego.

Konwencya prusko-rosyjska z 8-go Lutego, była teraz przedmiotem głównym rozpraw dzienników półurzędowych i niezawisłych i wszystkie surowo ją potępiały.

La Patrie, organ półurzędowy, pisał 18-go Lutego: „Trzech Polaków, uczniów naszych szkół: Koperczyński, Prączkowski i Dzikowski, jadących z Paryża do Polski, zostało aresztowanych w Toruniu i wyda-

nych w ręce Rosyi. Nie chcemy temu wierzyć, przez wzgląd na honor Prus.“ Dnia 21-go Lutego, ten sam dziennik zwracając uwagę na aresztowanie przez władze pruskie, sześciu wychowańców szkoły wojskowej polskiej w Cuneo, którzy opatrzeni byli w regularne paszporta, oświadczał, iż Europa musi protestować przeciw temu zamachowi na prawo narodów. *La France* dotąd nieprzyjazna Polsce, twierdziła teraz, że Prusy wskutku umowy zawartej z Rosyą względem interwencyi w Polsce, sprowadziły kwestyę na pole traktatów 1815 roku. „Dopóki Rosya i Polska stały same wobec siebie, uważaliśmy za obowiązek nasz, nic nie mówić, coby mogło dawać płonną zachętę powstaniu.“ Wreszcie przemówił 21 Lutego *Constitutionnel* najbardziej uprawniony organ rządowy.

„Powstanie polskie mogło być uważane za wewnętrzną sprawę polityczną. Wskutek wdania się Prus, zamienionem ono zostało na kwestyę europejską. Postępowanie Prus jednogłośnie jest naganionem, Prusy mogły się przekonać, iż popełniły wielki błąd, starając się między sobą i Rosyą utworzyć solidarność, która nie istnieje. Konwencya z 8 Lutego, stworzyła fałszywe położenie dla Rosyi i Prus; jeżeli została ona zawartą w duchu wskazanym, może ciężkie następstwa za sobą pociągnąć. Obawiać się można, aby wskutek gorliwości Prus w pomaganiu Rosyi przeciw powstaniu polskiemu, Europa pod nazwą nowej karty, nie ujrzała dawnego imienia Polski; a zamiast powstania poddanych przeciw swemu rządowi nie dojrzała rewindykacyi narodowości; byłoby to wprowadzeniem na nowo całej kwestyi na stół, ponowieniem sceny podziału

i postawieniem znowu umyślnie przed oczy świata czynu najwyższej niesłuszności, przeciw któremu sumienie pokolenia obecnego nie przestało protestować. Rzuca to głęboki zamęt, wielki niepokój wśród Europy. I w jakiejże to chwili mniemają Prusy, iż mogą wziąć na siebie taką odpowiedzialność? W chwili, gdy Francya daje przykład najsumienniejszego szanowania traktatów i wielkiego umiarkowania politycznego, zadając gwałt swoim żywym sympatyom i wstrzymując się od wyrażenia choćby jednem słowem, jak dalece zawsze ją obchodzą i obchodzić będą starzy jej nieszczęśliwi sprzymierzeńcy. Spodziewamy się jeszcze, że brzmienie konwencyi rozegna większą część tych obaw; w każdym razie nie zbywało Prusom na przyjacielskich radach. Wiedzą one dzisiaj, że cała liberalna Europa myśli o tem naruszeniu zasady nieinterwencyi."

La France zapewniała, że wystosowaną będzie petycya do senatu za Polską przez znakomite osoby, i że da sposobność rządowi objawienia swego zdania.

Intépendance Belge, nieprzyjazna Polsce, mówiła, że i bez wdania się Prus, Europa, to jest zachodnie mocarstwa, byłyby się musiały ująć za Polską, albowiem rząd rosyjski pierwszy wystąpił zaczepnie, nielegalnie porywając podejrzanych ludzi do wojska. Że jednak Prusy przystąpiły do konwencyi z Rosyą, przeto interwencya zostanie przyspieszoną. Dziennik ten dodawał, że 20 wysłano z Paryża depeszę do Berlina i Petersburga, w których się mieści postanowienie zapadłe przed trzema dniami, na podstawie projektu ministra spraw zewnętrznych, Drouyn de Lhuys; depesze

te są bardzo uprzejme, lecz i bardzo kategoryczne i nie pozostawiają wątpliwości względem polityki i zamiarów cesarskich. Depesze mówią, że jeżeli konwencya zawiera te punkta, jakie głoszą, jest ona formalnym traktatem, następnie, że bez pogwałcenia zasady nieinterwencyi, żadne państwo nie ma prawa udzielać Rosyi zbrojnej pomocy, przeciw jej poddanym polskim, i że gdyby ruch się wzmagał i przybierał rozleglejsze rozmiary, Europa byłaby zmuszoną zajmować się nim. Środki zdolne położyć koniec walce, winny być przedłożone Rosyi, za wspólnem wdaniem się mocarstw.

Dzienniki angielskie uderzyły na Prusy a obrady izb pruskich nad konwencyą, dały przedmiot do ciągłych wystąpień tak francuskich jak i angielskich dzienników.

La Patrie z 23-go utrzymywała, że Drouyn de Lhuys, wysłał do posła w Berlinie, Talleyrand, notę tyczącą się Polski, pod datą 20-go. *La France* zapewniała, że Austrya okazuje skłonność zbliżenia się do wspólnej myśli, jaka zdaje się łączyć Francyę i Anglię w kwestyi polskiej. Jednocześnie petycya o Polskę wniesioną została do senatu francuskiego, a *Patrie* ogłosiła subskrypcyę na rannych polskich.

W izbie wyższej angielskiej lord Ellenborough wniósł w sprawie polskiej interpelacyę, w której wyraził zdanie, że byłoby to zadziwiającem, gdyby cesarz Napoleon, naczelnik narodu, który wyznaje zasadę narodowości, nie objawił swej sympatyi dla sprawy polskiej.

Times utrzymywał, że konwencya da sposobność Napoleonowi podniesienia kwestyi—granicy Renu.

Lord J. Russell, minister spraw zagranicznych w izbie niższej, nie pochwalał powstania, lecz oświadczył, że dalsza polityka Anglii w tej sprawie, wymaga rozważnego zastanowienia się rządu.

Po posusze następowała nawałnica oświadczeń za Polską.

Nie mogło ujść uwagi, że 14 Lutego cesarz Napoleon w odpowiedzi na złożony przez deputacyę Ciała Prawodawczego adres, rzekł był:

„Adres jest nowym dowodem zgody, jaka panuje między Ciałem Prawodawczem a rządem. Zgoda ta jest dziś bardziej niezbędną, aniżeli w jakiejkolwiek innej epoce; gdyż na wszystkich punktach kuli ziemskiej, prawda bywa zaciemniona tyloma przeciwnemi sobie namiętnościami, że Francya musi być silną i spokojną wewnątrz, ażeby zawsze była w stanie wywierać swój prawowity wpływ na korzyść sprawiedliwości i postępu, których tryumf zbyt często zagrożonym bywa przesadą stronnictw skrajnych.“

Nadeszły listy zapowiedziane przez *Hotel Lambert.*

Zwiastowały zwrót w położeniu w skutku konwencyi prusko-rosyjskiej z 8 Lutego; zapowiadały zmianę zapatrywań Francyi, Anglii i Austryi w sprawie polskiej, mówiły o toczących się między niemi układach; nareszcie, co najważniejszem było wówczas— zapewniały, że cesarz Napoleon i jego rząd zupełnie inne niż dotąd wyrażali zdanie o powstaniu; że ugruntowaną mieli nadzieję, iż posłuży do podniesienia sprawy polskiej i że działanie dyplomatyczne już się rozpoczęło; że rząd francuski poczynił pierwsze kroki w Berlinie z powodu konwencyi. Listy dodawały, że

trwanie powstania niezbędnem jest dla rozpoczętego działania, a potrzebnem dla pomyślnego obrotu układów; że zdaniem rządu francuskiego, nie można już patrzeć się wstecz, że należy spoglądać w przyszłość; że trzeba przedewszystkiem odjąć powstaniu wszelkie znamiona rewolucyjne, a nadać mu wyłączny charakter narodowy i wyłącznie antirosyjski; że zatem należy, aby zachowawcze żywioły i wyższe warstwy nadały takowy, popierając je i gotując się do przystąpienia czynnego w razie rozpoczęcia działania europejskiego.

Podczas, gdy wiadomości i instrukcye paryskie zaznaczały taki zwrot raptowny w położeniu i w poglądach na powstanie, przedłużało się ono o własnych siłach, bez zachęty z zewnątrz i jeszcze bez uorganizowanej z Galicyi pomocy. Opodal od Krakowa w Ojcowie znajdował się obóz Kurowskiego. Dnia 17 Lutego, niebacznie poprowadzony, rozbił się niepotrzebnie o mury Miechowa i nagromadzone tam siły rosyjskie. Walka ta bezużyteczna okryła żałobą Kraków, gdyż wielu z młodzieży szkolnej i uniwersyteckiej krakowskiej znajdowało się w tym obozie. Jednocześnie Langiewicz z lepszem szczęściem i przezorniej staczał w Sandomierskiem potyczki, sławione i podnoszone przez *Czas*.

Postępowanie władz austryackich w Galicyi zdawało się potwierdzać instrukcye, przesłane nam z Paryża; utwierdzało nas w mniemaniu, że popieranie powstania przez Galicyę odpowiada także widokom gabinetu wiedeńskiego, a tem samem umocniało w przekonaniu, że rachuby rządu francuskiego nie są bez-

podstawnemi; podczas gdy niesioną powstaniu z Galicyi, dotąd na ochotnika pomoc, ułatwiało.

Werbunek do oddziałów powstańczych, przedsięwzięty przez spisek, począł się w Krakowie odbywać jawnie. Od początku zaś władze wojskowe nie stawiały nigdzie dostatecznych przeszkód młodzieży, przez spisek zaprzysiężonej i spieszącej do oddziałów w *Królestwie Polskiem.*

Kary, nałożone na żołnierzy za utratę karabinów, były nieznaczne, jakby zachęcające. Dzienniki pozostające wówczas pod cenzurą, swobodnie pisać mogły o powstaniu. Głosy dzienników wiedeńskich były przychylne.

Dziś osądzić możemy przyczyny postępowania władz austryackich w Galicyi; wtedy stwarzało ono zgubne złudzenie, zachęcało i ułatwiało pomoc niesioną powstaniu. Przez cały czas wypadków było niepewnem i jakby zmiennem. Namiestnikiem był hrabia Mensdorf, który niepewności i zmienności ani rozumiał ani pochwalał; podczas gdy one były, jak zobaczymy w *Części Drugiej*, następstwem po części obrotów dyplomatycznych i zmieniających się stosunków europejskich; w znacznej mierze, nowo zaprowadzonych urządzeń konstytucyjnych, chęci nieprzeniewierzenia się jawnego szumnie głoszonym zasadom wolnomyślnym, oraz zamiaru, aby ruch polski zwrócony był wyłącznie przeciw Rosyi, a nie stworzył nowego wewnątrz monarchii, a także w parlamencie, kłopotu. Do 2 Lutego władza milczała; dopiero 4 Lutego rozlepiono po rogach ulic w Krakowie obwieszczenie Dyrekcyi policyi, następującej treści:

„Władza widzi się zniewoloną zwrócić uwagę mieszkańców, iż wszelkie czynności zmierzające do zdrady głównej lub zamięszania publicznej spokojności. chociażby takowe przedsięwziętemi zostały przeciw innemu obcemu państwu, z którem szczególnemi umowami w cesarstwie austryackiem prawnie obowiązującemi, wzajemność jest zawarowana, stanowią zbrodnię zamięszania spokojności publicznej i według brzmienia § 66 ustawy karnej, ulegają karze więzienia od roku do lat pięciu, przy obciążających zaś okolicznościach, karze ciężkiego więzienia od lat pięciu do dziesięciu. Ostrzega się przeto mieszkańców miasta Krakowa, ażeby wstrzymali się od wszelkiego udziału w powstaniu wybuchłem w *Królestwie Polskiem*. Spodziewać się należy po zdrowym rozsądku ludności, iż żadne tego rodzaju wykroczenia nie zakłócą porządku i spokojności i władze nie zostaną zmuszone do użycia surowości prawa przeciw przekraczającym.“

We Lwowie 2 Lutego wydano obwieszczenie:

„Od kilku dni werbują się w tutejszej stolicy ludzie, w celu przekroczenia granicy *Królestwa Polskiego* i połączenia się z tamtejszymi powstańcami. W tym celu znaczna ilość nawet uzbrojonej młodzieży, opuściła już nasze miasto. C. k. Dyrekcya policyi widzi się przeto spowodowaną przestrzedz, że nietylko werbunek w wspomnionym celu, ale i przekroczenie granicy, cho ciażby tylko zamierzone, pociągnie za sobą postępowanie wedle § 66 ustawy karnej.“

Pomimo tych obwieszczeń, zachowywały się władze pobłażliwie, czasem znowu gorliwiej, zawsze niedołężnie. Zwracano nieliczne do 40 osób gromady, dą-

żące do *Królestwa*, a nie przeszkodzono młodzieży krakowskiej udać się do obozu w Ojcowie. Aresztowanych zwykle wypuszczano na wolność. Przepisy policyjne względem przyjezdnych, rozporządzenia meldunkowe znacznie zaostrzono; na rogatkach przetrząsano, szukano broni. Urzędowa *Gazeta Lwowska* ogłosiła 4 Lutego, iż odtąd zakupno broni wszelkiej we Lwowie i Krakowie, tylko za licencyą Dyrekcyi Policyi może mieć miejsce. Tymczasem zarządzano rewizye jakby dla formy tylko u osób małoznaczących politycznie; w Krakowie u artystki dramatycznej Germann, której służącą aresztowano; podczas gdy *Ława* wysyłać mogła młodzież do oddziałów powstańczych. Konfiskowano wprawdzie jaki numer *Czasu* i *Gazety Narodowej*, ale wogóle pozwalano im pisać wiele i zachęcająco o wypadkach w Królestwie.

Tymczasem dzienniki wiedeńskie niezależne i półurzędowe wyrażały się przychylnie o Polsce i zaznaczały, że Austrya nie solidaryzuje się z Rosyą. Wpływowa *Presse*, pod redakcyą Zanga, zaraz z początku podniosła, że umowa w Münchengrätz zawarta, co do wspólnego postępowania trzech mocarstw względem Polaków, jest przestarzałą i nie będzie Austryę obowiązywać.

W Wiedniu ministrowie, w poufnych rozmowach, twierdzili, że byle powstanie utrzymało się czas jakiś, jużby zrobiło ze sprawy polskiej rzecz, godną uwagi Europy i ważną.

Reklamacye posła rosyjskiego w Wiedniu, Bałabina, o wydawanie chroniących się do Austryi powstańców i zbiegów, odrzucone zostały przez ministra

spraw zewnętrznych hr. Rechberga; wskazał on na zarządzone, już powyżej przytoczone, w Galicyi środki i przedstawiciel Rosyi zadowolnił się tem. Jednocześnie w rozporządzeniu policyi krakowskiej o meldunkach, powiedziano, że rząd c. k. austryacki daje chętnie schronienie osobom, szukającym w jego krajach przytułku, wymaga jednak od nich ścisłego przestrzegania przepisów.

Sejm galicyjski, dopiero co zebrany, został 7 Lutego odroczony, jak gdyby rząd chciał mu oszczędzić trudnego położenia, a sam pragnął zachować wyczekujące wobec powstania stanowisko. Odroczenie bowiem nastąpiło w skutku zamierzonej interpelacyi ks. Adama Sapiehy, co do zarządzonych środków policyjnych; oraz wieści o wniosku innego posła, przesłania petycyi do tronu w sprawie polskiej. Ministeryalny dziennik *Donau Zeitung* oświadczył, że, odraczając sejm, rząd miał na uwadze wypadki w sąsiedztwie.

Dwa organa przedstawiające myśl rządową, *Donau Zeitung* i *General Correspondenz* zajmowały się wciąż wypadkami w *Królestwie Polskiem*. Już 15-go Lutego pierwsza umieściła z powodu konwencyi prusko-rosyjskiej artykuł polemiczny *Sprawy polskie Austryi*, w którym dowodziła, że Austrya dobrze zrobiła, nie łącząc się z postępowaniem Prus i Rosyi. *General Correspondenz* z 18 lutego oświadczał, że stan Galicyi nie wymaga żadnych nadzwyczajnych środków, a tem mniej umawiania się co do wspólnych kroków z Rosyą i Prusami. Słowem, gabinet wiedeński coraz silniej zaznaczał, że Austrya nie pójdzie wspólnie z Prusami i Rosyą.

Jakby dla wskazania, że sprawa jest w toku, sejm galicyjski został powtórnie 25 Lutego odroczonym do 15 Marca.

Był zatem zgubny zbieg okoliczności, który musiał starszych i wytrawniejszych od nas ludzi także w błąd wprowadzić, a który coraz silniej oddziaływał na ogół.

Pod koniec Lutego przybył do Krakowa Stanisław Tarnowski. Wypadki zaskoczyły go były w Neapolu, gdzie w drugiej połowie Stycznia bawił z bratem Juliuszem. Przy śniadaniu, w jakimś małym dzienniku wyczytał, że w *Królestwie* wybuchło powstanie. Wiadomość podana była niejasno, niepewnie, bez żadnych szczegółów, myślał, że bajka albo przesada. Przecież wrócił zaraz do Rzymu w nadziei, że tam dokładniejszą poweźmie wiadomość, zastał Waleryana Kalinkę wówczas w chwilowem poróżnieniu z *Biurem Hotelu Lambert*, Orpiszewskiego, Mira Czackiego, później kardynała, oraz polskich księży Zmartwychwstańców. Nikt nie otrzymał był ani listownych ani innych doniesień, a te, które dzienniki podawały, kazały przypuszczać nieznaczące zajście i burdę, jakiś nierozważny krok bez dalszych następstw. Skoro jednak wiadomości o rozruchach nie ustawały, postanowił Tarnowski podążyć do Paryża, aby zaciągnąć w *Hotelu Lambert*, z którym w ścisłych był stosunkach i którego był współpracownikiem wiadomości i instrukcyi. Nie przypuszczając poważnej walki zbrojnej, powstania ze wszystkiemi jego następstwami, nie zbyt się spieszył i zatrzymywał się po drodze. Stanął w Paryżu około 20 Lutego. Zaraz na wstępie przekonał się w *Hotelu Lambert*, że wy-

padki są ważniejsze, niż przypuszczał. Wzruszenie członków *Biura* było wielkie i niepewność co do przyszłości nie mniejsza. Ks. Władysław Czartoryski był właśnie po rozmowie z cesarzem Napoleonem; treść jej niepewna, nie stanowcza, ale jednak zachęcająca, cesarz bowiem dał do zrozumienia, że jego działanie będzie zależnem od Anglii i Austryi, których zapytał, jak się myślą zachować.

Ztąd w *Biurze* powstało pytanie, co wobec tego robić? Czy można i należy zachować dalej odporne wobec powstania stanowisko, zalecone w instrukcyach przesłanych do Krakowa przez kuryera *G. F.*?

Po zasiągnięciu zdania Walewskiego, ministra spraw zewnętrznych Drouyn de Lhuys, oraz sekretarza cesarza Mocquard, odpowiedź na powyższe pytanie wypadła była w duchu cyfrowanego do mnie telegramu z 16 Lutego.

Powzięto zatem postanowienie, przetrzymania na razie już rozpoczętej walki, przygotowania się do dalszej, ważniejszej i donioślejszej i przystąpienia politycznego do powstania, nietylko w celu poparcia go, ale także dla odjęcia mu znamion rewolucyjnych, a nadania ogólno-narodowych; czynne wystąpienie nastąpić miało dopiero, jeżeli zapowiedziane działanie trzech mocarstw rozpocznie się. Na taki przewidywany wypadek, trzeba było pomyśleć o wojskowych; nie wiedziano bowiem, czy ci, co się po lasach biją, są wojskowymi, nie wiedziano, ani kto, ani jak dowodzi, zaledwie z doniesień dzienników poznano nazwisko Langiewicza. Zapytano zatem hrabiego Ponińskiego, który później jako włoski jenerał, dowodził korpusem. Dziel-

ny ten oficer odpowiedział, że nie podjąłby się organizacyi i rozpoczęcia wojny bez dobrych podoficerów, i że stanowczo bez takich nie pójdzie.

Pułkownik, Zygmunt Jordan, członek *Biura*, postanowił w razie danym stanąć na czele oddziału, ale z tym przez wszystkich zrozumianym warunkiem, że się nie weźmie i nie zgłosi do formacyi oddziału, aż mu z Paryża dadzą znać, że z Londynu i z Wiednia przyszły odpowiedzi przychylnę na zapytanie cesarza Napoleona.

Tarnowski wyjechał wraz z pułkownikiem Jordanem z Paryża 24 Lutego. Jordan zatrzymał się w Wiedniu, gdzie miał czekać na wiadomości z Paryża. Tarnowski widział się w Wiedniu z ks. Leonem Sapiehą, który skarżył się na austryacką ostrożność i małomówność, ale miał wrażenie, że się zanosi na rzeczy bardzo ważne, że gabinet wiedeński wda się w tę sprawę, o czem mu nawet dość wyraźnie mówiono, między innemi szef sekcyi do spraw niemieckich w ministerstwie spraw zewnętrznych, Biegleben; zdaniem księcia, skoro trzy mocarstwa raz się w sprawy polskie wdadzą, nie będą mogły na niczem poprzestać. Z takiemi wiadomościami i szczegółami objaśniającemi cyfrowany do mnie telegram z 16 Lutego oraz listowne instrukcye *Hotelu Lambert*, przybył Tarnowski do Krakowa.

Odtąd Ludwik Wodzicki, Stanisław Tarnowski i ja połączeni, szliśmy wspólnie i zgodnie, a ta wspólność i zgodność przetrwać miała opłakane wypadki 1863 r. i zespolić nas w dalszem publicznem i publicystycznem działaniu, w pracy około kierunku narodo-

wego, któremu pozostaliśmy wiernymi. Brakowało nam wtedy jednego tych późniejszych prac i usiłowań towarzysza, tego, który miał na nich wycisnąć piętno swej zacności, wyższości umysłowej i nauki — Józefa Szujskiego.

Kolega szkolny Tarnowskiego, stracił go on był z oczów, a od 1861 roku prawie zupełnie nie widywał. Widocznem było z tego, co wówczas pisał, że był rozdarty między rozumem i instynktem politycznym, a ówczesną gorączką i wstrętem do zachowawczych, do umiarkowanych ludzi. Był przez te lata w stosunkach zażyłych, prawie serdecznych z różnymi ludźmi skrajnymi, którzy przecież mu się nie podobali i byli mu podejrzanymi. Do spisku nie należał, ani do organizacyi *Ław*, ale z ludźmi tego kierunku żył i znosił się; działał przecież zawsze uspakajająco na nich. Pracował przeważnie etycznie; miewał tajne wykłady historyi polskiej dla młodzieży.

Tarnowski nie spotykał się z nim prawie przez dwa lata ostatnie. Kiedy przybył do Krakowa pod koniec Lutego 1863 r. dowiedział się, że Szujski pozostaje w stosunkach z ludźmi z owej *Ławy*, co ze spiskiem warszawskim była w związku. Był to nowy powód oddalenia, wiedział bowiem, że go nie przekona; nie starał się więc z nim widzieć, a jeżeli się spotykali, nie mówili ani dłużej, ani otwarciej. Szujski wydawał wtedy jakieś pisemko *Naprzód*. *Ława* wysłała go nieco później wraz z Janem Matejko, na wózku z karabinami do obozu Langiewicza w Goszczy. Matejko zobaczywszy obóz, zrozumiał odrazu, że nietylko zwyciężyć, ale trzymać się nie można; Szujski był

w takiem uniesieniu, jakgdyby widział wojsko polskie w Warszawie. To pewna, że późniejsza nienawiść skrajno-demagogicznego stronnictwa do niego, pochodziła stąd, że go wtedy uważało za swego, a potem za odstępcę. W dalszym ciągu wypadków kilkakrotnie Szujski zbliżał się do nas, a mianowicie do mnie i kilkakrotnie odwiedzał mnie w *Biurze* krakowskiem, o którem niżej wspomnę, a nawet podjął niektóre w niem prace. Przełom jednak w jego zapatrywaniach i przekonaniach, nastąpił w końcu 1863 r. i w 1864 r. Potrzeba zmiany kierunku narodowego, ujawniać mu się poczęła w 1865 r. Wtedy Tarnowski był w więzieniu.

Szujski miał przecież poczucie, że podczas wypadków 1863 r.—prawdopodobnie wtedy dopiero, kiedy do *Biura* krakowskiego przychodził — zupełnie jednakowo myślał i działał jak my; nieraz i jeszcze w ostatniej chorobie mówił o tych czasach z tem przekonaniem. Nazywał je najstraszniejszym okresem swego życia, a raz przypominając epilog wypadków, rzekł do Tarnowskiego: „To mi było najboleśniejszem, że nie miałem się przed kim wynurzyć, bo i ty i Koźmian byliście w kozie.“

Szujski obdarzony wyższym rozumem i zmysłem politycznym wprawdzie w 1863 r. jeszcze nie wyrobionemi, ulegał politycznej egzaltacyi, która w początkach wypadków kazała mu wierzyć w zwycięztwo, podczas gdy pogarda wszystkiego, co małe i nieśmiałe — skutek młodości, spadała zrazu na umiarkowanych.

Zboczenie powyższe o Szujskim i jego ówczesnem usposobieniu wchodzi w plan i zamiar tej pracy, któ-

rej zadaniem wykazać, jak wypadki 1863 r. oddziałały na grono, które po nich miało wejść na odmienną od dotychczasowej drogę.

Z przybyciem Tarnowskiego tak nazwane przezemnie *grono krakowskie*, które miało następnie założyć *Przegląd Polski*, i któremu później publiczność inne nadać miała miano, uzupełniło się na razie.

Mając teraz dokładne wiadomości i instrukcye o przygotowującem się działaniu europejskiem, więcej od ogółu wiedzieliśmy, lecz też silniej pchanymi byliśmy z zewnątrz i coraz ściślej związani z owem działaniem. Przekonani przecież, iż powstanie nie może rozwiązać sprawy polskiej, lecz tylko doprowadzić do wojny, usiłowaliśmy jeszcze zgodnie z instrukcyami *Hotelu Lambert*, ograniczać je do *status quo* i oszczędzać przedwczesnych ofiar.

Wreszcie dla lepszego i dokładniejszego przekonania się o stanie rzeczy i określenia naszego zadania, nie zadowolniliśmy się korespondencyą z Paryżem, nawet relacyą Tarnowskiego i wysłaliśmy do Paryża Ludwika Wodzickiego. Zażądał był tego zresztą od nas *Hotel Lambert*, a zwłaszcza mój ojciec, a to, aby ktoś z kraju, przekonał się *de visu et auditu*, jakie są widoki poparcia i pomocy zewnętrznej.

Wodzicki trafił w Paryżu na chwilę — jeżeli wogóle można to powiedzieć—pomyślną, najpomyślniejszą dla sprawy polskiej, w której istotnie poważne toczyły się o nią między mocarstwami układy, i w której cesarz Napoleon i jego rząd ożywieni byli najlepszemi nadziejami i chęcią działania, opartego na współudziale Anglii zwłaszcza Austryi. Wodzicki zniósł się

z *Hotelem Lambert*, z ministrami mającymi przeważny wpływ na zewnętrzną politykę, z Drouyn de Lhuys i Walewskim, wreszcie z powiernikiem cesarza i jego sekretarzem Mocquard. Wszędzie i od wszystkich usłyszał to samo zdanie, że nigdy jeszcze od rozbioru, sprawa polska nie miała tak pomyślnych widoków europejskiego rozwiązania, jak obecnie. Ministrowie zachęcali, rozpalali go i poniekąd pchali przez niego tych, o których wiedzieli, że nie pozostaną obojętnymi na ich słowa. Nie potrzebuję dodawać, że konkluzyą ich zwierzeń była potrzeba trwania i popierania powstania. Zniósł się Wodzicki natychmiast z Walewskim, który w obszernych rozmowach przedstawił mu położenie i poważne widoki skorzystania z okoliczności dla pomyślnego rozwiązania sprawy polskiej. Oświadczył mu, iż rząd cesarski zawiązał z Anglią i Austryą układy, dla rozpoczęcia działania, którego punktem wyjścia będzie, żądanie postawione Rosyi, aby w całej pełni przywróciła w *Królestwie Polskiem*, stan rzeczy przed 1831 r., z rozszerzeniem terytoryum, do którego ten stan rzeczy ma być zastosowanym; w razie odmowy stanie na porządku dziennym utworzenie Polski niepodległej z arcyksięciem austryackim na tronie. Aby to działanie umożebnić, mówił Walewski, potrzebnem jest trwanie powstania; aby ułatwić wdanie się mocarstw, należy mu nadać znamiona ogólno-narodowe, a oczyścić je z ogólno-rewolucyjnych naleciałości, „*faites durer et faites élargir les limites de l'insurrection.*" „Zapewnijcie trwałość i rozszerzcie granice powstania."

Wodzicki miał wreszcie spotkanie z powiernikiem najzaufalszym Napoleona III, z tym, którego pióro

najczęściej wyrażało myśl cesarską, z sekretarzem cesarza, Mocquard.

Potwierdził on w całej pełni to, co Wodzicki dopiero co był usłyszał z ust ministra stanu, Walewskiego, tylko jeszcze goręcej przedstawił mu konieczność trwania powstania, a z większym dodał naciskiem: „*étendez l'insurection territorialment, car cela peut influer sur les limites, dans les quelles la reconnaissance des droits nationaux sera exigée et comprise.*“ — „Rozszerzcie terytoryalnie powstanie, gdyż może to wpłynąć na rozmiary, w których zażądanem i objętem będzie uznanie praw narodowych.“

Wodzicki powrócił do Krakowa, pełen otuchy i nadziei, a wsród nich już znikł był znak zapytania dotąd stojący przed słowy: czy godzi się i należy popierać powstanie?

Cóż stało się między wysłaniem kuryera *G. F.* przez *Hotel Lambert*, a przesłaniem cyfrowanego telegramu? Jakież zaszły wypadki, które zupełnie nowy, niespodziewany dały obrót położeniu i stały się początkiem interwencyi europejskiej w sprawie polskiej; skłoniły ludzi rozważnych do poparcia i złączenia się ze zgubnem i bezrozumnem przedsięwzięciem i rozstrzygnęły o smutnej na zawsze pamięci, udziale naszym w tem przedsięwzięciu?

Oto naraz zajaśniały przed cesarzem Napoleonem widoki przeprowadzenia od dawna żywionych zamiarów, uzyskania marzonych dla Francyi, a zwłaszcza dynastyi napoleońskiej korzyści; połączenia ich z podniesieniem i rozwiązaniem „drogiej Francyi“ sprawy polskiej, które było osobistem od dawna pragnieniem cesarza,

zgodnem z postawioną przez niego zasadą narodowości; oraz wydobycia się z trudnego i niemiłego dla cesarza położenia; porzucenia bierności wobec sprawy, którą jego program, oparty na powyższej zasadzie, obejmować musiał. Widoki te stworzyła była konwencya prusko-rosyjska z 8 Lutego, o której dowiedziano się w Paryżu pod koniec pierwszej połowy Lutego. Wnet zaś potem, pojawiła się możność użycia jedynego do celu prowadzącego środka, przymierza w sprawie polskiej Francyi z Austryą, graniczącą z polskiemi posiadłościami Rosyi, przymierza zabezpieczonego i wzmocnionego, przystąpieniem do niego Anglii, której nie tyle ważnym był współudział, jak niebezpiecznym stać się mógł opór i niechęć.

Jakżeż rzekome są przewidywania, zamiary i postanowienia ludzkie! Wtedy, kiedy myśleliśmy, że przesłane przez kuryera *Hotelu Lambert* instrukcye, są ostatecznemi i stanowczemi, i mniemaliśmy, że proste i wyraźne mamy zadanie odwrócenia się od zgubnego powstania; kiedy jednocześnie potężny wówczas władca Francyi, tylko w odpornem wobec powstania polskiego stanowisku, widział dla siebie i sprawy polskiej korzyści; zapominaliśmy, iż w rzeczach ludzkich to, co poczytujemy za ostateczne i stanowcze, staje się zbyt często tylko początkiem dalszej niepewności.

Zwrotowi europejskiemu wobec powstania polskiego, dała początek konwencya prusko-rosyjska, zawarta w Petersburgu 8 Lutego, zaznaczająca solidarność obu mocarstw i zapewniająca pomoc Prus wobec powstania w polskich posiadłościach Rosyi. Bismark

podniósł tym układem, który Rosyi narzucił, sprawę polską.

W pierwszej chwili zrobiła była konwencya i na nas nie małe wrażenie, a nim znaną była światu. *Czas* wytykał postępowanie władz pruskich i wzajemne stosunki rosyjsko-pruskie na granicy, zdradzające jakiś układ. Gdy jednak nie dały one natychmiast powodu do silniejszego wystąpienia innych rządów, mniemaliśmy, że i konwencya nie zwiększyła widoków obcego, z powodu powstania, wmięszania się za Polską.

Rzecz miała się inaczej, jakieśmy się z listów *Hotelu Lambert* dowiedzieli.

Konwencya zawarta między Prusami i Rosyą w Petersburgu 8 lutego, przez wysłanego tam z Berlina jenerała Alvenslebena, acz w całej swej treści nie znana, budziła niechęć i wiadomości mocarstw zachodnich z podejrzeniem iż zawiera zobowiązania sekretne. Wobec tego, cesarz Napoleon, upatrując zapewne dogodną sposobność rozwiązania sprawy granic Renu, a zarazem usuwając powód wmięszania się w wypadki polskie bez naruszenia węzłów swoich z Rosyą stosunków, porzucił dotychczasowe względem niej stanowisko i bezczynność w której się był z początku uzbroił. Minister spraw zewnętrznych Drouyn de Lhuys wystosował 17 lutego depeszę do barona Talleyranda, ambasadora w Berlinie, z powodu konwencyi, żądając wytłómaczenia. Jednocześnie rząd francuski, przedtem napierany przez Anglię w sprawie polskiej, wysłał 19 notę do Londynu, wzywając rząd angielski do wspólnego z powodu konwencyi dyplomatycznego działania w sprawie polskiej.

Donosił o tem mój ojciec 21 Lutego do *Czasu*.

Anglia, która podejrzywała zamiary cesarza Napoleona co do Renu, odmówiła wystąpić wspólnie w Berlinie z powodu konwencyi, a lord Cowley, ambasador angielski w Paryżu, zauważył, że nie należałoby omijać głównego winowajcę, lecz zwrócić się wprost do Rosyi. Gabinet wiedeński oświadczył, iż już dostatecznie nacechował swoje stanowisko, odmawiając przystąpienia swojego do konwencyi. Sam rząd pruski wycofał się nieznacznie z tej sprawy, pokazało się, że zobowiązanie sekretne było bez doniosłości, a wskutku interpelacyi Schulce-Delitscha i Carlowitca w sejmie pruskim i wniosku Bockom-Dolffsa, przyjętego i uważanego za potępienie konwencyi, bo zalecającego ścisłą neutralność, odtąd poczytaną ona została za niebyłą i Drouyn de Lhuys w okólniku do ajentów francuskich to obwieścił.

Ale kiedy w ten sposób zamykał się epizod, który dał był powód do zwrotu wobec powstania i do wysłania przez *Hotel Lambert* pamiętnego cyfrowanego telegramu, sprawa polska w inny, bardziej bezpośredni sposób podniesioną została.

Dnia 2 Marca odczytaną została w Petersburgu pierwsza w sprawie polskiej nota lorda J. Russella, w której żądał amnestyi i przywrócenia stanu rzeczy z 1815 r. Jednocześnie lord J. Russell, wzywał Francyę, aby poczyniła w Petersburgu odpowiednie przedłożenia. Cesarz Napoleon nie chcąc stawać na gruncie traktatu wiedeńskiego, ale zwłaszcza nie chcąc narażać sobie Rosyi, obrał raz jeszcze dawną drogę i napisał wprost list do cesarza Aleksandra II, wzywający go

do czynu wspaniałomyślnego, naprawy względem Polaków. Pomimo tego, cesarz Napoleon próbował zbliżenia się do Austryi, a za oznakę takowego, która nie małe wówczas sprawiła wrażenie, poczytano bytność cesarza i cesarzowej na balu ambasadora austryackiego, ks. Ryszarda Metternicha. Początek jednak bliższym zwierzeniom dały dopiero słowa zamienione między ks. Metternichem, a cesarzową Eugenią na balu w Tuileries. Podczas figury kontredansa, w której ambasador podawał rękę cesarzowej, ta rzekła do niego: „Czy zupełnie nie czułymi jesteście na los tych biednych Polaków?“ — „Nie tak bardzo, jak mniemasz, Naj. Pani wcale nie“— odparł ks. Metternich. Po skończonym kadrylu cesarzowa, na której słowa księcia nie małe zrobiły wrażenie, dłuższą z nim zawiązała rozmowę, z której dowiedziała się, że z wielu powodów Austrya nie może obojętnie patrzeć na wypadki w Polsce, i że przedewszystkiem pożądanemby było dla niej porozumienie w tej mierze z Francyą.

Cesarzowa natychmiast zawiadomiła cesarza o tem wynurzeniu się ambasadora, a cesarz na drugi dzień zawezwał ks. Metternicha i wszedłszy gruntownie w rozbiór rzeczy, naszkicował plan wspólnego postępowania w sprawie polskiej i w innych sprawach europejskich. Ks. Metternich zdał sprawę z tych oświadczeń swojemu rządowi.

O tem wszystkiem, z pominięciem niektórych szczegółów, doniesiono nam z Paryża.

Nadeszła tymczasem 9 Marca odpowiedź rosyjska na ostatnie francuskie wezwanie do kompromisu i poważnych w sprawie polskiej ustępstw; odpowiedź od-

mowna, uznana przez cesarza Napoleona, jak nam donoszono, za nieprzyjmowalną. Wtedy cesarz ponownie zawezwał ks. Metternicha i zażądał, aby udał się do Wiednia, dla przedłożenia cesarzowi Franciszkowi Józefowi, przed kilku dniami nakreślonego planu i ofiarowania przymierza z Francyą. Napoleon III dodał w końcu; „Jeżeli Austrya zechce działać w sprawie polskiej, gotów jestem do wielkich na jej korzyść ofiar.“ — Ks. Metternich podobno w dobrej wierze i z przekonaniem o powodzeniu, podjął się tej misyi, tem więcej, że dla lepszego wyjaśnienia położenia, własny jego rząd wezwał go był do Wiednia. Do nas zaś ztamtąd pisano z kompetentnego źródła 12 Marca:

„Cesarz Napoleon był tak pewnym wyłącznie dla siebie przyjaznych usposobień cesarza Aleksandra II w kwestyi polskiej, iż pokazał się przy układach w tej mierze prawie obojętnym dla Austryi i Anglii, nie przystał też na kroki wspólne w Petersburgu i sam poszedł swoją drogą. Odpowiedź z Petersburga nie ziściła oczekiwania cesarza Napoleona. Była w Paryżu wielka rada ministrów. Ks. Metternich zawiadomił tu, że na niej ministrowie przychylni Austryi i Anglii, mocno mówili przeciw Rosyi. Cesarz milczał, ale miał widocznie zostawać pod przykrem wrażeniem. Ambasador ks. Gramont, który był ciągle chory, nagle wyzdrowiał, stracił chrypkę i zaczął tu mówić o Polsce Zrozumiano tutaj, skąd wyszło natchnienie. Lecz dla bliższego zbadania sytuacyi, gabinet tutejszy chce słyszeć ks. Metternicha, który w tym celu powołanym został i w tych dniach tu stanie.“

Na wiadomość o misyi powierzonej ks. Metterni-

chowi prrez Napoleona III, *Hotel Lambert* w przesłanych nam instrukcyach, wielki na nią położył nacisk i główną przywiązywał ważność do objawionej przez Austryę chęci, zajęcia się sprawą polską; podnosił doniosłość podjęcia się przez ambasadora austryackiego, przedłożenia swojemu monarsze widoków i zamiarów cesarza Napoleona, odnośnie do wypadków w Polsce i do przymierza z Austryą; słowem, czynił zawisłym od tej misyi, dalszy obrót rzeczy. Ks. Metternich wyjechał z Paryża 12 Marca.

Wśród tych okoliczności przybył do Paryża Ludwik Wodzicki i zastał ten nowy a doniosły zwrot w polityce Napoleona III. Wobec niego sejm galicyjski po raz trzeci 10 Marca, odroczonym został do 29 Marca, i już podczas wypadków nie zebrał się.

Sądząc dziś nawet wobec opłakanego skutku, można przecież powiedzieć, że była to chwila poważna i jedyna, w której w 1863 r. sprawa polska wstępowała na drogę, po której, znalazłszy niezbędne warunki powodzenia, dojść mogła do pomyślnego celu; chwila, w której bez lekkomyślności i złudzeń, można było korzystne dla niej czynić rachuby.

Oczywistem było, że w ówczesnym stanie Europy, bez czynnego i wojskowego wystąpienia Austryi, nie było możliwego rozwiązania przeciw Rosyi, sprawy polskiej; że to jej wystąpienie było koniecznem, aby umożebnić skuteczne wojskowe współdziałanie Francyi. Nauki przeszłości i pewne, nieokreślone wprawdzie, ale istniejące tradycye, mogły wskazywać Austryi, potrzebę zabezpieczenia się z tej strony, jeograficznie i etnograficznie; nowy liberalny kierunek przyjęty wew-

nątrz oddalał ją od dwóch innych mocarstw północnych i czynił pożądanem, zaznaczenie różnicy postępowania; wreszcie interes chwili zarówno jak przyszłości, nie pozwalał jej lekceważyć ofiarowanego przymierza zabezpieczającego ją przed coraz widoczniejszemi wrogiemi jej dążeniami Prus, a otwierającego widoki odzyskania w innych stronach świata, strat terytoryalnych, świeżo we Włoszech poniesionych.

Wobec tego poruszenie przez ambasadora austryackiego w Paryżu myśli, porozumienia się Austryi z Francyą w sprawie polskiej, uchwycenie się jej przez cesarza Napoleona, po zawodzie doznanym ze strony Rosyi; spieszne i chętne oświadczenie jego o postanowieniu poczynienia potrzebnych ofiar dla zawarcia przymierza, które koniec kładło dotychczasowym stosunkom francusko-rosyjskim; podjęcie się w tym celu przez ks. Metternicha, misyi do swego monarchy, bez pozwolenia którego, nie mógłby był jej przyjąć—stwarzało dla sprawy polskiej nie tylko widoki, ale już warunki powodzenia.

Jednocześnie niemal z rozmową ks. Metternicha z cesarzową Eugenią, nadeszły były z Londynu do Paryża raporta, iż rząd angielski nie myśli pozostać obojętnym wobec wypadków w Polsce, i że ponownie oświadcza, iż dziwiłby się wielce, gdyby cesarz Napoleon, obrońca zasady narodowości, nie wyszedł ze swej bierności.

Wchodziły tu teraz w grę zbyt potężne czynniki, aby nawet pomimo ostatecznego zawodu, nie uznać ówczesnego ich znaczenia i doniosłości.

A przecież mieliśmy się stać znowu tylko igrasz-

ką własnej łatwowierności, wychowania politycznego, obrachowanego i opartego wyłącznie na wierze w odzyskanie niepodległości za sprawą obcej pomocy, którą w interesie Europy dokonać miała dzieła.

Mieliśmy nareszcie, raz jeszcze paść ofiarą gry mocarstw między sobą.

ROZDZIAŁ IV.

Dymisya członków Rady Stanu. Rząd tajny i dyktatura Langiewicza. Udaję się do jego obozu w Goszczy ż poleceniami *Hotelu Lambert*. Rozmowa z Langiewiczem. Grochowiska. Oddziałanie upadku dyktatury na zewnątrz i wewnątrz.

Z poleceń, jakie odebraliśmy wtedy z *Hotelu Lambert*, jedno było szczególniej pożałowania godnem. Zalecono nam — znowu dla okazania, że powstanie jest narodowem a nie rewolucyjnem — że wszyscy odsuwają się od Wielopolskiego, potępiają jego system, że rządy jego są niemożliwe, że się łamią w jego rękach, doradzać i nalegać na podanie się do dymisyi Rady Stanu i rad powiatowych oraz miejskich. Przesłaliśmy do Warszawy to polecenie, które zresztą doszło tam także wprost z Paryża. Jak nam donoszono, opierało się ono na życzeniu rządu francuskiego, który uważał, że dymisye potrzebne są, wobec zamierzonego się wdania mocarstw.

Widocznem było, iż szło tu o dostarczenie nowego argumentu, oczekiwanemu wmięszaniu się mocarstw w sprawy polskie i dlatego *Hotel Lambert* uznał za potrzebne, aby cała poważna część kraju, zaznaczyła

jawnie odepchnięcie systemu Wielopolskiego i uroczyście z nim zerwała, przez wystąpienie gremialnie obywateli z Rady Stanu, a następnie z *Rad powiatowych gubernialnych* i *miejskich* w *Królestwie Polskiem.*

Nie pisząc historyi tych wypadków, lecz zastanawiając się tylko nad ich istotnem znaczeniem i następstwami, kładę nacisk na główne zdarzenia, a raczej na działanie w nich i odpowiedzialność ludzi. Dlatego omawiam obszerniej dymisye z *Rady Stanu*, a później *Rad powiatowych* i *gubernialnych*; było to bowiem ostatecznem zerwaniem rozsądniejszych żywiołów z systemem Wielopolskiego.

Po nadejściu wiadomości o jakiemś krwawem starciu wojsk rosyjskich z powstańcami, członkowie Rady Stanu otrzymali zaproszenie na wieczór do W. Ks. Konstantego.

Lewińscy jenerał i brat jego radca stanu, Gruszecki, Aleksander Kurz, Węgliński i inni. Zebrali się oni, aby się naradzić, co zrobić; przybyli także nie członkowie Rady Stanu. Głośno, zwłaszcza Kurz, wyraził zdanie, że kiedy krew się leje, nie można iść na herbatę do Wielkiego Księcia. Węgliński szedł zawsze za Kurzem. Jeden członek Rady Stanu, był za przyjęciem zaproszenia, nie chcąc właśnie w takiej rzeczy drażnić W. Księcia i dla takiego szczegółu zmieniać cały kierunek polityczny. Jeden z obecnych przyznawał, że konsekwencya jest czemś, i że ona nakazuje iść. Uchwalono przecież nie pójść. Ów przeciwnego zdania radca, tę zachował przynajmniej przyzwoitość, iż napisał do Chreptowicza, mistrza dworu W. Księcia, że z powodu słabości matki nie może przyjść.

Wheit, zastępujący konsula angielskiego, który był tego wieczora na zamku, rzekł do niego potem: „Cóżeście dobrego zrobili. W. Książe miał wciąż oczy zwrócone na drzwi i patrzał niespokojny czy przyjdziecie.“

Od tej chwili, ci panowie, nie widzieli się już z W. Księciem. Od tego czasu odcięci od wszystkiego, byli malowanymi.

Konsul francuski, Valbezan, który zastąpił Ségura, uśmierzał wprawdzie w pierwszych dniach powstania i przechylał się na stronę Wielopolskiego, ale sekretni ajenci, których poczytywano za oficyalnych, którzy pochodzili od Mocquarda, Feliks Wołowski, między innymi, podburzali, a wszyscy mówili: *durez* „trwajcie.“ Feliks Wołowski przyjechał w Marcu z Paryża z wyrażonem jakoby przez rząd francuski życzeniem, aby *Rada Stanu* i *Rady powiatowe* i *gubernialne* dymisyonowały, oraz niby z poleceniem do jednego z wpływowych magnatów, aby wywołał demonstracyę uliczną, przeciw tym, którzyby się do dymisyi nie podali. Klaczko i Kalinka, piszą do przyjaciela zasiadającego w *Radzie Stanu*, aby się podał do dymisyi.

Wobec tego zbierają się członkowie *Rady Stanu* i pomimo opozycyi owego jednego radcy, postanawiają podać się do dymisyi, a najgłówniej za tem obstaje Aleksander Kurz, za nim Węgliński. Jeden z członków byłego komitetu *Towarzystwa Rolniczego*, radzi jednak posłać jeszcze kogoś do Paryża, aby się przekonać, czy dymisya jest istotnie żądaniem cesarza. Paweł Popiel uproszony, aby pojechał, umawia się, że jeżeli zatelegrafuje: *Vendez actions Bromberg* „sprzedajcie akcye ko-

lei brombergskiej," to znaczy dymisya, a jeżeli: *gardez actions Bromberg* „zachowajcie akcye kolei brombergskiej," to znaczy wstrzymać się. Popiel nabiera w Paryżu przekonania, że nagłości co do dymisyi niema, telegrafuje: *Attendez mon retour* „czekajcie na mój powrót." Tymczasem Kurz i inni, nie czekając powrotu Popiela oświadczają, że się podają do dymisyi i podają się prócz Władysława Małachowskiego i Aleksandra Ostrowskiego. Pierwszy podał się ten radca, który przeciwny był temu krokowi. Później podał się arcybiskup Feliński.

Ostatnia nić, którą nawiązać można było zbawczy kompromis, zerwaną zatem została. Tak nazwani niezawiśli członkowie Rady Stanu: Gruszecki, Aleksander Kurz, bracia Lewińscy, Franciszek Węgliński, Konstanty Górski podali się 10 Marca do dymisyi, a nieco później arcybiskup Feliński i Stawiski. Niebawem też wszyscy marszałkowie szlachty na Litwie i wszyscy pośrednicy mirowi, w liczbie 250 podali się do dymisyi, torując drogę rządom Murawiewa i Berga.

I tak wciąż dalej postępowaliśmy, a raczej brnęliśmy wszyscy, pchani fatalnością, która w polityce niczem innem nie jest, jak nieuniknionem następstwem raz popełnionego zasadniczego błędu, oraz nazwą, którą ludzie zwykli dawać wynikom własnych pomyłek.

Podczas, gdy istotną przyczyną dymisyi członków Rady Stanu, były polecenia zbyt pospiesznie nadesłane z Paryża; dzienniki polskie rzecz w zupełnie innem starały się przedstawić świetle: „Najważniejszym wypadkiem dnia dzisiejszego, pisał korespondent z Warszawy, jest podanie się do dymisyi członków Rady Stanu.

Obywatele ci, powołani przez rząd do zasiadania w Radzie Stanu, pozostając na swem stanowisku, przyjmowali w pewnej mierze solidarność za czyny i postępowanie tego rządu, od którego mandat ich pochodzi. Gdy zaś jawnie się wykazało, iż instrukcye dane naczelnikom wojennym, mają na celu wywołanie rzezi, pobudzenie do tego włościan przeciwko właścicielom ziemskim, zniszczenie pożogą i rabunkiem miast i wsi, które pierwsze rzuciły się do broni — przeto postanowiono okazać aktem głośnym, jak wielkiem jest oburzenie przeciwko takiemu postępowaniu. O ile wiadomo, ostatecznie do powzięcia decyzyi podania się do dymisyi, skłonił ogłoszony w pismach tutejszych 7 b. m. rozkaz naczelnika sztabu do naczelników wojennych, który mówiąc niby o chęci zasłonięcia obywateli od nadużyć, w § 2-im nadaje włościanom wyraźne prawo aresztowania wszelkich osób podejrzanych i odstawiania ich władzy wojskowej. Wiemy już, co takie rozkazy znaczą.“

Tak to budowano na kłamstwie, a raczej niszczono.

Polecenie i instrukcye przesłane nam z Paryża a oparte na zwrocie zaszłym w stosunkach europejskich, popierania powstania, odjęcia mu znamion rewolucyjnych, a nadania wyłącznie narodowych, wpłynęły na zamiar ujawnienia narodowej władzy powstańczej, która była dotąd tajną. Ztąd powstała myśl dyktatury.

Było to anomalią, aby z chwilą zbrojnego działania *Komitet centralny* jako tymczasowy *Rząd Narodowy* był tajnym, to jest, aby pozostał spiskiem. W owej

nieszczęsnej, ale dziwnej epoce, zapanowały same dziwaczne fikcye.

Rozpoczęta zbrojna walka, nie była wojną, ów rząd narodowy, rządem, a przecież, staczano potyczki i w pewnym zakresie komitet spiskowy rządził. Ani powstanie kawałka kraju opanować i usadowić się na nim, ani ów rząd narodowy, władzy istotnej ująć w ręce nie mogli, a przecież ani powstania poskromić, ani rządu narodowego uchwycić nie zdołały władze w *Królestwie Polskiem*. Stwarzało to stan rzeczy niewidziany dotąd, niepojęty, przez pół fikcyjny, przez pół rzeczywisty, bajeczny.

Wobec tego zatem, iż sprawa polska zaczynała przybierać znamiona rzeczywistości, powstała myśl wyjścia z tego stanu rzeczy i zastąpienia tajnego rządu narodowego, jawną dyktaturą. Grono nasze nie brało udziału w wytworzeniu dyktatury, już dla tego, że nie umielibyśmy powiedzieć, kogo ogłosić dyktatorem. W Krakowie do ogłoszenia Langiewicza dyktatorem głównie się przyczynił Leon Chrzanowski i przeważnie poparł dyktaturę *Czas*, którego on był współredaktorem. Publicysta utalentowany, żelaznej pracy i wytrwałości, nieugiętej konsekwencyi w raz obranym kierunku, który uznawał za dobry, ze swojego punktu widzenia; Leon Chrzanowski, synowiec jenerała, po wypadkach zasłużony poseł do wszystkich niemal ciał prawodawczych, o ile mi wiadomo nie należał do spisku, lecz był od początku wypadków w styczności z ludźmi ruchu. Chrzanowski, acz gorący patryota, wówczas zanadto daleko idący, był w zbyt dobrej szkole politycz-

nej, aby nie czuć niebezpieczeństw i anomalii rządu tajnego.

Langiewicza jednak wskazywały jedynie i wyłącznie kilka szczęśliwych potyczek; niezawodnie było to za mało.

Dobrą stroną dyktatuty byłoby, gdyby spiskowi położyła była koniec. Oczywistem było, iż w razie wtedy spodziewanego działania mocarstw, one nie mogłyby się znosić z tajnym rządem i potrzebowałyby jawnego. Ujemną stroną dyktatury było, iż utrzymać się nie mogła, bo dla tych właśnie powodów, dla których mogła stać się cenną, musiał rząd rosyjski wytężyć wszelkie siły, aby dyktatora z jego oddziałem rozbić lub wyprzeć. Dyktatura bez bezpośredniej pomocy zewnątrz, musiała upaść i najwłaściwszem było odłożyć jej ogłoszenie do chwili, w którejby obce wojska przekroczyły granicę. Próba zaś nieudana dyktatury, musiała przyjść w pomoc teoryi tajnego rządu, ustalić przekonanie o jego konieczności, a zatem jego władzę, podczas gdy jednocześnie zamiast dopomódz akcyi zewnątrz, musiała na nią do pewnego stopnia oddziałać niekorzystnie. Słowem dyktatura w zasadzie słuszna, była w zastosowaniu niepraktyczną. Skoro jednak powstała, zadaniem jej głównem, powinno było być — trwać jak najdłużej, trwać przynajmniej tyle, ile to potrzebnem było dla wpłynięcia na przebieg toczących się między mocarstwami układów. Tymczasem zaraz po ogłoszeniu w Goszczy 10 Marca dyktatury, rozpoczęła się owa pochodząca z naszej przeszłości i obyczajów licytacya patryotyczna *in plus*, która pchała Langiewicza do przedsięwzięcia rzeczy niemożliwych, nie odpo-

wiednich rozporządzalnym środkom, to jest do wyparcia wojsk rosyjskich ze znacznej części kraju, aby w niej ustalić rządy dyktatury. Było to niepodobieństwem, a znowu dyktatura bez odpowiedniego terytoryum, stawała się także fikcyą, jeszcze większą niż rząd narodowy tajny.

Aby zrozumieć to położenie, zastosować się do niego i zapanować nad niem, trzeba było człowieka wyjątkowo niepospolitego, a jeszcze pytanie, czy byłby sprostał zadaniu. Langiewicz zaś był tylko uczciwym i rozsądnym człowiekiem, jak tego dowiódł, nie bawiąc się nigdy w exdyktatora. Wynosić na tak trudne stanowisko człowieka zwykłego, dlatego tylko, że dotąd Rosyanie nie rozbili jego oddziału, nie było roztropnem.

Jak skrajne żywioły i spiskowcy z zawodu, zapatrywali się na dyktaturę, świadczy list Bobrowskiego, przysłanego do Krakowa przez *Komitet centralny warszawski* w charakterze nadzwyczajnego komisarza, dla zbadania jak się wyraził, „intryg *białych* i wyrwania dyktatora z rąk strasznej reakcyi.“

Jak tajny rząd przyjął i przyjmował dyktaturę, świadczy odezwa do Langiewicza, wystosowana z Warszawy 16 Marca, w przededniu katastrofy, przez *Komitet centralny*, w której oświadcza, że objęcie dyktatury było zamachem stanu, że *Komitet* zrzuca na niego odpowiedzialność za następstwa i nieudanie się powstania i kończy: „A teraz z całej piersi krzyczymy: niech żyje dyktator; precz z reakcyą! Do odebrania twej odpowiedzi, pozostajem z najgłębszym szacunkiem.“

Otrzymałem z *Hotelu Lambert* polecenie udania się do Langiewicza, przedłożenia mu położenia zewnętrznego

i zalecenia, aby ze względu na to położenie, starał się trwać, unikał rozbicia i bacznie, a w razie danym stanowczo zachował się wobec Mierosławskiego, który knuje niebezpieczne przeciw niemu zamiary. Miałem również zdać sprawę ze stanu obozu i z wrażenia, jakie na mnie zrobi ten człowiek.

Z misyą tą udałem się do Goszczy, do obozu dyktatora. Towarzyszył mi ks. Eustachy Sanguszko, który zamierzał ofiarować Langiewiczowi wierzchowca. Jechaliśmy na Michałowice, ogołocone z władz rosyjskich, a chociaż między Goszczą i Michałowicami pojawiali się od czasu do czasu Kozacy, nie spotkaliśmy się z nimi.

Ujrzeliśmy w zamian powstańcze pikiety, Krakusów na koniach, trzymających wartę około Goszczy. Niebawem stanęliśmy na dziedzińcu dworku — [illegible] wśród obozu główna kwatera dyktatora. [illegible] sprawiał wrażenie szlacheckich łowów; [illegible] wszystko, jak przygotowujący się, na dziedzińcu szlacheckiego dworca, wyjazd na polowanie. [illegible] dział, tak zwany, żuawów Rochebruna, w [illegible] dzy innymi spotkałem Karola Chłapowskiego, [illegible] co wojskową postawę, wciąż ćwiczony [illegible] przez dowódcę. Na dziedzińcu stała wśród [illegible] Pustowojtow.

Widok tego obozu, nie mógł pozostawić [illegible] szego złudzenia co do siły powstania. [illegible] przedstawiało się w całej nagości, [illegible] było, jako zgubna lekkomyślność, [illegible] pomoc mogła przemienić w poważną [illegible]

Langiewicz przyjął mnie w [illegible]

rej znajdowało się kilku członków jego sztabu, a między nimi poseł do sejmu pruskiego, Władysław Bentkowski, który był szefem sztabu. Po chwili dyktator wyszedł ze mną do ogrodu i tam długą mieliśmy rozmowę. Przedłożyłem mu powód mojej misyi, pozostający ściśle w związku z rzeczą najważniejszą, bo z położeniem zewnętrznem i toczącemi się układami; przedstawiłem, iż skoro dyktatura ogłoszoną została, przedewszystkiem potrzebnem jest jej trwanie, tak dla pomyślnego obrotu układów między mocarstwami, jak też jako punkt wyjścia dla nich w działaniu wobec Rosyi, że potrzebnem jest także dla trzymania na wodzy skrajnych żywiołów; że zatem zdaniem *Hotelu Lambert*, nie potrzeba na razie zwycięztw dyktatora, ale istnienia dyktatury, a więc należy unikać tego, coby siły dyktatora rozproszyło lub na szwank naraziło; że należy mu choćby w lasach przetrwać czas jakiś, byle się nie narazić na rozbicie. Dodałem, iż w Paryżu poczytują za największą korzyść dyktatury, wyjście sprawy z fazy rewolucyjnej, że zatem strzedz się trzeba i środków i pozorów rewolucyjnych, a zwłaszcza wszelkiego wspólnictwa z Mierosławskim, który jak o tem przestrzega dyktatora *Hotel Lambert*, ma zamiar działać i wystąpić przeciw niemu.

Langiewicz słuchał mnie z uwagą i uprzejmie. Co się tyczy Mierosławskiego, zadowolnił mnie zupełnie, oświadczając, iż wie o jego intrygach, które silnem wyrażeniem nacechował, i że gdyby się ukazał, pochwycić go każe i rozstrzelać. Co do zasady trwania jedynie i unikania stanowczej rozprawy, którąby go na rozbicie narazić mogła i położyła koniec dyktaturze,

oświadczył mi peremptorycznie, że za parę dni oczyści Krakowskie z Rosyan, że nie potrzebuje się ich obawiać, że przeciwnie szukać będzie z nimi spotkania, i że jest pewnym zwycięztwa. Zrozumiałem, że zdąża do niechybnej zguby. Starałem się go odwieść od nieroztropnych a niepotrzebnych kroków, ale bezowocnie. Langiewicz był sympatycznym i osobiście skromnym; nie stanowiskiem swoim, ani bynajmniej dyktaturą, ale małemi poprzedniemi powodzeniami miał zawróconą głowę, bał się, aby go nie ubiegł Mierosławski, czuł, że rząd narodowy istniał pomimo dyktatury, i że czuwał nad nim i czekał na pierwszy w mniemaniu ówczesnego ruchu błąd; nareszcie, pchany był temi głosami, co za plecami wszystkich dowódców polskich powstań, odzywały się — ociąganie się, brak stanowczości, zdrada! Nikt zaś nie oddziaływał w przeciwnym, roztropniejszym kierunku. Władysław Bentkowski, człowiek światły, który znał teoretycznie, a także nieco praktycznie prawdziwą wojnę, przyjął był obowiązki szefa sztabu dyktatora, lecz wydał mi się biernym i działającym bez wiary, jedynie w poczuciu obowiązku nieco mistycznego.

Błąd wprawdzie tkwił w położeniu samem, stworzonem dyktaturą. Dyktatura bez pewnej przestrzeni kraju, stawała się niemal śmiesznością. Nie można było zdobyć tej przestrzeni, bez wystawienia dyktatury na zgubę i upadek. Nareszcie dyktatura musiała wytężyć usiłowania i siły Rosyan przeciw dyktatorowi. Było to błędne koło. Ale skoro się w nie weszło, trzeba było usiłować jak najdłużej w niem pozostać i obracać się, to jest, skoro leżało na razie, zwłaszcza z powodu

zewnętrznego położenia, w interesie Rosyan, rozbić oddział dyktatora, należało unikać wszelkiemi sposobami tego rozbicia.

Po powrocie do Krakowa, zdałem *Hotelowi Lambert* raport o bytności w obozie Langiewicza. Zarzucano mi później, iż był za pochlebny. Prawda, że Langiewicz nie zrobił na mnie złego wrażenia, a lepsze niż inni ludzie ruchu, z którymi się od kilku tygodni stykałem. O wartości powstania i oddziałów zbrojnych, nigdy najmniejszego nie miałem złudzenia i raportem moim obudzić go nie mogłem.

W kilka dni potem, po paru stoczonych potyczkach zaszła pod Grochowiskami 18 Marca katastrofa, która położyła koniec dyktaturze. Langiewicz po Pirusowem zwycięztwie, opuścił osobiście *Królestwo Polskie*, przekroczył granicę galicyjską; przytrzymany, został internowanym. Grochowiska wydały się wówczas wielką klęską, rzeczywiście zaś nie wpłynęły na ostateczny skutek, bo wpłynąć nie mogły na przedsięwzięcie, podjęte bez warunków powodzenia, bez przyszłości.

Rzecz rozgrywała się wyżej, po nad temi miejscowemi zdarzeniami i jedynie pod względem zewnętrznym, odnośnie do toczących się między mocarstwami układów, oddziałać mogły Grochowiska szkodliwie, już tem samem, że niechętnym i z góry niechcącym działać, dostarczały argumentu. Im z większem zdumieniem i nadzieją przyjętą została przez zagranicę dyktatura, tem niekorzystniej na nią oddziałał prędki jej upadek. Mniemam jednak, że w gruncie rzeczy, upadek ten stał się tylko jedną z wymówek, ale nie prawdziwym powodem niepomyślnego obrotu układów między mo-

carstwami. Powód tkwił głębiej, w niemożności lub nieudolności porozumienia się w celu skutecznego działania w sprawie polskiej.

W każdym razie okazało się, że ujemne strony dyktatury nie równoważyły jej korzyści. Upadek jej oddziałał oziębiająco — to nie ulega wątpliwości — na zagranicę i na cesarza Napoleona, a ustalił tajny rząd narodowy.

ROZDZIAŁ V.

Misya ks. Metternicha. Instrukcye cesarza Napoleona. Poważne widoki. Usposobienie, jakie ks. Metternich zastaje w Wiedniu. Misya ks. Metternicha zakończona jego powrotem do Paryża 23 Marca. Pierwsze początki interwencyi dyplomatycznej. Wartość wyjazdu ks. Metternicha do Wiednia i jego misyi [illegible] w wypadki. Potrzeba poparcia powstania ze względów zewnętrznych. Odnośne instrukcye Hotelu *Lambert*. Paweł Popiel w Paryżu. *Grono Krakowskie* [illegible] do powstania. Ponowienie organizacya narodowa w Galicyi. Wpływ upadku dyktatury na wypadki. [illegible] *Rząd Narodowy*. Rozmowa ks. [illegible] Napoleonem III o rozbiciu Langiewicza. [illegible] Program. *Słowo Krakowskie* [illegible] Słowa [illegible]

[illegible] jedynego [illegible] polskiej sku- [illegible]

[illegible] Ryszard [illegible] cesarza [illegible] twier- [illegible] po- [illegible] poro-

zumienia między gabinetem paryskim a wiedeńskim, w celu podjęcia wspólnego w sprawie polskiej działania.

Ks. Metternich, młody wówczas dyplomata, świetne zajmował stanowisko na dworze, przy którym był uwierzytelnionym i szczególnemi cieszył się względami cesarza i cesarzowej. Nadarzała mu się sposobność odegrania znaczącej roli i oddania swojemu monarsze i państwu usług tem cenniejszych, że mogły mieć na celu zrównoważenie świeżo poniesionych we Włoszech klęsk i strat; wydobycie Austryi z odosobnienia i wzmocnienie jej stanowiska, wobec pojawiających się dążeń Prus.

Wypadki w *Królestwie Polskiem*, chęć i zamiar cesarza Napoleona, zbliżenia się wskutek nich do Austryi, otwierały nowe zupełnie widoki, ponętne zwłaszcza dla tego, który pierwszy w ich ziszczeniu miał wziąć udział. Pewne, wprawdzie nigdy dobrze określone, tradycye kanclerza Metternicha w sprawie polskiej, mogły także być bodźcem dla jego syna. Przypuścić zatem można było, iż, jak wówczas twierdzono, ks. Metternich w dobrej wierze podejmował się swojej misyi, lecz, że zarazem kierował się oczywiście, wyłącznie interesem i bezpieczeństwem Austryi.

W rozmowach z ambasadorem austryackim, który naraz miał się stać jednocześnie wysłannikiem cesarza Francuzów do Wiednia, Napoleon III oświadczył, że od chwili jak Austrya przestaje patrzeć się obojętnem okiem na wypadki w Polsce, położenie się zmienia, a jednocześnie Francyi wobec nich stanowisko; że pragnie on najzupełniejszego w tej mierze z gabinetem

wiedeńskim porozumienia, i że jeżeli Austrya zgodzi się na podniesienie sprawy polskiej, on ze swej strony zrobi wszystko, co będzie potrzeba, aby ją skutecznie rozwiązać.

Tyle wiedzieliśmy wówczas.

Krążyła pogłoska, że cesarz Napoleon obejmował układami nabycie dla Francyi granic Renu. Misya ks. Metternicha, wedle tych wskazówek, dzieliła się zatem na dwie części; poufna, przeznaczona była dla monarchy Austryi, sięgać miała daleko i obejmować wszystkie stosunki europejskie, zostawiając Austryi wybór kombinacyj; oficyalna miała na celu obranie formy, w jakiej na razie miała być podniesioną przez Francyę, Anglię i Austryę sprawa polska.

Z Wiednia pisano nam 16 Marca:

„Ks. Metternich miał już wczoraj dwugodzinne posłuchanie u cesarza. Jedni utrzymują, że ma list od cesarza Napoleona do cesarza Franciszka Józefa; drudzy, że miał tylko polecenie w imieniu cesarza Francuzów oświadczyć Najj. Panu, wysokie uznanie taktu i przenikliwości, z jaką sytuacya polityczna w Wiedniu od początku ocenioną była, a co jest tem ważniejszem, iż ztąd wyszło porozumienie się Francyi, Anglii i Austryi w zasadzie. Lecz cesarz Napoleon sądzi, że trzeba rękojmi wyraźniejszych i takich, jakie tylko w traktatach znaleść się mogą. Cesarz Napoleon przystaje na konferencyę ośmiu mocarstw kongresu wiedeńskiego z roku 1815, podług propozycyi lorda Russell, ale wolałby, żeby między Anglią, Francyą i Austryą przyjść mogło do traktatu osobnego, ze względu na dzisiejszą kwestyę polską. Takie miało być oświad-

czenie ks. Metternicha. Cesarz Napoleon nie chce się wiązać traktatami 1815 r., wolałby w nowej sytuacyi mieć nowe w ręku narzędzie. To łatwo pojąć. Tu na to by się zgodzono, ale pod warunkiem rozpoczęcia układów wspólnie z Anglią. Do polityki francuskiej jest tu wyraźna teraz nieufność. Austrya liczy tylko szczerze na Anglię. Nastąpi teraz odwołanie się z tą myślą do Anglii. To co postanowi gabinet St. James, będzie podstawą instrukcyj, jakie ks. Metternich weźmie z sobą do Paryża. Pobyt księcia w Wiedniu przeciągnie się w każdym razie do końca miesiąca. Francya chce wzmocnienia się własnego, Austrya i Anglia chce osłabienia Rosyi i oddalenia raz na zawsze Wschodu od jej zgubnego wpływu. Ks. Metternich miał długą konferencyą z ks. Gramont i lordem Bloomfield. Cesarz jest niezmiernie zajęty całą sytuacyą i ocenia ją dokładnie. Zaufanie jego w słuszność polityki, której się trzymał dotąd, jest silne. Jest energia i wola. Lecz trzeba środków, a te są w ręku Europy. Nietrzeba zapominać nadto, że Austrya miałaby cały ciężar wojny, nie tylko z Rosyą, ale i Prusami, na swoich ramionach."

Dowiedzieliśmy się niebawem, że ks. Metternich, który do końca miesiąca miał w Wiedniu pozostać, już 23 powrócił był do Paryża.

O skutku jego misyi nic nam nie donoszono. Chwila, w której odbywała się misya ks. Metternicha, była prawdziwie doniosłą, a mogła się stać zbawczą.

W tej też chwili i w widokach, które przedstawiała, nasze grono, stanowczo i ostatecznie wciągniętem zostało w wypadki, popchniętem do współudziału,

nakłonionem do popierania i przyłączenia się do powstania.

Popełniło ono błąd w błędzie, w tym błędzie, jakim było powstanie. Jego pomyłka była następstwem ówczesnych wyobrażeń, że Europa Polskę odbuduje, bo jest to pierwszorzędnym jej interesem, a jak mniemali dobroduszniejsi od innych—obowiązkiem.

To pewna, że gdyby owe wyobrażenia nie były mylnemi, chwila misyi ks, Metternicha przedstawiała widoki okazania ich słuszności.

Misya ks. Metternicha i następne po niej układy ciągnęły się, względnie do ówczesnych spiesznie postępujących wypadków, przewlekle.

Między doniesieniem o misyi ks. Metternicha, a dokładną wiadomością o jej skutku, upłynęło dość czasu, aby wtrącić *grono krakowskie* w wir powstania, i aby przyłożyło rękę do zgubnego działania, które wczoraj potępiało.

Nie istniał już dawno jedyny, prawdziwie poważny powód naszego postępowania, zawiązek przymierza Austryi z Francyą, dla wydania wojny Rosyi, a długo jeszcze konieczność zmuszała nas do wytrwania na drodze, na którą wepchnięci zostaliśmy. Okrutna konieczność, którą francuskie przysłowie określało: *Il faut boire le vin, puisqu'il est tiré.*

Galicya zatem stała się podstawą operacyjną powstania w *Królestwie Polskiem*, co je przedłużyło bezowocnie a zgubnie.

Raz opuściwszy stanowisko odporne wobec powstania, wskutku poruszenia, przez konwencyę 8 Lutego, sprawy polskiej; poparłszy je wobec misyi ks. Metter-

nicha, tak *Hotel Lambert* jak *grono krakowskie* pchane były fatalnie następstwami tej samej pomyłki, której jednak uniknąć w owych czasach i pod wpływem ówczesnych wyobrażeń nie łatwem było, może niepodobnem. Pchane były równocześnie jedno przez drugie. Już teraz z Paryża i z *Hotelu Lambert* nadchodziły naglące zalecenia, iż trzeba popierać powstanie, aby wyzyskać widoki porozumienia się mocarstw, co do działanie dyplomatycznego, które zawieść je musi dalej niż chcą i dziś mniemają.

Rady zatem, które odbieraliśmy z Paryża, nie kazały, pomimo — nam nieznanego jeszcze obrotu, jaki wzięła była misya ks. Metternicha — zaniechać powstania. Nie zmieniono w Paryżu hasla, i popierania powstania zalecać nie przestano, twierdząc, iż poważne do tego są powody.

Udał się był do Paryża, jak wiadomo, z polecenia członków *Rady Stanu*, którzy wskutek zaleceń *Hotelu Lambert* zamierzyli byli podać się do dymisyi, Paweł Popiel, aby przekonać się, czy istotnie ich dymisye odpowiadać będą życzeniu rządu francuskiego i cesarza. Popiel za pośrednictwem mojego ojca, długie i wyczerpujące miał narady z Walewskim. Wiem z ust Popiela, iż Walewski jemu, tak samo jak Wodzickiemu, powiedział, przedstawiwszy stan układów, „że od rozbioru, nigdy jeszcze sprawa polska nie miała lepszych widoków powodzenia i rozwiązania europejskiego,“ że skoro powstanie już wybuchło, należy te widoki wyzyskać. Walewski kładł nacisk na potrzebę odjęcia powstaniu znamion rewolucyjnych, a nadania mu ogólno-narodowych, jak najszerszych; na wszystkie zaś

uwagi, i zastrzeżenia lub wątpliwości Popiela, odpowiadał: *C'est à prendre où à laisser.* Co znaczyło: macie wóz i przewóz.

Paweł Popiel przybył do Krakowa pod głębokiem wrażeniem tego, co w Paryżu usłyszał, a chociaż jak każdy rozumny człowiek ubolewał i potępiał powstanie, a przedtem gorliwie wstrzymywał młodzież, przecież teraz uznał, iż nie pozostaje nic innego, jak dać walce poparcie i z tego wielkiego złego, starać się wydobyć coś dla sprawy korzystnego. Przemawiał z pewnym zapałem i podniesionym duchem, był w mowie i zachowaniu się nawet gorącym, a nie ręcząc wcale za ostateczny skutek, dawał rady nawet za daleko idące, wyrażał myśli jak zawsze u niego nacechowane pewną wyższością, lecz nie całkiem wykonalne, a między innemi, aby, skoro powstaniu należy nadać charakter ogólno-narodowy, cała szlachta polska podpisała manifest przystępujący do walki z Rosyą; chciał jawnego szlachty akcesu do powstania. Wtedy też zezwolił, aby syn jego, Jan, który był oficerem w wojsku austryackiem, a odznaczył się podczas obrony przez wojska papieskie Ankony, wziął udział w powstaniu.

Akces, który Popiel zalecał, nie był wykonalnym, i byłby tysiące naraził. Po wypadkach, Paweł Popiel, w piśmie: *Kilka słów z powodu odezwy ks. Adama Sapiehy,* tak się wyraził o swoim pomyśle:

„Był jeden sposób, aby ratując honor narodowy, cała szlachta, ryzykując życie i majątki, ruszyła solidarnie do powstania; może byłaby pociągnęła część ludu; w każdym zaś razie takie hieroiczne, jawne wy-

stąpienie, byłoby zmusiło nietylko do uszanowania, ale może do pomocy...“

Nasze ściślejsze grono sprzeciwiło się myśli akcesu jawnego całej szlachty, myśli więcej rycerskiej i mistycznej, jak praktycznej i politycznej. Ale znalazło w zdaniach i postępowaniu Pawła Popiela potwierdzenie i wzmocnienie przekonania, iż przystępując do popierania powstania, spełnia obowiązek.

Paweł Popiel był jednym z najwykształceńszych ludzi współczesnych w polskim narodzie, był mężem prawym, zachowawczych przekonań, zarazem patryotą. Zaliczając się do obozu konserwatywnego, położył był niejedną zasługę, a nie małą zakładając *Czas*, pierwszy organ polityczny polski, który brał w rachubę nietylko uczucia, ale i interesa, nietylko porywy ale także możność, nietylko cel choćby najszlachetniejszy, ale także rozporządzalne środki, słowem dziennik po raz pierwszy w Polsce politycznie wykształcony. Złączony przyjaźnią z najznakomitszymi w kraju ludźmi, a do ostatnich wypadków z margrabią Aleksandrem Wielopolskim, Paweł Popiel był wówczas przedstawicielem najdalej idącego konserwatyzmu i rozsądnego, roztropnego kierunku, posuniętego w oczach naszego grona nawet za daleko.

Silny w przekonaniach, acz chwiejny w zdaniu, słusznie przecież Paweł Popiel był powagą i raczej o zbytnią wstrzemięźliwość niż o nierozwagę mógł być oskarżonym.

Zdanie zatem jego, po powrocie z Paryża, musiało nie małe na nas wywrzeć wrażenie i wpływ,

Tak więc wciągnięte widokami skutecznego działania mocarstw, następnie nadzieją, że się ono wywiąże z interwencyi dyplomatycznej, przystąpiło nasze grono do powstania i popierania go z Galicyi.

Utworzyła się tu tak nazwana organizacya narodowa, mająca nieść pomoc powstaniu w *Królestwie*, w skład której weszli członkowie *grona krakowskiego* i rozpoczęły się następnie jego stosunki z *Rządem Narodowym* warszawskim.

Ta pomoc i ten współudział przyczyniły się do zwiększenia klęski polskiej, a powyżej wspomniana organizacya, drobne tylko oddała Galicyi usługi, zapobiegając bardziej szalonym i niebezpiecznym praktykom i eksperymentom.

Upadek dyktatury Langiewicza, jak już powiedziałem, wywarł łatwe do przewidzenia złe za granicą wrażenie, ale powtarzam, nie przypisuję mu wcale rozstrzygającego wpływu. Upadek ten bowiem nie wytworzył bezsilności mocarstw w sprawie polskiej, która tkwiła w naturze rzeczy, w położeniu europejskiem, w stosunkach państw do siebie, może w nieudolności mężów stanu. Upadek dyktatury nie przeszkodził bezowocnej, zgubnej interwencyi trzech mocarstw, gdyż ta była następstwem sprzecznych interesów i antagonizmów gabinetów, może ich krótkowidzenia. Upadek dyktatury nie położył końca powstaniu, bo położyć nie mógł, skoro ciągnęła się dalej akcya zewnętrzna trzech mocarstw. Powstał znowu jako jedyna władza powstania tajny *Rząd Narodowy*, który podczas dyktatury nie przestał istnieć, sprzeczny z pojęciem o rządzie i woj-

nie, ale w ówczesnych anormalnych stosunkach jedynie możliwy.

Zaraz po rozbiciu Langiewicza, cesarz Napoleon rzekł do ks. Władysława Czartoryskiego: „No teraz już wszystko skończone, klęska zdaje się być stanowczą i trudno po niej cośkolwiek przedsięwziąść.“ Na to ks. Czartoryski — zgodnie z prawdą — odrzekł: że nie, że acz przykre, rozbicie Langiewicza nie kończy wojny partyzanckiej, że w obecnem położeniu innej prowadzić nie można; tłómaczył warunki tej wojny w Polsce, że ostatecznie rozbicie Langiewicza, jest tylko rozbiciem jednego oddziału, lecz że właściwością tej walki jest, iż kiedy jeden oddział jest rozbity, na innych punktach ukazują się inne; że jeżeli to potrzebnem jest dla ułatwienia działania europejskiego za Polską, niezawodnie nowe oddziały staną do walki. Cesarz z pewnem zdziwieniem usłyszał tę odpowiedź, i swoim zwyczajem powiedział, nic nie rozstrzygając: „A jeżeli tak, to co innego, to zobaczymy, bo oczywiście, gdyby nie było już powstania, zniknąłby powód wmięszania się mocarstw.“ Dodać winienem iż ks. Czartoryski nie przypomina sobie, aby cesarz na wstępie, powiedział twierdząco—że teraz już wszystko skończone — lecz, że raczej pierwsze jego słowa, były zapytaniem.

Właściciel *Czasu* Wincenty Kirchmayer ofiarował mi wtedy miejsce w redakcyi *Czasu*. Przyjąłem w celu popierania w tym organie, wówczas wpływowym i znaczącym, rozpowszechnionym, gdyż dostawał się przez otwartą granicę lub ukradkiem do *Królestwa Polskiego* — kierunku przyjętego przez *Hotel Lambert* i *grono krakowskie*. *Czas* był zwłaszcza ważnym środ-

kiem wobec zagranicy, gdyż jedyny to był dziennik polski, znany tam, przynajmniej z nazwiska.

Gdy następnie główny naówczas redaktor *Czasu*, Leon Chrzanowski, za udział w ustanowieniu dyktatury Langiewicza, po odbytej w jego mieszkaniu rewizyi, uwięzionym został przez władze austryackie 11 Kwietnia, objąłem niemal wyłącznie kierunek polityczny dziennika.

Miałem stosując się do polityki *Hotelu Lambert*, a pośrednio rządu francuskiego, zadanie, oparcia widoków powodzenia sprawy polskiej na pomocy zewnętrznej, a przedewszystkiem na zamiarach Napoleona III. W tym celu, nie poruszając już przeszłości, uważać miałem powstanie jako fakt dokonany, który stwierdzając niezdrowy stan rzeczy i złe rządy rosyjskie, wywołać winien wmięszanie się mocarstw, mianowicie: Francyi, Austryi i Anglii; jednocześnie trzeba mi było przedstawiać powstanie, jako wolne od znamion rewolucyjnych i demagogicznych, a mające jedynie cele narodowe i zarazem wpływać, aby takiem było i pozostało; nareszcie należało wciąż dobrze zaznaczać, że tak powstanie, jak całe działanie narodowe, zwróconemi są wyłącznie przeciw Rosyi, a zatem uczynić rozbrat z teoryą granic 1872 r. Wreszcie co do formy—gdyż co do treści w niektórych punktach, *Czas* już przedtem szedł zgodnie z powyższym programem—miałem mniej peremptorycznie, szorstko i gwałtownie występować. Zadanie zaiste w tak zburzonych czasach i szalonych wypadkach, nie łatwe. Młodość jednak, jeżeli nie przez zarozumiałość, to przez właściwe jej złudzenia o niczem nie wątpi.

Chociażbym przyznał sobie, że niezachwianie i wytrwale przeprowadzałem w *Czasie* powyżej naszkicowany program, to przecież, przyszło by mi przykrą i gorzką stwierdzić prawdę, iż zgoła na nic się to nie przydało i nietylko nic dobrego nie zrządziło, ale niczemu złemu nie zapobiegło. Tak dalece niemożliwem jest, trzymając się nawet najrozumniejszych środków, wydobyć cokolwiek korzystnego i dodatniego, z położenia z gruntu fałszywego i wychodząc z mylnego założenia.

Polityka, którą przedstawiałem i rozwijałem w *Czasie*, odpowiadała niezawodnie wymaganiom chwili, skoro się raz przyjmowało jej punkt wyjścia — skuteczne wmięszanie się mocarstw w sprawy polskie.

Już przed tem, *grono krakowskie* zasilało za pośrednictwem *Hotelu Lambert* i na jego żądanie, rząd francuski i dzienniki zagraniczne, zwłaszcza paryskie, wiadomościami telegraficznemi i listowemi o powstaniu i wypadkach. Było to potrzebnem, aby rozgrzewać opinię publiczną, a podniecać korespondencyę dyplomatyczną.

Teraz urządziliśmy *Biuro krakowskie* i całą regularną służbę, posługując się nieraz cyframi.

Przedstawiać powodzenia, najczęściej urojone powstania, a oczyszczać wypadki i *Rząd Narodowy* z cech rewolucyjnych i demagogicznych, a zarazem wystawiać postępowaniu rządu i władz rosyjskich w najgorszem świetle, stało się zadaniem tego *Biura*; ztąd powstały czasem bitwy i potyczki telegramowe i nie wolne od przesady obrazy.

Przedsięwzięcia bezpodstawne posługiwać się muszą kłamstwem w większej mierze niż inne. Przesadne i z umysłu optymistyczne doniesienia, na razie były pomocnemi, lecz przyczyniły się do następstw szkodliwych; bo złemi środkami dopomódz można rozumnym przedsięwzięciom, bezrozumnych zaś nie zbawia się niemi, a pozostaje tylko upokarzające wspomnienie ich użycia.

Bismark odpowiadając w tym właśnie czasie na interpelacyę w sejmie pruskim, rzekł, iż istotnego powstania nie ma już w *Królestwie Polskiem*, i że potyczki i bitwy, o których piszą dzienniki, stwarzają, telegramy przesyłane do Paryża, podpisane raz *Stanislas*, a raz *Koźmian*.

ROZDZIAŁ VI.

Brak wiadomości o skutku misyi ks. Metternicha. Nasz niepokój. Wysłany jestem do Paryża. Rozmowa w Wiedniu z ks. Leonem Sapiehą. Rochebrune. Moje na wstępie w Paryżu wrażenie. *Hotel Lambert*. Rozmowa ks. Czartoryskiego z Napoleonem III. Niepowodzenie misyi ks. Metternicha. Odpowiedź jaką przywiózł. Interwencya dyplomatyczna. Opinia publiczna. Krzyżujące się wpływy w radzie koronnej. Rozprawy w senacie nad sprawą polską. List cesarza do ministra Billault. Rozmowa z Walewskim. Wizyta u pani Walewskiej. Rozmowa z panią Cornu i myśli oraz usposobienie cesarza. Nie chce mnie przyjąć. Mój sąd o położeniu i o cesarzu. Obiad z obywatelami z wszystkich części Polski. Moje przemówienie. Powody niezaniechania powstania. Pożegnanie. Walewski jako ostatnie słowo przysyła mi numer *La Patrie*, z oficyalną wzmianką o przebiegu układów. Wracam do Krakowa.

Nie mieliśmy wiadomości dokładnych o skutku misyi ks. Metternicha, przypuszczam dlatego, że rząd francuski nie udzielił ich zaraz po powrocie księcia *Hotelowi Lambert*. Pozostawaliśmy wciąż pod wrażeniem doniosłości tej misyi, a wiedzieliśmy tylko, iż wskutek niej, toczyły się ważne między mocarstwami układy. Donoszono nam jednocześnie o szkodliwym wpływie katastrofy Langiewicza.

Nie liczyliśmy oczywiście na to, aby z dnia na dzień wybuchła wojna, aby pomocnicze, raczej zbawcze, wojska wkroczyły natychmiast do *Królestwa Polskiego.*

Przecież przedłużanie się naprężonego wewnątrz położenia, ociąganie się z wszelkiem wystąpieniem mocarstw, brak oznak zapowiadających czynne ich działanie, niepokoić nas zaczęły, tem silniej, że nakazane popieranie niszczącego kraj powstania, zwiększało z każdym dniem odpowiedzialność. Aczkolwiek przestrzegano nas i wiedzieliśmy, że wmięszanie się mocarstw, na którem opieraliśmy całe nasze postępowanie i współudział, nie może zaraz nastąpić, przecież pod ciężarem obaw i na widok wysileń samych przez się bezowocnych, pragnęliśmy, a tem samem przypuszczaliśmy, możność spieszniejszego wystąpienia mocarstw, a jego opóźnienie, to trwożącem, to znowu niezrozumiałem dla nas się stawało.

Wobec tego *grono krakowskie* zachęcone przez poważnych ludzi, postanowiło wysłać mnie do Paryża, jako mającego przystęp, przez mojego ojca i *Hotel Lambert* do kół rządowych, a to, abym na miejscu zbadał istotny stan rzeczy i dotarł do prawdy.

Wyjechałem z Krakowa około 24-go Marca. Jechałem na Wiedeń. W Wiedniu miałem rozmowę z ks. Leonem Sapiehą. Twierdził, iż gabinet wiedeński znajduje, że Francya nie bierze do serca sprawy polskiej, że zachowanie się jej rządu jest chłodnem, i że wogóle uważają w Wiedniu, iż cesarz Napoleon nie chce posunąć się za daleko i unika nieodwołalnych kroków; to zdanie gabinetu wiedeńskiego miało odcień wyrzu-

tu, niemal skargi. Zachowanie się jego, nie przestawało być wahającem, a raczej dwuznacznem, pod wymówką oglądania się na chwiejność Francyi. Podążyłem wieczorem do Paryża. W wagonie, naprzeciw mnie siedział Rochebrune, którego oddział walczył wraz z Langiewiczem pod Grochowiskami, a rozbity przeszedł granicę austryacką. Rochebrune Francuz, który zaraz w początkach poszedł do powstania, a niezwykłem męztwem odznaczył się w nieszczęsnej na Miechów wyprawie, niskiego wzrostu, szczupły, śniady, nerwowy, wyraziste pełne ognia miał oczy. Aczkolwiek brakowało mu wykształcenia wojskowego, dzielnym był żołnierzem. Polityki nie rozumiał. Przecież już wtedy mówił mi, że się chce zachować na chwilę niezawodną, w której przyjdzie Francyi rozprawić się z Prusakami. Był w usposobieniu najwyższego rozdrażnienia i oburzenia na wszystko, co się stało i działo; nie szczędził gorzkich i obrazowych a obrażających wyrażeń, mówiąc o dowódcach powstania, o sposobie prowadzenia wojny, o oddziałach i mniemanej administracyi wojskowej. Przypisywał ostatnią klęskę nie warunkom, w których walka się toczyła, ale błędom, nieudolności, zawiści, antagonizmom i wogóle wadom polskim, a w szczególności obecnego ruchu i powstania. Oświadczył mi stanowczo, że więcej takiej wojny, pod takimi dowódcami prowadzić nie będzie, był osobiście obrażony, zapowiedział, że wszystko opowie i w dziennikach francuskich opisze, aby przestrzedz swój naród, że nie należy podawać ręki i ponosić ofiar, na rzecz sprawy, której sami Polacy bronić nie umieją. Przerażenie moje na myśl, że wszystko, co ujemnem było

w stanie rzeczy ówczesnym i oskarżenia odsłaniające słabe strony wypadków w Polsce, rzucone zostaną na bruk paryski, przez tego, który walczył dopiero co za sprawą polską i to w chwili, w której najwięcej zależało, aby zagranica dobre miała o naszych stosunkach zdanie; przerażenie to, mówię, było miarą nadziei, jaką pokładaliśmy w pomoc obcą, w poparcie Francyi i cesarza Napoleona oraz wagi, jaką przywiązywaliśmy do wrażenia wywartego przez wypadki w Polsce na Europie, znaczenia, jakie nadawaliśmy tak zwanej opinii publicznej. Widziałem już przygotowujący się wielki skandal i obliczałem jego skutki. Starałem się przez drogę uspokoić najprzód, ułagodzić następnie Rochebruna. Obiecałem mu, że go zawiozę do ks. Czartoryskiego, że przemówię za tem, aby mu dano nowe przeznaczenie i fundusze na tworzenie legii zagranicznej, co było jego skrytem marzeniem i zamiarem. Udało mi się zażegnać grożącą z tej strony burzę.

Moje na wstępie wrażenie w Paryżu, było niedobrem. Pierwsza rozmowa z moim ojcem, który przez swoje liczne stosunki, a zwłaszcza zaufanie jakie w nim pokładał Walewski, znał dokładnie bieg rzeczy i o ile to możliwem było, usposobienie i zamiary cesarza Napoleona, stała się, pamiętam to dziś jeszcze, dla mnie rozczarowaniem. Spostrzegłem zaraz, że nic stanowczego i skutecznego w sprawie polskiej postanowionem nie zostało, że albo zakończył się, albo jeszcze nie rozpoczął poważny jej obrót. Miałem jednak sam osobiście zbadać i rozpoznać położenie.

Wyszedłszy na miasto, szedłem z Juljanem Klaczko bulwarami; spotykamy pana Téxier, redaktora

dziennika *Siecle* i wszczynamy z nim o wypadkach w Polsce rozmowę. Z wielką swadą dowodzi nam, że rzecz chybiona, że partya przegrana; z niemniejszem lekceważeniem wyraża się o cesarzu i jego zachowaniu się wobec zajść w Polsce, a nareszcie z godną podziwu pewnością siebie i fanfaronadą dodaje: „Nie chciał mnie usłuchać; radziłem mu, aby na początek pchnął natychmiast czterdzieści tysięcy Szwedów na pomoc powstaniu. „Nic nie zrobił. Teraz za późno.“ Dało mi to miarę lekkomyślności zapatrywań się tak zwanej opinii publicznej i dzienników francuskich na srogie w Polsce wypadki; a jeżeli owa nie przyszła do skutku pomoc czterdziestu tysięcy Szwedów, nie mogła obudzić wielkiej na przyszłość otuchy, to słowa dziennikarza obniżyć musiały w moich oczach znaczenie, jakie przywiązywaliśmy do głosów dzienników francuskich.

Zastałem w *Hotelu Lambert* nadzieję, bez silnej już wiary w powodzenie; poczucie niemożności cofnięcia się i niepewności ostatecznego skutku; dla rozumnych i uczciwych ludzi, stawało się takie położenie z każdym dniem przykrzejszem. Ks. Władysław Czartoryski i grono otaczające go, poczynało być w rozterce z własnem sumieniem politycznem. Nie rozpacz, ale już niesmak czuć się dawał. Tu dokładnie się dowiedziałem, iż ks. Metternich powrócił z niepowodzeniem, co do istotnego celu swej misyi, ale z życzeniem rządu austryackiego, zawiązania dalszych układów i wyczekiwania wypadków, z nadmienieniem, że z ich rozwojem będzie można podnieść rzecz, w kierunku wskazanym przez cesarza Napoleona.

Zapewniano mnie, że ks. Metternich przywiózł mniej więcej następującej treści odpowiedź:

Wypadki, zdaniem rządu austryackiego, jeszcze nie dojrzały dostatecznie, aby zawierać już dziś przymierze w celu ewentualnego wypowiedzenia Rosyi wojny, że jednak niezapoznaje on ani doniosłości sprawy polskiej, ani zamiarów cesarza Napoleona; że przecież wedle przyjętych zasad, należy wynaleść pierwej wspólną dyplomatyczną podstawę, na którejby się mogły porozumieć Francya, Anglia i Austrya; że akcya dyplomatyczna musi poprzedzić wszelką inną, a że w jej następstwie dopiero przyjdzie obmyśleć dalsze środki.

Hotel Lambert, tak samo jak *grono krakowskie* z nim i za nim, popchnięty został najprzód, podniesieniem sprawy polskiej wskutek konwencyi 8 Lutego, następnie poważnemi widokami misyi ks. Metternicha, wreszcie zachętą i radami rządu francuskiego, do użycia powstania za środek wywołania obcej pomocy. Nie mógł on teraz ani sobie, ani krajowi zdać dokładnej sprawy z tej pomocy; oparłszy zaś na niej swoje postępowanie, nie widział możności cofnięcia się i zadania sobie kłamu, zwłaszcza wobec przygotowującej się akcyi dalszej mocarstw, i mniemał, że już należy wyzyskać wszystkie widoki wmięszania się ich w sprawę.

Widocznem z tego co wyżej powiedziałem, a nawet już wiadomem było, że misya ks. Metternicha bezpośredniego nie odniosła skutku, to jest, że zamiar wspólnego, czynnego działania Francyi i Austryi spełzł na niczem. Ale trwały układy między Francyą, Austryą i Anglią w celu obmyślenia wspólnej w sprawie polskiej akcyi. Chociażby — po nieudaniu się misyi ks.

Metternicha — nie należało przywiązywać nadziei do takiej, źle określonej akcyi, to przecież można było przypuścić, iż ona wywoła i pociągnie za sobą poważniejsze i skuteczniejsze kroki. Spaliwszy zaś mosty, to jest opuściwszy odporne względem powstania stanowisko, nie zdobywszy się na potępienie go, nie pozostawało wedle rachub ludzkich już nic innego, jak liczyć na szczęście w grze, którą się rozpoczęło. Pozostawała nareszcie wiara w dawne, znane — zwłaszcza *Hotelowi Lambert*—zamiary i plany Napoleona III, rozwiązania sprawy polskiej, a zatem przypuszczenie, że ostatecznie nie porzuci jej, i choćby jedna nie udała mu się kombinacya, wymyśli inne i innemi środkami dojdzie do celu. Aby to rozumowanie pojąć, trzebaby przenieść się w ową epokę, co trudniejszem jest, trzebaby mieć zrozumienie wpływu pozornej może, ale wówczas promienistej potęgi Napoleona III i przekonania jakie wzbudzał, że co postanowi, tego dokona; czego się dotknie, to przeprowadzi.

W chwili mojego w Paryżu pobytu, misya ks. Metternicha, co do jej najważniejszej części, należała więc już do przeszłości.

O ile pamiętam, bezpośrednio przed moim przyjazdem ks. Władysław Czartoryski miał z cesarzem Napoleonem rozmowę. W niej cesarz wychodząc z niepowodzenia misyi ks. Metternicha, szkicował różne inne sposoby rozwiązania sprawy polskiej i przyjścia z materyalną pomocą. Wszystkie te plany świadczyły jednak, że planu nie było.

Na myśl rzuconą wyprawy wojsk francuskich przez Bałtyk na Litwę, cesarz odparł: „Nie! Trzebaby

wołu wziąść za rogi“ — co znaczyło uderzyć na Kronsztadt i Petersburg. Książe Czartoryski chcąc zbadać położenie, pragnął cesarza wyprowadzić z bierności, w którą się był co do głównego w danej chwili punktu, uzbroił: „Czy Najjaśniejszy Pan mniemasz—rzekł—że trwanie powstania jest jeszcze potrzebnem?“ „Tak jest — odparł cesarz — i nawet upoważniam do powiedzenia, że tak.“

Książe udał się był także do Walewskiego. Ten mówił: „Przecież w każdym razie, po powstaniu, Polska otrzyma lepszy stan rzeczy niż obecny, zatem niczego się nie naraża trwaniem powstania.“

Minister spraw zewnętrznych rzekł w tym samym czasie do księcia: „*Il faut nous donner le temps d'arriver.*“ „Trzeba nam umożebnić przybycie z pomocą.“

Tak zwana opinia publiczna we Francyi, o ile na nią liczyć i z nią liczyć się należało, była wtedy niezawodnie przychylnie usposobioną dla sprawy polskiej, lecz wcale ani rozpaloną ani zentuzyazmowaną; zapał, który podobno w Lutym, wobec przedłużania się nadspodziewanego powstania objawił się był, stygł już widocznie; a do tego niewątpliwie przyczynił się upadek dyktatury Langiewicza. W pierwszej chwili, cesarz byłby może porwał naród w wojnę za Polską, zwłaszcza, gdyby jednocześnie posunął granice Francyi do Renu. Teraz już Francuzi obliczali chłodno złe widoki podobnej wojny, towarzyszące jej ofiary, a zwłaszcza koszta.

W łonie rządu cesarskiego ścierały się przeciwne prądy i interesa osobiste. Część doradców cesarza popierała usilnie, wytrwale, ale ostrożnie sprawę polską, a zwłaszcza ministrowie Walewski i Drouyn de Lhuys.

Ks. Napoleon przemawiał za nią więcej namiętnie niż skutecznie.

W rozprawach senatu nad petycyami w sprawie polskiej, rozpoczętemi 17 Marca, ks. Napoleon wygłosił wielką, piękną formą swoją, obszerną mowę za Polską, którą zakończył słowy:

„Byłoby smutnem radzić Polsce rezygnacyę, okoliczności są przyjazne; cesarz jest w pełni lat i geniuszu swego, a urok imienia naszego jest wielki. Nadszedł czas działać. Działajcie więc jaknajspieszniej. Jak? Nie wiem, nie mogę wiedzieć, lecz działajcie! Powstanie trwać będzie będąc zachęconem; niech cesarz uczyni co zechce. Losy się spełniły, niech każdy idzie za głosem sumienia. Co do mnie, mam ufność w sprawę, którą cesarz weźmie w ręce.“

Na to minister bez teki, Billault, rzekł:

„Panowie! Byłem przekonany o ujemnych stronach, powiem nawet, o niebezpieczeństwie dyskusyi, która was od dwóch dni zajmuje. Każde nieroztropne słowo, wyrzeczone w tem gronie, musi się przyczynić do rozlewu strumieni krwi w Polsce, każde nieroztropne słowo, musi stworzyć na szachownicy dyplomatycznej nieobliczone kłopoty. Czas, aby słowo spokojne, przywróciło równowagę w tej rzeczy. Proszę więc senatu, pozwolić mi jutro zatrzeć zupełnem wyjaśnieniem wrażenia, jakie mogłyby wyniknąć z dyskusyi, i udowodnić że *porządek dzienny* zgadza się z sympatyami, jakie wszyscy mamy dla Polski, że się zgadza z uczuciem waszego zaufania w politykę cesarza, że się zgadza przedewszystkiem z prawdziwym interesem Francyi.“

Na drugi dzień minister Billault miał wielką mowę, przedstawiającą politykę cesarza w sprawie polskiej, której treść określił słowy:

„Przypatrzmy się, jakie są skutki tej polityki. Porównajcie Francyę dzisiejszą z Francyą przed laty pietnastu. Dziś widzicie ją potężną, kochaną od wszystkich, a obawą przejmującą tych, co jej nie kochają. Dzięki temu stanowisku w świecie, może ona poświęcać starania swe interesom kraju i razem nadawać przewagę swym widokom, środkami pokojowemi. Czyż wypada dziś porzucać tę politykę na rzecz sprawy polskiej? Dla sprawy, któraby wskrzesiła przeciw nam przymierze święte, z którą właśnie dla tego, tak oględnie obchodzono się w 1815 roku? Czyż wypada, aby Francya brała na siebie samą taki ciężar? Sprawa polska jest europejską, obchodzi wszystkie inne narody, tyle co nas. Starając się skupić je około siebie, czyż nie sądzicie, iż silniejszymi będziemy, jak w postawie odosobnionej i że nie więcej będziemy mieli widoków uniknięcia wielkiego starcia lub bezsilności? Tak się, panowie, cesarz zapatruję na tę sprawę. Rząd cesarski jest życzliwy sprawie polskiej, wolnej od wszelkiej przymieszki rewolucyjnej. Niema co do tego wątpliwości. Odwołano się tu do jenerałów, którzy walczyli obok Polaków na polach bitew za pierwszego cesarstwa, do tych, co się bili z Rosyanami w Krymie; do kardynałów, którzy są przedstawicielami religii katolickiej; do nich więc i ja się odwołuję i raz jeszcze odwołuje się do was. Nie idzie tu o opuszczenie Polski, lecz o dopomożenie jej na drodze polityki roztropnej i skutecznej. Takie jest znaczenie

porządku dziennego senatu. Chodzi o objawienie waszych sympatyj dla Polski, zaznaczając zarazem bezwzględną ufność w zamiary cesarza.“

W tych samych rozprawach Walewski porzucił oględne wobec sprawy polskiej stanowisko, które na zewnątrz jemu zwłaszcza nakazanem było; 18 Marca wypowiedział mowę, w której wykazując prawa Polski wynikające z traktatów wiedeńskich, zawołał:

„Nie mogę pominąć milczeniem tego, co w końcu powiedział pan Larochejaquelain: że Mazzini był podnietą powstania, że Langiewicz był ajentem Garibaldiego, Mazziniego, a może nawet Ledru-Rollina.

Powiedział on nawet więcej, bo dodał, że rząd cesarza wiedział o tem. Jest to fałsz! jest to fałsz! jest to fałsz! Powstanie polskie nie było dziełem ani Mazziniego, ani Garibaldiego, ani Ledru-Rollina.“

Sprawie polskiej sprzyjała cesarzowa, w pierwszych chwilach unosiła się nad bohaterstwem Polaków, nazwała najpiękniejszego swego rumaka Langiewiczem; widziała w sprawie polskiej, sprawę katolicyzmu. Ale Meksyk, jej w części dzieło, był głównym przedmiotem jej zajęcia i troski, ten Meksyk, który odciągając siły wojskowe i zasoby pieniężne Francyi, musiał osłabić jej głos w sprawach europejskich i sparaliżować działanie w sprawie polskiej. Niepowodzenie misyi ks. Metternicha rozczarowało było już cesarzowę.

Potężne wpływy i to ludzi znaczących, rozumnych i zręcznych, działały wciąż nie już za utrzymaniem zepsutych z Rosyą stosunków, ale za zachowaniem sobie możności nawiązania ich, za poświęceniem tym widokom przyszłości, sprawy polskiej i obecnego powstania;

ale zwłaszcza za utrzymaniem pokoju i nie rzucaniem się w niebezpieczne i hazardowne przedsięwzięcia. Na czele tego grona, stał książę Morny, chwilowo zbity z tropu na drodze porozumiewania się z Rosyą, oraz finansiści i giełdziści, których przedstawiał i którymi kierował minister skarbu, Fould.

W rządzie zatem cesarskim wpływy za i przeciw sprawie polskiej nietylko równoważyły się, ale nawet szala przechylała się na jej stronę.

Pozostawała rozstrzygająca wola cesarza i to niebezpieczeństwo, że domyślać się jej łatwiej było niż ją odgadnąć; która przecież ograniczoną była możnością i ówczesnemi stosunkami. Prawda ta znalazła wyraz w liście cesarza do ministra Billault, ogłoszonym w *Moniterze* z 22 Marća, który zastałem za mojem do Paryża przybyciem.

„Czytałem właśnie mowę pana. Byłem szczęśliwy, żem znalazł w niem tak wierny wykład mojej polityki. Pogodziłeś wyraz naszych sympatyj dla sprawy, która drogą jest Francyi, z względami należnemi obcym mocarstwom i rządom. Słowa pana zgadzały się we wszystkich punktach z mojemi myślami. Wszelkie inne tłómaczenie uczuć moich usuwam.“

Wobec takiego położenia *Hotel Lambert* zatem nie tracił nadziei, lecz od obaw i wątpliwości wcale wolnym już nie był, tem przykrzejszych, że stan kraju dobrze mu był znany i że jeżeli w telegramach i listach przeznaczonych dla dzienników, przedstawialiśmy w przesadnie pochlebnych wyrazach wypadki, z poufnych naszych raportów i z moich rozmów wiedział, czego się trzymać i oceniał niebezpieczeństwo przedłu-

żania stanu rzeczy bez nadziei, jeżeliby się okazało, że pomoc obca była tylko złudzeniem. Wiedział co sądzić i o zwycięstwach powstania i o rządach narodowego rządu. Pamiętam, że podczas gdy byłem w *Hotelu Lambert*, nadszedł z Krakowa telegram, donoszący o znacznem zwycięstwie oddziału powstańczego nad wojskiem rosyjskiem; Klaczko odczytawszy mi go, zapytał czy to być może? „O tak — odparłem — skoro nie ja wysłałem telegram."

Nie łudząc się sami, chcieliśmy łudzić zagranicę w przekonaniu, że z jej złudzenia odniesiemy korzyści i poparcie przedsięwzięcia, które samo przez się żadnych widoków powodzenia nie miało. Zdawało się nam, że to deska zbawienia, a zatem czuliśmy, że toniemy. Poszedłem do Walewskiego i długą z nim miałem rozmowę w obecności mojego ojca. Przedstawiłem mu stan rzeczy w kraju, powiedziałem, że powstanie nie było nigdy w myśli ani zamiarze rozsądnej i poważnej części społeczeństwa, że tem samem, nie mogło być i jego popieranie; że jedynie skłoniliśmy się do takiego popierania na wiadomości nadeszłe z Paryża od *Hotelu Lambert* i mojego ojca, wskazujące nam, iż dalsze trwanie jest potrzebnem dla europejskiego działania na rzecz sprawy polskiej, i że nadzieja zbrojnej pomocy nie jest bezpodstawną. Zakończyłem słowy: albo jest zamiar i możność wystąpienia ze zbrojną pomocą, albo oświadczyć należy stanowczo, iż zaniechać trzeba powstania, bo powstaniem samem nic nie zdobędziemy, a kraj na klęski narazimy. Walewski wtedy mi powiedział: „Ależ teraz z wiosną, będziecie mogli korzystniej walczyć." „Dlaczego?" — zapytałem. „Bo —

odrzekł—drogi będą lepsze i będziecie mogli wysunąć naprzód armaty.“ Na te zdumiewające słowa, spojrzałem się na mojego ojca wymownie i zrozumiałem, że nasze optymistyczne doniesienia o powstaniu i potyczkach, zbyt dobrze skutkowały, chociaż w nich o armatach mowy nie było. „Chyba Rosyanie — odrzekłem — będą mogli łatwiej posunąć i ustawić swoje armaty“ i urwałem na tem. Walewski, który dotąd słuchał uważnie a ostrożnie się odzywał, zabrał głos i przedstawił mi stan rzeczy. W dość długim wywodzie, skreślił dotychczasowe działanie Francyi i układy z mocarstwami w sprawie polskiej, znane mi już, a ciągnąc dalej, mówił: „Jesteśmy obecnie w peryodzie układów z mocarstwami, co do rozpoczęcia dyplomatycznej akcyi; przed ich ukończeniem nic pewnego powiedzieć nie można, nic zgoła przedsięwziąść. Czekamy właśnie odpowiedzi Anglii i Austryi na nasze w tej mierze wnioski; ociągają się z tą odpowiedzią. Wiele tu od Austryi zależy, która w pierwszym rzędzie, powinnaby swój interes zrozumieć.“ „Wstąpiłem do Wiednia — przerwałem Walewskiemu — i właśnie ks. Leon Sapiecha, polecił mi oświadczyć, że gabinet wiedeński uskarża się na ociąganie się i chłodne zajęcie się sprawą polską gabinetu paryskiego.“ Walewski na to nic nie odpowiedział, tylko ruszył ramionami i dalej rzecz prowadził. „Słowem, jesteśmy w chwili porodu *de l'enfantement*, wszystko od tego zależy, czy urodzimy dziecię umarłe, czy też zdrowe.“

Wiedząc, iż w kraju obiegały wiadomości — których ja nigdy w tej formie, w jakiej je przytaczano, nie otrzymałem był — iż cesarz Napoleon, a zwłaszcza

Walewski nakazywali trwanie powstania, że cesarz miał wciąż mówić: *Durez*; że Walewski miał prócz tego wyrazić zdanie: że granice przyszłej Polski będą takiemi, jakie je nakreśli krew powstania — zapytałem: „A czy mniemasz, panie hrabio, że trwanie powstania dopomódz może do szczęśliwego porodu?“ Na te słowa Walewski, który siedział na kanapie, zerwał się nieco nerwowo i postępując ku kominowi, zawołał: *Il n'y a que cela, il n'y a que cela.* „To tylko, to tylko dopomódz może.“ Po czem zapytawszy kiedy odjeżdżam, a otrzymawszy odpowiedź, że o ile można najspieszniej, gdyż łatwo zrozumie, z jaką niecierpliwością oczekują w kraju tego, co z Paryża przywiozę, rzekł: „Oto wszystko, co w tej chwili powiedzieć mogę i mniemam że nikt inny nic innego, ani więcej, panu powiedzieć nie potrafi; powtórz to swoim przyjaciołom; gdybym miał coś do dodania, przed pańskim wyjazdem, zawiadomię go przez ojca, lub przez moją żonę“ i pożegnał mnie. Pamiętam, że acz młody i w sprawach publicznych niedoświadczony, przykre, nawet przygnębiające z tej rozmowy odniosłem wrażenie i wychodząc, nie zataiłem takowego przed moim ojcem. Dostrzegłem w Walewskim niepewność, a nawet odcień zakłopotania, jakby poczucie narażonej osobistej odpowiedzialności. Nie zdając sobie jeszcze dokładnie sprawy z całego położenia, może dla tego, że już lękałem się je zrozumieć, przecież instynktownie odczuwałem, że teraz tylko na wystąpienie dyplomatyczne Francyi wraz z dwoma innemi mocarstwami liczyć możemy, a że to wystąpienie najprawdopodobniej bezowocne, uniemożebni przecież zaniechanie i powstrzymanie zgubnego

i zniszczenie niosącego ze sobą powstania. Ta prawda, którą wtedy tylko przez mgłę dostrzegałem, górowała następnie i ciężyła nad całym dalszym przebiegiem wypadków.

Winienem tu nadmienić, iż w zapiskach moich znalazłem, iż mój ojciec powiedział mi, że Walewski nie użył był przypisywanego mu wyrażenia, iż granice przyszłej Polski nakreśli krew powstania. Tymczasem ks. Władysław Czartoryski jak najdokładniej przypomina sobie, że Walewski w obecności mojego ojca powiedział mu: „krew powstania zaznaczy przyszłe granice Polski,“ i że książę na te słowa, zrobił poruszenie wyrażające zdziwienie i pewne obawę.

Być zatem może, iż zaprzeczenie mojego ojca odnosiło się tylko do formy nie do treści lub, że w głębokiem przekonaniu, które zawsze żywiłem o bezużyteczności, a zarazem zgubności powstania na Wołyłyniu, Podolu i Ukrainie, o przedłużaniu czy wznowieniu go na Litwie, nie chciałem, aby Walewski był owe wypowiedział słowa, że pragnąłem za powrotem do kraju im zaprzeczyć, że tymczasem on je istotnie przed moim do Paryża przyjazdem, powiedział był niebacznie, w czem utwierdzają mnie wspomnienia Klaczki oraz Ludwika Wodzickiego, który także twierdzi, że słyszał tylko nie pamięta, czy z ust Walewskiego czy Mocquarda o potrzebie trwania i rozszerzenia powstania *la durée et l'extension.* Mnie już Walewski o *extension* nie wspomniał. Co się tyczy *Durez* „trwajcie,“ które przeważny wpływ wywarło na polskie wypadki i nasze zachowanie się, nie zostało ono przez cesarza wypowiedziano rozkazująco. Nieraz

jednak od konwencyi prusko-rosyjskiej i misyi ks. Metternicha, cesarz i Walewski mówili w ten sposób i w tym duchu jak ten ostatni w przytoczonej ze mną rozmowie, że tylko trwanie powstania może już teraz zapewnić trwanie sprawy polskiej jako europejskiej, czem stwierdzali rzecz jasną i widoczną, bo oczywistem było, że z upadkiem powstania znikał powód interwencyi dyplomatycznej, ewentualnie zbrojnej. W tem też znaczeniu pisał był do mnie mój ojciec o trwaniu powstania po rozmowach z Walewskim i Drouyn de Lhuys, w tem znaczeniu nadchodziły do nas instrukcye z *Hotelu Lambert* i w tem znaczeniu odpowiedział Walewski na moje powyżej przytoczone zapytanie. W tym samym też duchu, odbyła się była rozmowa, którą przytoczyłem, między Napoleonem III a ks. Władysławem Czartoryskim, po rozbiciu Langiewicza. Cały ten szereg myśli, rozumowań i rozmów wcielił się, co zwykle się zdarza w podobnych czasach, w mniemanym rozkazie cesarza—trwania.

W dalszym ciągu wypadków, aż do końca nieraz, mówili ministrowie francuscy sprzyjający sprawie polskiej, a zwłaszcza Walewski *Durez* zawsze w tem samem znaczeniu, iż jedynie trwanie powstania umożebnia dalsze wmięszanie się mocarstw. W początkach mówili także o *extension*, rozszerzeniu powstania. Ks. Czartoryski wyczytawszy w mowie cesarza Napoleona z 5-go Listopada 1863 roku poruszającej myśl kongresu słowa: *La durée de l'insurrection lui a imprimé ce caractère national* „Trwanie powstania nadało mu tę cechę narodową“ powitał je jako potwierdzenie i usprawiedliwienie doniesień i zaleceń, które na początku

roku do kraju przesyłał. Wyrażenia *extension* „rozszerzenie“ w tekście tej mowy nie ma.

Rozstałem się z moim ojcem w przedpokoju ministerstwa stanu i poszedłem na górę do pani Walewskiej. Przywitała mnie z właściwą jej uprzejmością i zapytała zaraz, jakie z pierwszych chwil pobytu w Paryżu odniosłem wrażenie; odpowiedziałem, że nie zdaję sobie jeszcze dokładnie sprawy z tego wrażenia, lecz, że mniej jest przyjemnem, jak za poprzednich moich bytności. Obecnym był pan Nigra, ambasador włoski, zwróciła się do niego pani Walewska i rzekła: „Oto właśnie pan Koźmian, przybywa z Polski.“ „Ah! — odrzekł Nigra — zajmujące dzieją się tam rzeczy.“ „Zajmujące i smutne“—odparłem. „Dlaczego smutne?— rzekł—zdaje się, że dobrze idzie powstańcom, a widzę w dziennikach, że teraz będzie miało powstanie nawet flotę.“ Była to aluzya do zamierzonej wówczas wyprawy Łapińskiego z Anglii na Żmudź na parostatku *Ward Jackson*, oraz na *Gipsy Queen*, o której dzienniki pisały.

Nie wiem czy to była ze strony rozumnego a przebiegłego dyplomaty lekkomyślność czy też szyderstwo, ale pamiętam iż Szwedzi Téxiera, armaty Walewskiego i okręty Nigry, ubodły mnie do żywego; z jednej strony widziałem w swej nagości szał i nicość powstania całą jego tragiczność z odcieniem śmieszności; z drugiej płytkość sądu o wypadkach w Polsce dyplomacyi europejskiej, od której przecież oczekiwaliśmy jedynie pomocy i zbawienia, sądu, do którego w znacznej części przyczyniały się przechwałki i patetyczność ówczesnego ruchu i powstania, a także zbyt gorliwa chęć

z naszej strony, przedstawiania w dobrem świetle wypadków.

Pani Cornu była mleczną siostrą Napoleona III, towarzyszką młodości i serdeczne łączyły ją z nim stosunki pełne ufności; widywała go często i cesarz zwierzał się jej szczerze. Mój ojciec znał dobrze panią Cornu i zawiązała się była między niemi przyjaźń, tem ściślejsza, że pani ta rozumna i szlachetna sprzyjała sprawie polskiej. Za jej pośrednictwem ojciec mój objaśniał cesarza o stanie rzeczy w Polsce i udzielał szczegółów o wypadkach; przez nią cesarz dawał poznać swoje zapatrywania i pośrednie rady.

Pani Cornu miała ułożyć spotkanie się moje z cesarzem.

Pospieszyłem na rozmowę z nią. Oświadczyła mi na wstępie, że cesarz nie chce mnie przyjąć, uzasadniając odmowę słowy: *Cela me fait trop souffrir, de voir maintenant des Polonais, du reste je n'ai rien pour le moment à lui dire.* „Zanadto mi boleśnie widzieć się teraz z Polakami; zresztą w tej chwili nie miałbym mu nic do powiedzenia.“ Okazywało to głębokie dla nas współczucie a zarazem niemoc, conajmniej chwilową, dania mu praktycznego wyrazu. Moja rozmowa z panią Cornu utwierdziła mnie w tem zdaniu. Zapewniła mnie o wielkiem zajęciu się cesarza naszą sprawą—o czem nie wątpiłem—zapewniła, że nie może być mowy o tem, aby ją opuścił, ale zarazem dodała, że cesarza plany i zamiary pokrzyżowane zostały, że mu „popsuto“ jak się wyraził, to co chciał zrobić; że zatem na razie wypuścił rzecz z rąk, oddał ją ministrom i dyplomacyi, że niema wiary w skuteczność tego, co

się obecnie gotuje—wiadoma interwencya dyplomatyczna—że zatem dziś nie ma nic do powiedzenia, a wiedząc jakie ofiary ponosi naród polski i jak opłakanem jest położenie kraju, zbyt bolesnem by mu było spotkać się i rozmawiać z Polakiem.

Pani Cornu dodała, iż w rozmowie tej z cesarzem, przypomniała mu, że gdy był dzieckiem, nosił często mundur polskiego ułana; „Nieprawdaż — odrzekł Napoleon III—że to było niejako przepowiednią, iż przeznaczony byłem, coś dla nich zrobić.“

Z tej rozmowy oraz z zebranych w Paryżu wskazówek wnioskowałem, że cesarz, ktory od początku panowania umieścił był w swoim programie sprawę polską — o czem byłem przekonany, mając na to dowody — i o czem wątpić nie można było, znając jego usposobienie „Myśli napoleońskie“ i zamiary, a już choćby tylko ze względu na postanowioną przez niego jawnie zasadę narodowości; że cesarz mówię, zaskoczony i zbity z toru powstaniem w działaniu, które zmierzało do rozwiązania sprawy polskiej za pomocą przymierza Francyi z Rosyą, bardzo boleśnie dotkniętym został tem powstaniem i na razie uczuł się bezsilnym; dotkniętym tem głębiej, że w tej właśnie sprawie, w najwyższym stopniu złączonej z postawioną przez niego zasadą narodowości, obawiał się, iż okaże się jego bezsilność.

Skoro jednak dostrzegł był możność połączenia z nią nabytków dla Francyi w skutku konwencyi prusko-rosyjskiej, a następnie ze strony Anglii a zwłaszcza Austryi usłyszał głosy zachęcające, nie tylko obudziła się w nim nadzieja, że da się coś po-

ważnego i skutecznego, a zgodnego z interesem własnym i Francyi zrobić, ale zarazem i obawa, aby mu nie wyrwano z rąk jednej z najdonioślejszych spraw programu narodowości, którym tak wielki wywierał urok i za pomocą którego, wpływ jego tak bardzo się rozszerzył.

Wtedy, rozumowałem dalej, cesarz zwrócił się do Austryi, wziął w ręce sprawę polską i nie widząc już możliwości rozwiązania jej za pomocą przymierza z Rosyą, próbował załatwić ją przeciw Rosyi.

Misya ks. Metternicha do Wiednia, była dziełem cesarza Napoleona i ona stawiała praktycznie sprawę polską. W treści swej głównej i istocie, to jest w skłonieniu Austryi do natychmiastowego przymierza z Francyą i zbrojnej w *Królestwie Polskiem* interwencyi, popartej przez wojska francuskie, któreby w Tryjeście wylądowały, widziałem że spełzła była ta misya na niczem; ale wysunęła się z niej interwencya dyplomatyczna trzech mocarstw.

Cesarz Napoleon zatem, mówił sobie, zawiedzionym się widzi w tej chwili, w dwóch jedynie racyonalnych i możliwych sposobach załatwienia sprawy polskiej—przez Rosyę pokojowo, przez Austryę zbrojno. Na razie — niema środka przyjścia w pomoc Polsce, a przecież o nim przemyśliwa, jak świadczy o tem świeża z ks. Czartoryskim rozmowa. Nie wierzy cesarz w skuteczność interwencyi dyplomatycznej i dlatego osobiście stoi wobec niej na uboczu, a powierza swojemu rządowi i dyplomacyi jej doprowadzenie do skutku; nie przeszkadza jej jednak, bo nie może się pogodzić z myślą, iż nic dla Polski nie zdoła zrobić, bo nie

może znieść, po tylu oświadczeniach publicznych, zaparcia się zasady narodowości i poświęcenia jej właśnie na tym punkcie; bo wreszcie rozstać się nie chce z marzeniem granicy Renu. Obecnie więc zmartwiony, zniechęcony, nawet złamany, czekać przecież będzie na pierwszą sposobność, aby praktycznie i skutecznie działać, a tę sposobność może stworzyć interwencya dyplomatyczna, w której bezpośrednią skuteczność nie ufa, lecz która posłużyć może do skompromitowania i wciągnięcia mocarstw współinterweniujących, Austryi i Anglii. Gdyby bowiem nie żywił tej nadziei, pocóż zezwalałby na układy, w celu ułożenia interwencyi, która tem większy między Francyą a Rosyą sprowadzi rozdział? Tak rozumowałem.

Po widzeniu się z Walewskim i z panią Cornu, nabrałem przekonania, że nikt inny więcej powiedzieć mi nie zdoła i pomimo, iż mogłem się jeszcze widzieć z wieloma wpływowemi osobami, zaniechałem tego i nie poszedłem nawet do ministra spraw zewnętrznych, pana Drouyn de Lhuys, z którym mój ojciec niemal codziennie się widywał, a który złączony tożsamością przekonań i zapatrywań z Walewskim, słowo w słowo to samo mu mówił, co Walewski mnie.

Cesarzowi byłbym był rad przedstawić ustnie stan rzeczy w Polsce, ale, jak już powiedziałem, nie chciał mnie przyjąć. Uważałem zatem moją misyę w Paryżu za skończoną. Niepewną i czarną przedstawiała mi się przyszłość; przeczuwałem okropne położenie i srogie następstwa wynikające z niepodobieństwa zakończenia przedsięwzięcia, wobec przedłużającego się działania

zewnętrznego, a zarazem mierzyłem niepewność i kruche podstawy tego działania, połączone z nim nadzieje oparte już tylko na przypuszczeniach. Jedno było dla mnie widocznem, że w tem położeniu i do dalszego rozwoju wypadków, należało oszczędzać kraj i siły jego; do jaknajmniejszych ograniczyć się ofiar. Przesłałem oziębiające do Krakowa telegramy, obniżające dotychczasowy stopień nadziei w pomoc zewnętrzną. Oskarżono mnie — o psucie ducha!

Nastąpiły liczne narady w *Hotelu Lambert* i rozprawy, jaką mam ostatecznie zdać w Krakowie i Lwowie relacyę.

Nareszcie zasiedliśmy u *Durand* naprzeciw Magdaleny do obiadu, na którym zgromadzili się Polacy z wszystkich prowincyi, oraz przedstawiciele główni emigracyi skupiającej się w *Hotelu Lambert*. Celem zebrania było, abym zdał sprawę z tego, co się podczas pobytu w Paryżu dowiedziałem i z odniesionego wrażenia. Zabrałem też głos i w krótkich słowach, rzekłem: że nie wierząc nigdy w powodzenie powstania samego przez się, nie mogę sumiennie powiedzieć, aby dziś to jedno, na co zgodnie z rozsądkiem liczyć można było, to jest na poparcie sprawy polskiej zewnątrz i wojnę europejską, przedstawiało mi się pomyślnie; że nie widzę ani przygotowań, ani nawet zamiaru czynnego działania, że z wszystkiego, co słyszałem, dopatrzeć się takiego bezpośredniego zamiaru nie mogę; że obecnie rzecz weszła w fazę bardzo dla nas przykrą, bo dla nieokreślonych planów dyplomacyi i wynikających stąd wątłych widoków, zmuszeni będziemy przedłużać stan rzeczy zgubny i zabójczy dla kraju; że

narazie idzie tylko o interwencyę dyplomatyczną mocarstw, że nawet ta interwencya nie jest zapewnioną, bo dopiero toczą się o nią układy, że niepodobna przewidzieć jakiej ona będzie natury; że sama interwencya dyplomatyczna skuteczną stać się nie może i że nareszcie, dopiero w następstwie jej niepowodzenia, mogłyby powstać zawikłania i kombinacye, których odgadnąć nie można, które zatem nie są rzeczywistemi, podczas gdy rzeczywistością jest stan kraju i grożące mu klęski. Wobec tego położenia, rzekłem, mniemam, iż w chwili obecnej, należałoby powracając do pierwotnego stanowiska, zajętego przez zachowawcze żywioły wobec powstania, postawić sobie pytanie: czy należy je dalej popierać, czy też odsunąć się od niego. Na to zapanowało głuche milczenie.

Nie było ono wyrazem ani potępienia, ani pochwały słów moich, ale tego braku postanowienia właściwego charakterowi polskiemu, który tylko dorywczo do niego jest zdolnym, nigdy z rozmysłem. Przeważał także wstręt porzucenia podniesionej sprawy i rozstania się z obudzonemi nadziejami, łatwiej bowiem rozszerzać ich zakres, niż takowy ograniczyć i w tem wszelkich nadziei niebezpieczeństwo. Istniała prawdziwa trudność, zwłaszcza dla tych, którzy przystąpili byli do powstania na podstawie widoków zewnętrznej pomocy; niepodobna im było zatrąbić do odwrotu, dopóki ta pomoc pod jakąkolwiek formą zapowiadała się, nie łatwo im też było wziąść już teraz na swoją odpowiedzialność wyzucie się z widoków choćby najmniejszych, jakie ta pomoc przedstawiała jeszcze, bo nic przykrzejszego, jak samemu sobie zadawać kłam i wtedy nie jest

się wysłuchanym. Nie było wreszcie żadnych danych, aby usunięcie się od powstania ludzi, o których mówię, położyło mu koniec, ani też, aby ze strony Rosyi wyjednało znośne dla kraju warunki; spaliwszy z tej strony mosty, ludzie ci, już tylko w wyzyskaniu ostatnich widoków zewnętrznej pomocy szukać musieli wyjścia.

Tak dziś zdaję sobie sprawę z milczenia, którem zgromadzenie odpowiedziało na moje pytanie; tak też musiałem, nie zdając sobie wtedy równie dobrze jak obecnie sprawy z niego, odczuć je, gdyż po chwili ciągnąłem dalej. Myślę w każdym razie, rzekłem, że wobec wyczekiwania mocarstw i nam — o ile się da — należałoby zająć stanowisko wyczekujące; wstrzymać powstanie, nie jest zapewne w niczyjej mocy; potępić i wyprzeć się go niepodobna lepszej i rozsądniejszej części społeczeństwa, wobec rozpoczętego działania dyplomatycznego, na które ta część społeczeństwa liczyć kazała krajowi, a prawdopodobnie, gdyby spróbowała tego, byłoby to już dziś bezowocnem; ale nie należy przynajmniej narazie, rozszerzać ram i zwiększać rozmiarów powstania, bo byłoby to bezużytecznym wydatkiem sił, kiedy te siły potrzebnemi stać się mogą, jeżeliby akcya europejska poważny i praktyczny wzięła kierunek. Wtedy te siły rzucone na szalę zaważyć mogą, podczas gdy teraz, przeciwnie, tylko zmarnowanemi by były. Mówiłem dalej, iż w mojem mniemaniu, dla interwencyi dyplomatycznej, wystarcza to, co już się stało, wystarczają oddziały znajdujące się w *Królestwie Polskiem*, lub mające tam wkroczyć, lecz, że nie widzę żadnej potrzeby, przedwcześnie, a może bezuży-

tecznie narażać wysileniami Litwy, a zwłaszcza gubernij południowo-zachodnich, mających niebezpieczne stosunki społeczne, religijne i narodowe.

Na moje przemówienie odezwał się Aleksander Rembieliński:

„Z tego co powiedział pan Koźmian wnoszę tylko, iż cieszyć się nam należy, że ruch narodowy nie jest w rękach konserwatystów i reakcyonaryuszów.“

Rzucono jeszcze kilka słów, wskazujących, że wiadomości i rady z *Palais-Royal*, to jest pochodzące od księcia Napoleona, inne są jak te, które ja zebrałem, a niezgodne z zapatrywaniem Walewskiego i jak się to między Polakami zwykle dzieje, rozeszło się zgromadzenie nic nie postanowiwszy.

Mniemałem, że złe polityczne już samym faktem powstania spełnionem zostało, i że w razie niepowodzenia, to jest braku obcej pomocy, w nadziei, której my znowu zwiększyliśmy rozmiary złego, słabsze lub silniejsze poparcie powstania w *Królestwie Polskiem*, nie może już tego złego politycznego powiększyć; ale przemawiałem w ten sposób i w tym kierunku, dlatego głównie, że do końca, wśród największego chaosu i własnego zachwiania się, nie spuszczałem z oczów klęski, jaką żywiołowi polskiemu zgotować musiało, przerzucenie powstania po za granice *Królestwa Polskiego*; do innych prowincyj pozostających pod panowaniem rosyjskiem. Od samego początku sądziłem także, że łączenie i zespolenie *Królestwa* z *Litwą* i *Krajem południowo-zachodnim* w ruchu i powstaniu, utrudniało kombinacye polityczne i kompromisy możliwe, narażało przyszłość, słowem, odwrót, o którym tak wódz jak po-

lityk, pamiętać powinni. Gdzie mogłem i kiedy mogłem, broniłem tego podwójnego punktu widzenia, i mniemam, że gdybym był bronił skutecznie, przynajmniej rozmiary przegranej byłyby mniejszemi.

Litwa była już skompromitowana w pierwszych chwilach powstania, przecież czułem, że odnowienie tam powstania i upieranie się przy jego trwaniu, może na nią ściągnąć nietylko srogą represyę, ale także zemstę, system wytępienia żywiołu polskiego. Szło mi jednak przeważnie— bo to było po części w mocy Galicyi —aby zaniechać zbrojnych wypraw na Wołyń i Podole, oraz podniesienia powstania na Ukrainie, gdyż tam stan społeczny, religijny i narodowy groził katastrofą, zanimby nadeszła pomoc zewnętrzna. To też celem mojego przemówienia, było wpoić przekonanie o nieużyteczności a zgubności powstania na *Wołyniu*, *Podolu* i *Ukrainie*, a także o potrzebie oszczędzania sił narodowych w przedsięwzięciu, które samo przez się żadnych nie przedstawiało widoków powodzenia, któremu dać mogła warunki zwycięstwa, dopiero obca pomoc, na teraz zagadkowa. O możności zupełnego zaniechania i przeszkodzenia dalszemu trwaniu powstania, nie byłem przekonany wobec toczących się między mocarstwami układów i zapowiadanem działaniu dyplomatycznem. Nie ufałem przecież w skuteczność tego działania. Mogłem zatem i powinienem był nawet nie wierząc w podobieństwo zakończenia powstania, nakłaniać moich przyjaciół do odsunięcia się od niego i samemu stanąć na uboczu, lub co lepsza, jawnie wypowiedzieć moje zdanie. Była to chwila, w której brakło mi stanowczości i siły, aby pójść za wewnętrznym głosem

rozumu. Tak sądząc dzisiaj w oddaleniu od ówczesnych wypadków; mam jednak przekonanie, że byłbym tylko uratował osobiste stanowisko i osobistą odpowiedzialność, w najlepszym razie także ściślejszego grona moich przyjaciół. Rzecz nie obojętna w sprawach publicznych, choćby napozór była małego znaczenia; jak obojętną nie jest każda prawda wśród fałszów, a pochodnia wśród ciemności; zwłaszcza wyższość charakteru i umysłu choćby kilku, wśród ogólnego błędu.

Dodać jednak winienem, a czynię to dla uwydatnienia psychologicznego procesu, który się odbywał w umysłach podobnych do mojego — iż wobec już dokonanego wielkiego błędu i wielkiego złego, nie byłem należycie przekonany, aby zaniechanie powstania, lub odsunięcie się nasze od niego i potępienie go, było już wtedy, dla sprawy polskiej korzystnem. Nie przypuszczałem, aby wobec tego, co zaszło, rząd rosyjski skłonił się do zachowania *Królestwu Polskiemu* bytu narodowego, choćby powstania kraj zaniechał.

Wtedy pozostawało brać tylko w rachubę większe lub mniejsze ofiary, wzgląd, z którym liczyć się trzeba, lecz który w żadnem rozpoczętem przedsięwzięciu politycznem przeważyć szali nie może, ani rozstrzygająco na zdanie wpłynąć nie powinien. Myliłem się jednak zapewne, gdyż dopóki W. ks. Konstanty i margr. Wielopolski byli w Warszawie, prawdopodobnie dałoby się jeszcze było coś, z bytu narodowego, uratować. Mniemałem przeciwnie, że już można tylko i należy wyzyskać wszystkie choćby słabe widoki pomocy zewnętrznej, a aczkolwiek nie poczytywałem interwencyi dyplomatycznej za pomoc skuteczną, przypuszczałem

jeszcze, że ona pociągnie za sobą inne praktyczniejsze i zbawienniejsze kroki. Pozostając pod wpływem wychowania politycznego mojego pokolenia, polegającego na dążeniu bezpośredniem do niepodległości Polski i wierze w odbudowanie jej przez Europę, trudno mi było rozstać się z widokami rozwiązania w tym stylu sprawy polskiej, wtedy kiedy narażone już były warunki skromniejszego jej załatwienia, a istniały jeszcze, chociaż słabe żywioły podniesienia jej przez trzy mocarstwa w nią już zawikłane i mające — wedle naszych ówczesnych pojęć — interes we wskrzeszeniu Polski.

Nareszcie, a to już jest osobistym powodem, nie mógłbym był się zdobyć — chociażbym był pragnął pójść za owym wewnętrznym głosem — na odłączenie się od ludzi, z któremi szedłem od początku wypadków.

Ci ludzie prócz innych przyczyn wyżej wymienionych i tym jeszcze powodowali się względem, który przyczynił się do naszego zgubnego wytrwania na błędnej drodze, iż dopóki istnieje działanie zewnętrzne w sprawie polskiej, nie należy się, aby wykształceni i wyższe stanowisko zajmujący obywatele odsuwali się, a to dlatego, by godnie i roztropnie rzecz na zewnątrz przedstawiać, a o ile się da zapobiegać wewnątrz demagogicznym praktykom.

Są to czynniki, które zapisuję, bo je trzeba brać w rachubę przy ocenieniu zdarzeń i działań ludzkich, a zużytkować należy jako naukę i przestrogę, ich bezpodstawność, wykazaną doświadczeniem.

Nazaj trz po trzechdniowym pobycie, opuściłem

Paryż. Przed wyjazdem wieczorem — jak to było umówione—udałem się do pani Walewskiej; gdyby bowiem coś nowego zaszło, miał mnie o tem zawiadomić przez nią hrabia Walewski. Zastałem ją samą i zaraz zapytała mnie: czy opuszczam Paryż zadowolniony? Odpowiedziałem, że nie całkiem. „A dla czego?“ „Najprzód dla tego, że się nigdy chętnie Paryża nie opuszcza, a zwłaszcza, gdy się nie wie, kiedy się do niego powróci.“

Pani Walewska z żywem zajęciem, lecz nie bez pewnego zakłopotania i smutku, a ze współczuciem, zwróciła wprost rozmowę do przedmiotu. Nie taiłem przed nią, iż zdaniem mojem, nic dobrego nie wiozę z Paryża do kraju. Że wszystko obecnie polega i ogranicza się do akcyi dyplomatycznej, która musi pozostać bezowocną, a nawet stać się szkodliwą dla stron obu nas jedynie obchodzących, dla Francyi i Polski, jeżeli czynnie, powiedzmy po prostu, zbrojnie, popartą nie zostanie; że zaś ani przygotowań ani zamiaru takiego poparcia nie widzę, że domniemani sprzymierzeńcy na działanie skuteczne się nie odważą, a że z tego co widzę, nie mogę wnosić, aby Francya chciała i mogła [illegible], sama zbrojnie wystąpić; że tymczasem nieuchronnie spadną na kraj nasz niezliczone klęski, a na nas odpowiedzialność.

Pani Walewska starała się mnie pocieszyć i zmienić odniesione przezemnie wrażenie, ale widocznem było, że przyznawała, do pewnego stopnia, słuszność mojego zapatrywania, i że w jej duszę także zaczęło wstępować powątpiewanie, niezawodnie przykre, bo wskutek pochodzenia i nazwiska, które nosiła i kilkolet-

nich stosunków ze światem polskim, a także ze względu na stanowisko zajęte przez męża i takowego przyszłość, żywo ją obchodziły losy sprawy polskiej.

Poprosiłem panią Walewską, aby kazała zapytać męża czy chce przed wyjazdem widzieć się ze mną. Zadzwoniła i napisawszy kartkę, posłała ją przez kamerdynera. Ten po chwili wrócił, a pani Walewska powiedziała mi, że mąż zawezwał ją do siebie. Powróciwszy rzekła, że zajęty jest ważną naradą z ministrem bez teki, Magne — którego ustąpienie przed wpływem niesprzyjającego sprawie polskiej Foulda, właśnie w tej rozgrywało się chwili, że mnie kazał pożegnać, że wszystko, co mógłby mi powiedzieć nowego, znajduje się w kilku słowach umieszczonych w dopiero co wyszłym numerze *La Patrie*, który pani Walewska trzymała w ręku, że te słowa są oficyalne, i że one wraz z poprzednią rozmową, jaką miał ze mną hrabia Walewski, stanowią to wszystko, co winienem do kraju zawieść.

Pani Walewska oddała mi numer *La Patrie*, w którym zakreślone były niebieskim ołówkiem następujące słowa:

„Słusznie opinia publiczna zajmuje się układami, które się prowadzą między gabinetami z powodu sprawy Polski. Byłoby jeszcze niestosownem określić naturę i przedmiot tych narad, lecz to możemy stwierdzić już teraz, że negocyacye postępują, że się różnią od propozycyi angielskiej z dnia 4-go Marca r. b. pod tym względem, iż nie biorą za punkt wyjścia traktatów z 1815 r., i że niebawem będzie można osądzić, z jak

żywem zajęciem nie przestaje Francya popierać sprawy polskiej.“

Wzrokiem zapytała mnie pani Walewska o moje zdanie. Odpowiedziałem: „To to samo, o czem właśnie mówiliśmy przed chwilą — ale zobaczymy“ i wziąwszy ów numer *La Patrie*, jako nie żbyt świetną zdobycz mojej do Paryża wyprawy, w godzinę potem wsiadłem do wagonu.

ROZDZIAŁ VII.

Rozmowa z Adamem Potockim po powrocie z Paryża. Jadę do Lwowa. Komitet narodowy dla Wschodniej Galicyi. Franciszek Smolka. Oczekiwanie interwencyi dyplomatycznej. Stosunki z tajnym *Rządem Narodowym* w Warszawie. Ks. Władysław Czartoryski, przedstawicielem tego rządu za granicą.

Przybywszy do Krakowa, poszedłem najpierw do Adama Potockiego; był cierpiącym, zastałem go leżącego na kanapie: „No i cóż?“ zapytał. „To, co przywożę — odpowiedziałem — nic nie warte, a nawet opłakane. Przywożę bowiem tylko interwencyę dyplomatyczną, a ta nie zapewni nam zwycięstwa, lecz nie pozwoli zaniechać powstania.“ Opowiedziawszy mój pobyt w Paryżu, pokazałem numer *La Patrie*, oddany mi przez panią Walewską, Adam Potocki, w którym szlachetne popędy i głęboka miłość sprawy ojczystej szły o lepsze z niepospolitemi zdolnościami i bystrym umysłem, uśmiechnął się z gorzką ironią i smutkiem, wskazując jak zawodnemi okazują się nadzieje oparte na wierze w Napoleona III i jak dalece na błędną wepchniętym został drogę. Mógł on z tem lepszą znajomością rzeczy wydawać sąd, że sam poprzednio,

w latach przed powstaniem, kilka miał z Napoleonem III rozmów o sprawie polskiej i znał dokładnie szczegóły kilku spotkań cesarza z Zygmuntem Krasińskim. Adam Potocki wiedział zatem, równie dobrze jak ja, że zamiary Napoleona III w sprawie polskiej były bardzo stanowcze i bardzo poważne, ale widział już, że skoro powstanie je pokrzyżowało, niewłaściwe obrał był teraz potemu środki, i że błądził po manowcach, na których spotkać się sam musiał z niepodobieństwem, a narodowi polskiemu przymnożyć mógł tylko klęsk.

W długiej rozmowie przyszliśmy zgodnie do przekonania, że chociażby wobec małych warunków powodzenia dyplomatycznej interwencyi, przyszło kilku odważnym ludziom wystąpić przeciw powstaniu; byłoby to na razie bezowocnym czynem, a wreszcie, że skoro już tak daleko zaszły rzeczy, pora, w której interwencya europejska jest urzędownie zapowiedzianą, byłaby niewłaściwą i niestosowną dla podobnego zamiaru.

Zdanie moje o położeniu było potwierdzone protokółem posiedzenia *Biura Hotelu Lambert* z 28 Marca. Zapisano w nim, że wojny *na teraz* nie będzie, lecz akcya dyplomatyczna; wskutku tego *Biuro* polecało, aby na razie ograniczyć powstanie i oszczędzać siły aż do chwili, w której potrzebnem się okaże pospolite ruszenie. *Biuro* jednak dodawało — z czem się nie zgadzałem, że zmniejszając „intensywność“ powstania, rozszerzać je należy do dalszych ziem pod panowaniem rosyjskim.

Jednocześnie na tem posiedzeniu *Biura* powstała myśl zwołania do Paryża pełnomocników wszyst-

kich polskich prowincyj dla naradzenia się nad położeniem.

Zdawszy innym jeszcze osobom, a przedewszystkiem Ludwikowi Wodzickiemu i Stanisławowi Tarnowskiemu, sprawę z mojego pobytu w Paryżu, zarządziłem odpowiednie do tego co przywiozłem zachowanie się *Czasu*.

Na drugi dzień po powrocie z Paryża pospieszyłem do Lwowa, gdzie mój raport mógł mieć praktyczne zastosowanie, gdyż tam właśnie przygotowywała się zbrojna wyprawa na Wołyń.

Udałem się do Komitetu narodowego dla wschodniej Galicyi a raczej do jego członka, ks. Adama Sapiehy. Ten zwołał zaraz na wieczór komitet do swojego mieszkania. Przybyli Franciszek Smolka i Floryan Ziemiałkowski, trzecim był ks. Adam Sapieha. Powtórzyłem wobec nich znane już szczegóły mojego w Paryżu pobytu i znane moje rozumowanie. Przystępując zaś do przedmiotu głównego, oświadczyłem, że osobiście jestem przeciwny wysłaniu oddziału na Wołyń, uzasadniając moje zdanie tem, że zupełnie to jest niepotrzebnem dla akcyi zewnętrznej, na którą jedynie rozsądni ludzie liczyć muszą, zapewniając, iż nigdy cesarz Napoleon, a dodałem i Walewski nie powiedzieli—że krew powstania, nakreśli granice przyszłej Polski—a zwracając uwagę na niebezpieczeństwo społeczne, wynikające z partyzantki w *Kraju południowo-zachodnim*, która mogłaby wywołać katastrofę, odsłaniającą nasze słabe strony, a tem samem najgorsze, najniekorzystniejsze dla sprawy wrażenie i skutki, właśnie za granicą i ze względu na toczące się tam

układy. Silnie mnie poparł Smolka i w sposób, który mi na zawsze pozostał pamiętnym, a wpoił we mnie przekonanie o niepospolitych zdolnościach politycznych i sądzie tego męża. Argumentował mniej więcej tak jak ja, tylko lepiej i wytrawniej, i zakończył — wyprawa na Wołyń żadnej nie przyniesie sprawie korzyści, a narazimy nią obywatelstwo tamtejsze na wyrznięcie przez chłopów. Książę Adam Sapieha był przeciwnego zdania i ostro się starł ze Smolką. Ziemiałkowski milczał. Powróciłem do Krakowa i w tej nawet mierze nie osiągnąwszy nic pożytecznego, gdyż wyprawa na Wołyń nie została zaniechaną. Tak dalece jest prawdą, że w błędnem od założenia przedsięwzięciu jest się bezsilnym w czynieniu dobrze, a tylko się złe zwiększa. Łatwiej jest ludzi odwieść od tego co zgubne, stojąc przeciw nim, niż idąc z niemi.

Franciszek Smolka zasiadał od początku w Komitecie narodowym dla wschodniej Galicyi, jednakże tylko na to, aby stanowczo sprzeciwiać się jak się wyraził „tej szalonej wojnie.“ Widząc, że nie da rady, wystąpił z komitetu w Kwietniu.

Kiedy Komitet urządzał wyprawę na Podole i Wołyń i wedle życzenia *Biura* paryzkiego „rozszerzał powstanie do dalszych ziem,“ Smolka zaklinał, aby od zamiaru tego odstąpić, przedstawiając, że po doświadczeniach 1846 roku nie powinno się już wątpić, jaki będzie skutek tej wyprawy. Komitet zaś nie chciał zaniechać zamiaru, oczekując, że tak zwana *Złota Hramota* czyli usamowolnienie włościan cudu dokaże. Smolka poczytywał to za obłęd i zaślepienie.

Snuły się dni smutne i przykre, w których już

tylko z konieczności działa się i postępuje, i w których w końcu z nawyknienia nie pozostaje jak czepiać się wśród zawodów, wszelkich nadziei i czekać ich ziszczenia, jakieśmy to czynili, począwszy od nadziei w skutki dyplomatycznej interwencyi, aż do nadziei w zawikłania, któreby wyniknąć mogły ze sprawy duńskiej. Złudzenia ludzi wykolejonych tem sroższe, im więcej z biegiem wypadków przychodziło zrozumieć, że to tylko złudzenia.

Czekaliśmy więc na wysłanie not trzech mocarstw do Petersburga; podtrzymywaliśmy ich zapowiedzią trwanie powstania, a karmiliśmy dalej zagranicę domniemanemi jego zwycięstwami. Skoro oparliśmy całe działanie na pomocy zewnętrznej, logicznem było przedstawiać przed światem wypadki w Polsce w najkorzystniejszem świetle; ale było to tylko logicznem następstwem nielogicznego początku, i dlatego nawet ta logika w końcu zemściła się.

Ciężko jednak każdemu było na sercu i głowie, spieszno, aby tę grę zakończyć. Ale jak? Zalecać proste poddanie się i rozbrojenie wobec interwencyi mocarstw było—jak to już kilkakrotnie nadmieniłem—w naszych oczach i niepraktycznem i niepodobnem, a zwłaszcza nie byłoby do celu prowadziło, bo już teraz taka rada nie byłaby wysłuchaną.

Tymczasem wciąż przez wzgląd na zagranicę i interwencyę, rzeczy i ludzie szli coraz dalej. Wchodziliśmy w bliższe stosunki z nieznanym nam tajnym rządem narodowym i uznawaliśmy go, aby okazać jedność i wyłącznie narodowy charakter przedsięwzięcia. Książe Władysław Czartoryski z odziedziczonem i własnem

poważnem, znakomitem stanowiskiem europejskiem, zezwalał, z zaparciem się siebie, godnem uznania, lecz godnem zarazem lepszych czasów, być ajentem dyplomatycznym i przedstawicielem wobec zagranicy owego tajnego rządu narodowego, który niepojętym sposobem znajdował się w Warszawie i ztamtąd w pewnym zakresie wykonywał władzę.

Ks. Władysław Czartoryski został ajentem dyplomatycznym *Rządu Narodowego* w Maju 1863 r. Nominacya nosi datę 1 Maja, książe dowiedział się o niej dopiero 26 Maja. Przecież już od upadku dyktatury książe i *Biuro Hotelu Lambert*, uznawali faktycznie *Rząd Narodowy* i znosili się z nim, czy to w początku za pomocą *Dyrekcyi Białych* czy bezpośrednio. Zresztą *Dyrekcya Białych* w Warszawie, równie jak *grono krakowskie* już 19-go Marca, przystąpiła do powstania, a jej członek Karol Ruprecht, wstąpił był do *Rządu Narodowego*, Ruprecht pozostawał wciąż i aż do końca w ścisłych z *Hotelem Lambert* stosunkach.

Ks. Władysław Czartoryski pojmował swoją nominacyę w tem znaczeniu, iż jest jedynym przedstawicielem sprawy, względem *Rządu Narodowego* za granicą. Tymczasem jego korespondencya z *Rządem Narodowym* i tegoż departamentem spraw zagranicznych świadczy, iż istotnie tylko na Paryż i na Londyn był mianowany ajentem i to na Londyn do chwili, w której sam poradził, aby jenerał Zamoyski zajął miejsce ajenta głównego w Anglii. Co do innych krajów, są ślady w korespondencyi księcia z *Rządem Narodowym* ciągłych kontestacyj, ale widać z niej, że *Rząd Narodowy* nachylał się przeważnie do życzeń

ks. Czartoryskiego, prawdopodobnie pod wpływem Ruprechta.

Po nominacyi ks. Czartoryskiego, *Biuro Hotelu Lambert* przemieniło się w ajencyę *Rządu Narodowego.*

Fatum, bóstwo zrodzone z nieprawego związku błędu szalonych z pomyłką rozsądnych, pchało wciąż dalej ludzi i wypadki. Niebawem mieliśmy mu znowu uledz.

ROZDZIAŁ VIII.

Amnestya.

Była to niedziela 12 Kwietnia. Jak zwykle przed dwunastą zeszliśmy się w redakcyi *Czasu* z Aleksandrem Szukiewiczem. Przyszliśmy dla przejrzenia dzienników i listów, dla ułożenia następnego numeru wtorkowego dziennika. Szukiewicz, którego zastałem w redakcyi, przywitał mnie depeszą telegraficzną, donoszącą o amnestyi wydanej w tym samym dniu przez cesarza rosyjskiego.

W. ks. Konstanty i Wielopolski byli jeszcze na swoich stanowiskach w Warszawie. Depesza z 12 Kwietnia 1863 r. brzmiała: „Wyszedł manifest cesarza Aleksandra, który zapowiada amnestyę pod warunkiem złożenia przed dniem 1 Maja (st. stylu) broni przez powstańców; tudzież obiecuje dalej prowadzić organizacyę *Królestwa Polskiego* rozpoczętą przez margrabiego Wielopolskiego.“

Spojrzeliśmy na siebie mierząc całą doniosłość tego faktu; odrazu zrozumieliśmy, że znowu nadeszła

jedna z tych chwil stanowczych, w których postanowienie rozstrzyga o przyszłości, lecz nie umieliśmy w pierwszej minucie, ani nic powiedzieć, ani nic przedsięwziąć, coby nas samych zadowolniło i uspokoiło. W tem drzwi się otwierają i wchodzą Adam Potocki i Henryk Wodzicki. Obaj ci znakomici ludzie wiedzieli już o amnestyi, obaj zapytali: co zamierzamy uczynić i jakie *Czas* wobec amnestyi zajmie stanowisko? Obaj, każdy odpowiednio do temperamentu i natury swojej, Adam Potocki gorąco, Henryk Wodzicki spokojniej, przemawiali za przyjęciem amnestyi i oświadczeniem się w tym duchu *Czasu*, zachęcając mnie do napisania, w numerze dnia następnego odpowiedniego artykułu wstępnego. Przekładali i słusznie, iż wobec małych widoków powodzenia—zresztą opóźniającej się—interwencyi dyplomatycznej mocarstw, ta amnestya jest opatrznościowem wyjściem z opłakanego i rozpaczliwego już niemal położenia. Szukiewicz nie wiele się odzywał, lecz czułem z tego co mówił, że nie chciał brać na siebie odpowiedzialności za tak sprzeczny z dotychczasowem zachowaniem się a raptowny zwrot dziennika. Mnie zatem pozostało przeprowadzić rozprawę. Rozpocząłem od tego, iż istotnie chwila jest ważna, może stanowcza, że więc nie chcę niczego z góry przesądzać, lecz że właśnie dla rozjaśnienia rzeczy pragnę przeprowadzić dyskusyę. Poruszyłem przedewszystkiem wzgląd, iż idzie tu o to, jak ma *Czas* przemówić skutecznie; to jest czy jest możność, aby oświadczając się za amnestyą, a musi to uczynić stanowczo i zaznaczając zupełną zmianę stanowiska, wysłuchanym został; czy też nie narazi się tylko, występując bez poprzedniego porozumienia się

z ludźmi i czynnikami, z którymi szedł dotąd zgodnie, na zupełne niepowodzenie, wyparcie się i odosobnienie, na zarzut samozwaństwa; w następstwie czego, damy sobie wytrącić z rąk broń, jaką jest dziennik tego znaczenia co *Czas*; konkludowałem, że przemówienie *Czasu* za amnestyą, pozostanie najzupełniej bezskutecznem. Szukiewicz poparł mnie silnie. Wtedy Adam Potocki, w porywie tej pięknej wymowy, którą był obdarzony, zawołał: „Na wasze głowy spadnie cała krew, która odtąd wylaną zostanie“ i wyszedł. Rozeszliśmy się z Szukiewiczem nic nie postanowiwszy, pozostawiając sobie noc do namysłu. W rannych godzinach poniedziałku—dziennik wychodził wtedy wieczór—można było jeszcze w jedną lub drugą stronę stanowczy napisać artykuł.

Wyszedłszy z redakcyi, chodziłem po plantacyach przygnieciony ciężarem odpowiedzialności i w walce najprzykrzejszej z samym z sobą. Pozostawałem pod wrażeniem słów Adama Potockiego, które silnie na mnie oddziałały; czułem ile w nich było prawdy, czułem słabość mojej wobec niego argumentacyi, czułem zarazem, że oświadczenie się *Czasu*, który w owej chwili niezaprzeczenie prawdziwego używał znaczenia, i z którym nawet rząd tajny się liczył, mogło zaważyć na szali wypadków i jeżeli nie położyć natychmiast końca powstaniu, zużytkowując wyjscie, które dawała amnestya, to przynajmniej wpłynąć na zachowanie się rozsądniejszej części narodu, żywiołów zachowawczych i oddziełenie ich od powstania.

Amnestya usuwała jeden z ważnych argumentów, które przemawiały za popieraniem powstania — brak

wyjścia po za widokami, jakie dawała interwencya mocarstw. Aczkolwiek nie można było wiedzieć, w jaki sposób rząd rosyjski zastosuje politycznie amnestyę, przecież skoro była wydaną w obecności W. ks. Konstantego i Wielopolskiego, dozwolonem było wnosić, że jej przyjęcie nietylko zapobieży srogiej represyi, ale także uratuje narodowe instytucye, a z niemi byt narodowy *Krolestwa Polskiego*, co zapowiadał manifest.

Z drugiej strony wszedłszy raz na drogę, po krórej kierowałem się wskazówkami *Hotelu Lambert* i rządu francuskiego, stosując się do widoków pomocy zagranicznej, czułem pewien wstręt do wzięcia na własną rękę, w tak ważnym i stanowczym przedmiocie, postanowienia, bez porozumienia się z osobami, którym ufałem i których instrukcyi słuchałem, a jak przeczuwałem wbrew ich zdaniu oraz dotychczasowemu działaniu.

Stanisław Tarnowski i Ludwik Wodzicki wyjechali byli na niedzielę na wieś, z Szujskim, jak wiadomo, nie znosiliśmy się jeszcze wtedy.

Obawiałem się na własną odpowiedzialność zepsuć lub zniweczyć, w ostatniej godzinie, usiłowania długie i mozolne, których wyrazem stać się miała interwencya dyplomatyczna mocarstw.

Noty jednak mocarstw, już za mojego pobytu w Paryżu przygotowywane, opóźniały się. Wciąż zapowiadanego ich wysłania do Petersburga oczekiwaliśmy od kilkunastu dni bezowocnie.

Okoliczność ta znowu przemawiała za usłuchaniem rady Adama Potockiego, i stawała się dla mnie uspra-

wiedliwieniem w razie oświadczenia się *Czasu* za amnestyą. Istotnie, gdyby przyjęcie amnestyi było mogło uprzedzić i zapobiedz wysłaniu not mocarstw do Petersburga, byłoby się podwójnie stało zbawczem i byłoby oszczędziło klęsk nietylko krajowi, ale i sprawie. Uwagę to czynię dzisiaj, lecz wtedy nie nasuwała mi się wcale.

Nie mogłem przyjść do równowagi i zgody z samym sobą i jak to się dzieje w podobnych okolicznościach, odkładałem od chwili do chwili postanowienie, wciąż rozumując sam ze sobą. Wreszcie uznałem za stosowne, może pożyteczne zasięgnąć rady właściciela *Czasu* Wincentego Kirchmayera. W zawodzie dziennikarskim potworną jest potrzebą brać w rachubę, przy najważniejszej sprawie publicznej, wzgląd na dobro dziennika, nie zawsze na dobro materyalne, ale na jego wpływ i znaczenie. Ztąd też w chwilach ważnych obowiązek poradzenia się właściciela, chociaż w tym wypadku, liczyć mogłem także na wytrawny sąd polityczny, na rozum i rozsądek, które kazały na pierwszem miejscu stawiać dobro sprawy.

Poszedłem do mieszkania Kirchmayera i przedłożyłem mu rzecz całą, powtórzyłem słowa Adama Potockiego, rozumowanie Henryka Wodzickiego i prosiłem o jego zdanie, nie o instrukcyę, gdyż niezależność polityczna dziennika była wobec właściciela zawarowaną. Rozmowa nasza spokojna, wyłącznie przedmiotowa, ciągnęła się długo i z trudnością dochodziliśmy do konkluzyi, wciąż rozbijając się o szkopuł bezużyteczności, oświadczenia się *Czasu* za amnestyą, a w razie bezskuteczności, szkody, jaką wyrządzilibyśmy już

nie dziennikowi, ale sprawie i podjętym zagranicą usiłowaniom. Gdyśmy tę mozolną prowadzili rozmowę, usłyszeliśmy dzwonek; Kirchmayer wstał i odebrał z rąk posłańca z telegrafu, depeszę adresowaną do redakcyi *Czasu* — w niedzielę po dwunastej, przynoszono do mieszkania właściciela telegramy przeznaczone dla dziennika. Wrócił i oddał mi depeszę, odpieczętowałem ją, była z biura urzędowego, przeczytałem słowa: „Noty mocarstw odeszły do Petersburga."

Zrozumieliśmy obaj, że dalsza rozmowa byłaby bezprzedmiotową, zrozumieliśmy, że amnestya i wysłanie not w bezpośrednim ze sobą zostawały związku, że pierwsza była tylko następstwem drugiego; że amnestya miała posłużyć do zasłonięcia się przed notami i interwencyą mocarstw i za argument w odpowiedzi rosyjskiej, że była wybiegiem, co musiało w naszych oczach zwiększyć znaczenie i poniekąd już skuteczność dyplomatycznej interwencyi. Zrozumieliśmy, że wobec tych dwóch jednoczesnych wiadomości, stanowisko *Czasu* było przesądzone; że chociażbyśmy chcieli, niepodobna by było w *Czasie* zalecać przyjęcia amnestyi w chwili wręczenia not mocarstw w Petersburgu.

Rozeszliśmy się i natychmiast poszedłem do Szukiewicza. Zarządziliśmy wydanie nadzwyczajnego dodatku do *Czasu*, w którym ogłosiliśmy obydwie depesze: jednę zwiastującą manifest cesarski z amnesyą; drugą donoszącą o odejściu not mocarstw do Petersburga.

Oceniłem w tym dodatku amnestyę — jak się na drugi dzień wyraził Szukiewicz w *Przeglądzie politycz-*

nym — „jeżeli nie wyczerpująco to przynajmniej wielostronnie.“

W tem ocenieniu, *Czas* amnestyi nie przyjmował, owego stanowczego zwrotu żądanego przez Adama Potockiego nie zaznaczał, co w owej chwili znaczyło, iż przemawiał za odrzuceniem amnestyi i nie doradzał korzystać z danej sposobności zakończenia powstania, chociaż czynił to, ze względu na dwóch tak znakomitych obywateli jak Adam Potocki i Henryk Wodzicki, z pewną oględnością i jeszcze z umiarkowaniem.

W poniedziałek wieczór, we wtorkowym numerze *Czasu*, ukazał się wstępny artykuł, nie stwierdzający nowego zwrotu, nie zbawczy, ale szablonowy wedle modły ówczesnej, wykazujący już bez ogródek podstęp amnestyi i związek jej z wysłaniem not, a opierający działanie i przyszłość na dokonanej interwencyi dyplomatycznej mocarstw. Mówił między innemi: „Manifest czy ukaz obwieszczający amnestyę dla Polaków, dopominających się z bronią w ręku o prawa narodowe i o swobody wolnych ludzi, pragnie przedewszystkiem sprowadzić kwestyę polską z jej ogólnej europejskiej posady i zamienić ją w kwestyę wewnętrzną. Rosya odmawia Europie prawa wdawania się w stosunek jej z Polską i jednym aktem chce uwolnić się od not dyplomatycznych, które z Wiednia, Paryża i Londynu odeszły już do Petersburga, a oraz zamknąć całą kwestyę w ciasnych granicach systemu, politycznej jedności monarchii rosyjskiej. Położenie kwestyi polskiej nie tyle zmienić się, jak raczej wyjaśnić się może wskutek tego ukazu. Rządy bowiem, które wysłały swoje noty do Peterburga, zostały tym ukazem, że tak powiemy,

zaskoczone. Nie przed wygotowaniem tych not wyszedł ukaz rosyjski, ani też po nadejściu ich, nie jest więc aktem dobrej woli, nie jest ustępstwem wymuszonem przez ten pierwszy krok dyplomatycznej interwencyi. Zachowanie się dalsze mocarstw względem tego ukazu nie może być także z góry przewidzianem, albowiem wpłynie na postanowienie ich, stanowisko, jakie kraj zajmie wobec ukazu.

Nie mogą więc trzy rządy nie czekać rezultatu, jaki się okaże w dniu 1 (11) Maja. Jeżeli ten rezultat wypadnie po myśli rządu rosyjskiego, nie pozostanie mocarstwom nic innego, jak zastosować się do woli narodu, za którym stoją jako obrońcy i opiekunowie; w przeciwnym zaś razie nie mogą zdać sprawy polskiej na łaskę cara, inaczej bowiem nietylkoby zrzekły się praw sobie służących dziś i w przyszłości. ale nadto dałyby Rosyi dyplomatyczną wygraną.“

Nie można było wyraźniej powiedzieć, iż amnestyi przyjąć nie należy, a zarazem wykazać powody, dla których amnestyi przyjąć nie chcieliśmy, czy nie mogliśmy.

Gdybym był nie powiem starszym, ale więcej wówczas wyrobionym, gdybym był już przeszedł przez srogie doświadczenia 1863 r., nie twierdzę, abym był w tym wypadku i w tym zbiegu okoliczności inaczej postąpił. A przecież skutki były opłakanemi. Ktokolwiek jednak żył w owej epoce, ktokolwiek postawi się w mojem położeniu, ktokolwiek rozważy bacznie stosunki, ten przyzna, że trzebaby było mieć chyba nadludzki rozum i siłę, aby inaczej postąpić.

Fatalność chciała, aby dwie powyżej przytoczone wiadomości doszły nas w przeciągu kilku godzin, aby ostatnia nie spóźniła się o godzin kilkanaście. Ta fatalność przecież była tylko wyrazem drastycznym następstw błędu głównego powstania i pomyłki poparcia go przez nas w nadziei zewnętrznej skutecznej pomocy.

Przez cały ciąg wypadków, dwie były jedynie prawdziwie ważne i stanowcze chwile dla nas, którzy powstania nie zrobiliśmy, lecz je poparli w widokach pomocy zewnętrznej; dwie chwile, w których mogliśmy uratować coś więcej, jak osobistą odpowiedzialność.

Pierwszą taką chwilą była ta, w której odbywała się misya księcia Metternicha, co ostatecznie skłoniło *grono krakowskie* do opuszczenia zupełnie wyczekującego nawet odpornego wobec powstania stanowiska, a do poparcia go i przemówienia za niem; drugą, amnestya, której odrzucenie zaleciliśmy. Postępowanie nasze w obydwóch tych chwilach stało się zgubnem, nie z naszej w tych dwóch wypadkach winy, lecz wskutek znowu zasadniczego błędu powstania, który nie był naszym, i pomyłki już naszej, że przypuściliśmy, iż z błędu zasadniczego wyniknąć mogą okolicznościowe korzyści, iż mniemaliśmy, że można złemu zaradzić, zle zwiększając, słowem, że klęskę jaką nam zadało powstanie, zażegnać, a nawet zużytkować się da, wywołując niem pomoc zagraniczną. Korzystać można i zyski ciągnąć z błędów przeciwników, nigdy z własnych.

Zawiniłem nie mniej jak inni, ale mogę sobie przyznać, że i nie więcej jak inni.

ROZDZIAŁ IX.

Interwencya dyplomatyczna.

Szło teraz o treść not. Już za mojego w Paryżu pobytu, rozchodziło się o to, do czego wielką przywiązywano ważność, czy noty trzech mocarstw będą równobrzmiącemi — jako sobie tego życzyła Francya — czy różnobrzmiącemi.

Z listów, które obecnie z Paryża odbierałem, wiedziałem, że noty zbyt silnemi nie będą, że zaznaczą przecież pewne wmięszanie się mocarstw w sprawę, którą Rosya za wewnętrzną poczytywać musiała.

Złym znakiem było już, iż przyznawano, że noty nie są identycznemi, co wskazywało, że nie było między mocarstwami porozumienia, ani co do punktu wyjścia, ani co ważniejsza, co do dalszego działania.

Różnobrzmienność not, dawała poznać chęć każdego z osobna mocarstwa, zachowania sobie wolności wycofania się.

Od chwili aresztowania Chrzanowskiego i mojego wstąpienia do redakcyi *Czasu*, pracę polityczną w dzienniku i odpowiedzialność dzieliłem tylko z Aleksandrem Szukiewiczem. Był to fachowy, wielce pracowity dziennikarz, ścisły w pisaniu i w wykonywaniu swoich obo-

wiązków; odznaczał się dokładnością i zdrowym sądem, wybornym był jako nauczyciel dla rozpoczynających zawód, a chociaż nieco szorstkim, w gruncie dobrym; inicyatywy nie miał, ale raz przyjęty system konsekwentnie przeprowadzał; mniemam, że w wypadkach 1863 roku raczej uczuciem jak rozumem powodował się; rozum nie pozwalał mu mieć wiary w ich powodzenie, uczucie wzbraniało wyzuć się z niej. Mann, który się był dawniej za granicę usunął, nie chcąc dłużej brać odpowiedzialności za kierunek, w który *Czas* wepchniętym został, chociaż kierunek ten, był już teraz tylko loicznem następstwem zachowania się dziennika od 1860 r., Mann mówię, dziennikarz pierwszorzędny, był nieobecnym. Istotnie więc zadanie polityczne w dzienniku, ja w przeważnej spełniałem mierze i Szukiewicz pozostawiał mi zupełną niemal pod tym względem swobodę. Kierował się temi myślami i powodami, które wyżej przedłożyłem. *Czas* szedł zgodnie z zachowaniem się *grona krakowskiego* i *Hotelu Lambert*, oraz zgodnie z instrukcyami i wskazówkami pochodzącemi od rządu francuskiego.

Wobec wysłania not trzech mocarstw do Petersburga, napisałem programowy artykuł, czego dotąd wyjazdy do Paryża i Lwowa oraz zatrudnienia w *Biurze krakowskiem* nie dozwoliły mi były uczynić.

Treść jego da miarę ówczesnych polskich zapatrywań na polski dogmat interesu europejskiego w odbudowaniu Polski.

W *Czasie* z 16 Kwietnia rozpocząłem wstępny artykuł od słów:

„Gdyby wyłącznie uczucia ludzkości, szlachetności,

współczucia i sprawiedliwości, miały powodować mocarstwami, które przesłały za Polską noty do Petersburga, nie wielką przywiązywalibyśmy wagę do owego działania dyplomatycznego, małą rokując mu przyszłość. Lecz właśnie w kwestyi polskiej działają wyższe polityczne czynniki, bo interesa każdego z trzech mocarstw i ogólny interes europejski."

Co się tyczy Anglii naznaczonem było „iż zupełne wykreślenie sprawy polskiej z rzędu kwestyi europejskich nie odpowiadałoby widokom W. Brytanii; takie wykreślenie rozwiązałoby bowiem ręce Rosyi w kwestyi wschodniej i jedynie mogłoby uratować drogę do ścisłego, szczerego przymierza, między gabinetami petersburskim i paryskim, przymierza groźnego dla Anglii równie na lądzie jak na morzu."

Przechodząc do Austryi artykuł mówił:

„Położenie Austryi jako mocarstwa, które wzięło udział w rozbiorze Polski, jest niezaprzeczenie nader delikatne i trudne. Nie będziemy tu przypominać znanej i tyle razy już wspominanej przeszłości. Wiadomo, iż Austrya z konieczności tylko przystąpiła do rozbioru; logiczna więc konsekwencya prowadzi do wniosku, że konieczność tylko wstrzymywała ją dotąd, ilekroć nadarzała się sposobność przywrócenia Polski. Tak utrzymują jej mężowie stanu, a jeżeli mylili się może co do stopnia tych dwóch konieczności, to w zasadzie żaden z nich nie zapoznawał wielkich korzyści wypływających dla Austryi z istnienia Polski. Polska bowiem przedzielając Austryę od Rosyi, usunęłaby od niej niewygodnego bo potężnego sąsiada, a staćby się mogła wiernym Austryi sprzymierzeńcem. W przeciw-

nym razie, Rosya niepowstrzymana w swym pochodzie przez sąsiednią Polskę, dążąc do rozwiązania na swą korzyść sprawy wschodniej, uderzyć musi najpierw o Austryę. Nim jednak przyszłoby do ostateczności, Rosya mogłaby sobie powoli torować drogę propagandą panslawistyczną w łonie cesarstwa rakuskiego, a ta propaganda rozszerzyłaby się najpierwej do prowincyi dawnej Rzeczypospolitej. Przygotowawszy sobie w ten sposób środki dalszego działania, Rosya przystąpiłaby niezawodnie do ostatecznego a pomyślnego dla siebie rozwiązania kwestyi wschodniej. Tu zaś interesa Austryi zbyt są wibitne, aby potrzeba było długo nad niemi się rozwodzić. Sama Austrya zbyt czułą okazała się na nie, w niejednej okoliczności, aby módz o nich powątpiewać. Panowanie Rosyi na Wschodzie zagraża politycznym, handlowym i religijnym interesom Austryi. Stawiając Polskę na straży tych interesów, Austrya zapewnia sobie w tej części świata, nietylko bezpieczeństwo, lecz zarazem przyszłość. Wielkie mocarstwo nie może się zadawalniać małemi konturami, lecz nawet ze stanowiska bezpieczeństwa, nakreślić sobie musi szerokie horyzonty. Takie horyzonty przedstawiają się Austryi w kwestyi polskiej, a chwila obecna, acz nie wolna od wielkich trudności, zdaje się być potemu szczególnie sposobną. Pominięcie jej, już nie same trudności, lecz niebezpieczeństwa za sobą pociąga, niebezpieczeństwa wynikające tak z położenia jeograficznego, handlowego, religijnego jak szczególniej politycznego; bo jeżeli idea panslawizmu należy jeszcze do rzędu utopij, to jedynie dlatego, iż Polska niczem niezłamaną wolą dąży do odzyskania swych przyrodzonych

i historycznych praw. Działanie zaś w tym kierunku gabinetu petersburskiego zbyt jest od niejakiego czasu wyraźne, aby nie wzniecało obaw, a obecność w rządzie rosyjskim autora *Listu szlachcica polskiego do księcia Metternicha* zbyt otwartą wskazówką."

Najważniejszym powinienby był być ustęp o Francyi; widocznie względy ówczesne i zalecania rządu francuskiego, nadały mu znamiona ostrożności i wstrzemięźliwości. Brzmiał on:

„Francya przez swą potęgę, przez ducha inicyatywy, który ją ożywia, jest zawsze przeznaczoną wzbudzać nieufność, której zbyt często ostatnim wyrazem stawały się zawiązywane przeciw niej koalicye. Nie mogąc się wyprzeć swojego posłannictwa, a nie chcąc się narażać na nierówne walki, w trudnem znajduje się do mocarstw położeniu, a takowe nawzajem ciąży nad całą Europą. Ustalenie bytu Polski zadość czyniąc pragnieniom Francyi i stwarzając sprzymierzeńca jej, lubo nie bezwarunkowego, jedynie może rozwiązać trudne zadania, nad którem mozoli się świat polityczny. Polska bowiem zadawalnia Francyę, lecz zarazem zaspakaja Europę; czyni więc niemożliwemi, bo niepotrzebnemi koalicye. Lecz jeżeli wielki interes Francyi tak społeczny, historyczny, religijny jak polityczny, przemawia za bytem Polski, to interes ten jest stokroć większym dla Francyi napoleońskiej, właśnie dlatego, iż ta największą wzbudza nieufność i w najtrudniejszym znajduje się pod tym względem, dylemacie, z którego wyjść może tylko szczerze popierając sprawę polską. Odwetu prawdziwego a nieobrażającego inne mocarstwa za Waterloo, nie może Francya napoleońska

szukać gdzieindziej jak w Polsce. Gdyby Napoleon I zamiast dążyć do monstrualnej dominacyi nad całym światem, chciał był — szanując prawa wszystkich — zapewnić tylko przynależny Francyi wpływ, nie byłby aneksował Rzymu, Hamburga i Holandyi, lecz byłby odbudował Polskę. To czego w swem zaślepieniu nie chciał dokonać Napoleon I, dokonać może swem umiarkowaniem Napoleon III. Namawiają go niezawodnie do tego względy wyżej przytoczone, lecz i ten, iż istnienie Polski uwolniłoby go od niezbędnego w przeciwnym razie, lecz zarazem nienaturalnego przymierza z Rosyą.

Wreszcie określonym był, ogólny—tak nazwany—interes europejski, słowy:

„Jednak ponad szczegółowemi interesami Anglii, Austryi i Francyi, góruje tu jeszcze wyższy, bo ogólny interes Europy. Dlatego, że kwestya polska dotyka zbyt wiele interesów tych trzech mocarstw, ciężyć ona będzie — dopóki nie zostanie rozwianą — jak brzemienna burzą chmura, nad horyzontem politycznym. Nie należymy do rzędu optymistów politycznych, lecz w logicznym wywodzie twierdzić możemy, iż załatwienie należyte sprawy polskiej, dać może światu spokój względny, zapewne nie taki pokój, o jakim marzy pan Cobden, lecz taki, jaki następuje w świecie politycznym, gdy wszystkim interesom na jakiś czas zadość się uczyni.“

Nareszcie pod koniec Kwietnia, noty trzech mocarstw, zostały ogłoszone. Francuska z 10 Kwietnia podpisana przez Drouyn de Lhuys, wystosowana do ks. Montebello, ambasadora w Petersburgu, była umiarkowaną, ale poważną. Angielska z 10 Kwietnia hr.

Russella do lorda Napier, ambasadora w Petersburgu, w formie najgorętsza z trzech, odwoływała się na traktat wiedeński i powstawała niemal gwałtownie przeciw uroszczeniom Rosyi, poczytąnia sprawy polskiej jako wewnętrznej.

Najbledszą była najważniejsza — austryacka nota. Z datą 12 Kwietnia, to jest dnia wysłania not do Petersburga, podpisana przez hr. Rechberga, a wystosowana do *chargé d'affaires* w Petersburgu, hr. Fryderyka Rewertera, wychodziła z punktu widzenia, iż powstanie mniej groźne przybiera rozmiary po porażce najznaczniejszych band zbrojnych, oraz zaznaczała niebezpieczeństwa dla Galicyi w razie przedłużenia się niepokojów.

Trzy noty nalegały — każda z osobna — na rząd rosyjski, aby obmyślił środki zdolne postawić Polskę „w wurunkach trwałego pokoju.“ Ci; do których były adresowane, otrzymali polecenie odczytania ich wicekanclerzowi ks. Gorczakowowi.

Na pozór piękne i szlachetne, zwłaszcza obrazowe i efektowne przyłączenie się wielu innych państw — prócz Prus — począwszy od Turcyi, a skończywszy na Portugalii, do powyższej interwencyi dyplomatycznej trzech mocarstw, dla głębszych i bystrzejszych umysłów, odejmowało wiele doniosłości i ważności krokowi tych mocarstw. Było to rozdrobnieniem odpowiedzialności europejskiej, przeistoczeniem sprawy politycznej w humanitarną, manifestacyą zamiast akcyi, jakby nadaniem z góry pokojowego znaczenia wystąpieniu mocarstw i miało to być istotnie oznaką, że skoro tylu popiera noty, nic i nikt za niemi nie stoi.

Przecież ks. Gorczakow wcale nie lekceważył sobie tego pierwszego kroku mocarstw, może dlatego, że najtrudniejszym jest zawsze pierwszy i że po nim przypuszczać musiał, że inne łatwiej nastąpią.

Dziwnem zresztą objawem tych czasów było, iż rząd rosyjski tak dobrze w politycznem, wojskowem jak i dyplomatycznem działaniu, wobec wypadków polskich, zawsze i wszędzie w pierwszej chwili przejęty był trwogą, co niezmiernie przyczyniło się do ich rozwoju, do katastrofy i jej rozmiarów.

Wobec manifestacyj warszawskich zadrżał rząd rosyjski i namiestnik ks. Gorczakow; podczas ich przebiegu, władze wojskowe wierzyły w możność zbrojnej w Warszawie rewolucyi i obawiały się jej skutków. W pierwszych chwilach styczniowego powstania, dowódzcy rosyjscy przypuszczali, że za źle uzbrojonemi i szczupłemi oddziałami, postępują liczne i groźne zastępy; zamiast silnem wystąpieniem zgnieść i rozproszyć w pierwszej chwili te oddziały, działali oni przeciw nim z niezmierną ostrożnością, a w chwili odniesienia nad nimi łatwego zwycięstwa, ta ostrożność przeistaczała się czasem w panikę i dowódzcy zamiast korzystać z przewagi swej, nakazywali wojsku niczem nieusprawiedliwiony odwrót, jak się to stało pod Wąchockiem i w wielu innych wypadkach, odwrót, który wytwarzał owe niezrozumiałe powodzenie powstania, tak bardzo przez *Czas*, a następnie przez *Biuro krakowskie* wobec Europy podnoszone i święcone.

Tak samo teraz wobec pierwszych not mocarstw, ks. Gorczakow, minister spraw zewnętrznych, wcale pewnym przyszłości nie był i pewności ani w sobie,

ani co do następstw kroku mocarstw nie okazał. Nie mógł on przypuścić, iż nic i nikt nie stoi za notami tłumnie przez Europę popartemi.

W depeszy też z 26 Kwietnia do pana Bałabina posła w Wiedniu, ks. Gorczakow odpowiedział dość łagodnie na notę wiedeńską, zwracając nieco ironicznie uwagę rządu austryackiego na to, iż on może się przyczynić do trwałego uspokojenia *Królestwa Polskiego.*

Pod tą samą datą, ks. Gorczakow wysłał depesze do barona Budberga w Paryżu i do barona Brunnowa w Londynie, w których w sposób bardzo umiarkowany, nie wykluczając potrzeby porozumienia się, zwracał uwagę gabinetów na tę okoliczność, iż i one mogą się przyczynić do trwałego uspokojenia w *Królestwie Polskiem*, „albowiem nadzieja i wiara w obcą pomoc, są głównemi powodami trwania powstania.“

Po tej odpowiedzi ks. Gorczakowa — która miała także na celu zyskanie na czasie — nastała długa, nużąca przerwa, podczas której mocarstwa naradzały się co i jak przedsięwziąść dalej, a rząd rosyjski tłumił powstanie na Litwie i skupiał swe środki, aby mu koniec położyć w *Królestwie.*

Wreszcie 17 Czerwca noty francuska i angielska 18 austryacka, w odpowiedzi na depesze ks. Gorczakowa z 26 Kwietnia odeszły do Petersburga. Opierały się one na sześciu punktach, postawionych przez Austryę, a przez dwa inne gabinety, nieco zmienionych.

1. Amnestya zupełna i powszechna.

2. Reprezentacya narodowa, która bierze udział w prawodawstwie krajowem i skuteczne środki kontroli posiada.

3. Mianowanie Polaków na publiczne urzędy, w taki sposób aby powstała osobna, narodowa administracya, budząca zaufanie kraju.

4. Zupełna i całkowita wolność sumienia i zniesienie ograniczeń tyczących się pełnienia obrzędów katolickich.

5. Wyłączne używanie języka polskiego jako urzędowego w administracyi, sądownictwie i wychowaniu.

6. Zaprowadzenie regularnego i prawnego systemu rekrutacyjnego.

Napomykano w notach o zwołaniu konferencyi państw podpisanych na traktacie 1815 r., a lord J. Russell dodał życzenie, zawieszenia broni.

Sprawa zawieszenia broni już od Kwietnia się toczyła i była ze strony *Hotelu Lambert*, bardzo silnie popierana, albowiem widział w zawieszeniu broni, uznanie powstania za stronę wojującą i umożebnienie zaciągnięcia pożyczki za granicą. Nalegał też książę Czartoryski na gabinety zachodnie, aby obstawały za zawieszeniem broni, na *Rząd Narodowy*, aby na takowe przystał. Układy te toczyły się przed wysłaniem not mocarstw. Zawieszenie broni było także pomysłem angielskim, już w Maju dwom innym mocarstwom przedłożonym. Anglia przeświadczoną była, że Rosya nie zgodzi się na zawieszenie broni, lecz zarazem, że ta strona, która je odrzuci, potępioną zostanie przez całą Europę.

Ks. Czartoryski dowiedział się z ust cesarza Napoleona o angielskiej myśli zawieszenia broni; cesarz

poczytywał ją za niepraktyczną, ale za dobry środek wciągnięcia Anglii.

Wedle pomysłu angielskiego, Rosyanie mieli się cofnąć do fortec i większych miast, na czas zawieszenia broni.

Rząd Narodowy już pierwej upominał się w swoich odezwach o uznanie powstania za stronę wojującą.

Wobec tego *Hotel Lambert* wysuwał je na pierwszy plan, coby było ułatwiło wiele rzeczy, a zwłaszcza, jak rzekłem, pożyczkę zagraniczną, którą *Rząd Narodowy* chciał zaciągnąć. Jednocześnie ks. Czartoryski nalegał wciąż na *Rząd Narodowy*, aby w zasadzie zgodził się na zawieszenie broni, jako prowadzące do uznania powstania za stronę wojującą. *Rząd Narodowy* stawiał niby różne warunki, między innemi zwołanie podczas zawieszenia broni, w jednem z miast, sejmu całej Polski, któryby orzekł o jej losach. Ks. Czartoryski w depeszach do *Rządu Narodowego* starał się oględnie i grzecznie wykazać całą niedorzeczność tego warunku i obstawał przy tem, aby *Rząd Narodowy* zgodził się na zawieszenie broni, jako prowadzące do uznania za stronę wojująca. W końcu *Rząd Narodowy* pod groźbą, że odpowiedzialność wobec całej Europy spadnie na tę stronę, która odrzuci zawieszenie broni, przystał ewentualnie na nie.

Tymczasem w notach czerwcowych mocarstw, zaledwie wspomniano w angielskiej o zawieszeniu broni, a jeden tylko gabinet stokolmski ze swej strony wystąpił z tą myślą. Rosya takową wraz z wszystkiem innem odrzuciła i cała Europa nie potępiła jej, lub potępiła bezsilnie.

Sześć punktów było dla ogółu — po tak długiem oczekiwaniu — rozczarowaniem; dla nas mniejszem, gdyż rząd francuski poufnie zapewniał, że posłużą one jedynie za punkt wyjścia, że przyjęte w zasadzie przez Rosyę, znacznie rozszerzonemi zostaną na konferencyi, odrzucone, doprowadzą do dalszej akcyi trzech mocarstw.

Wogóle poczytywaliśmy całą interwencyę dyplomatyczną, przeważnie jako środek zerwania stosunków między Rosyą a mocarstwami, wciągnięcia Anglii i Austryi w zamierzone przez Francyę działanie i wywołania wojny.

Ks. Gorczakow dał 13 Lipca na noty czerwcowe mocarstw, jedną z najdumniejszych, najśmielszych, najzuchwalszych odpowiedzi, jaką w dziejach stosunków międzynarodowych znamy. Zdobył sobie nią niebywałą we własnym narodzie popularność, spotęgował jego do narodu polskiego nienawiść; zniweczył sprawę polską jako europejską, przeistoczył ją w oczach zdumionego świata w wewnętrzną rosyjską; i pierwszy zadał cios urokowi zewnętrznemu Napoleona III, oraz mniemanej nieomylności jego polityki.

Tu się pokazało, jak bezrozumnem było powstanie polskie ze względu na ówczesne stosunki europejskie; skoro pomimo szczerej chęci i woli najpotężniejszego wówczas władzcy przyjścia z pomocą, rzecz do tego stopnia była niemożliwą, nie leżącą w naturze, że wszystkie nawet pomyślne momenta, wskutek błędnego założenia, zamieniały się w zgubne dla sprawy polskiej.

Interwencya dyplomatyczna mocarstw, nietylko przedłużyła niosące ze sobą klęski i zniszczenie powstania, wciągnęła do niego całe zastępy rozsądnych obywateli, popchnęła *grono krakowskie* do popierania go, przedłużyła to popieranie; nie tylko przeszkodziła kompromisowi kraju z rządem rosyjskim za pośrednictwem W. ks. Konstantego i Wielopolskiego, ale obrażając miłość własną i dumę narodową Rosyi, rozjątrzyła i wywołała głęboką nienawiść społeczeństwa rosyjskiego przeciw polskiemu.

Takie są zawsze skutki słabości w wielkich sprawach; znoszą one abstencyę, ale nie połowiczne działanie; to ostatnie bowiem sieje zniszczenie zamiast plonu. Interwencya dyplomatyczna mocarstw, wywołując bezkarnie odpowiedź ks. Gorczakowa, położyła koniec sprawie polskiej jako europejskiej, zatem dopięła celu wprost przeciwnego zamiarowi. Ten jeden przecież skutek poczytaćby można za korzystny; dlatego, iż rozwiał zgubne dla polskiego narodu złudzenie, a uwalniając go od balastu nadziei szkodliwych, bo zawodnych, pozwolił mu swobodniej szukać środków bytu i pomyślności na mniej zwodniczych drogach — choć ciernistych dotąd.

Że interwencya mocarstw po wysłaniu not, ograniczy się na notach, tego mało kto wówczas przypuszczał i nie samo *grono krakowskie* pod tym względem pomyliło się. Podobno margrabia Wielopolski niezachwianym pozostał nawet wobec wysłanych not mocarstw w przekonaniu, że do czynnego ich wystąpienia nie przyjdzie. Świadczyłoby to znowu o jego nad współczesnymi wyższości.

Wielkiego rozumu i zdolności politycznych William White, który zakończył zaszczytny swój zawód jako ambasador W. Brytanii w Konstantynopolu, był wtenczas zastępcą konsula angielskiego w Warszawie. Szczerze przywiązany i prawdziwie życzliwy społeczeństwu polskiemu, ganił, nawet potępiał ruch ówczesny, a powstanie poczytywał za największe nieszczęście. Radził skupienie się około Wielopolskiego, głośno i odważnie za tem przemawiał, widząc w instytucyach stworzonych przez niego, jedyne wyjście, jedyną korzyść i bezpieczeństwo dla narodu polskiego. W chwili przecież wysłania not mocarstw, zachwiał się zupełnie w swem zdaniu, a spotkawszy się z Zygmuntem Wielopolskim, rzekł do niego: „No teraz przegraliście i nie po naszej stronie będzie słuszność.“ — „Jakto—odparł Zygmunt Wielopolski — myślisz, że interwencya dyplomatyczna zamieni się w skuteczną? Zobaczysz, że się na niej wszystko skończy.“ „Ba! ba! — odrzekł White — trzy mocarstwa nie posuwają się do takiego kroku na to, aby nic nie uzyskać i nie zrobić.“

To zdanie Whita, było zdaniem wszystkich z bardzo małemi wyjątkami. Przyszłość miała okazać, że i ono było mylnem i tylko jednem ogniwem błędnego koła.

Kto pamięta jednak owe czasy, kto uprzytomni sobie stanowisko, jakie Francya i Napoleon III zajmowali w stosunkach europejskich, jak z wysoka cesarz Francuzów przemawiał i przez szereg lat zawsze ze skutkiem, ten przyzna, iż można było liczyć jeszcze na to, że bezwzględna, szydercza odpowiedź ks. Gorczakowa, podrażni miłość własną francuską, a zaniepokoi jej

władzcę co do dalszego jego na sprawy świata wpływu i górującego stanowiska, słowem, że nie zostanie bez odpowiedzi, że odpowiedź pociągnie za sobą replikę i następstwa. W zaklętym kole nadziei niszczących się wzajemnie i bezskutecznych wyczekiwań, wyglądanie następstw odpowiedzi ks. Gorczakowa, znaczne zajęło miejsce.

Jednocześnie, ani rząd francuski, ani *Hotel Lambert* wcale do odwrotu nie dawali nam znaku; przeciwnie w wytrwaniu w raz obranym kierunku upatrywali, jedyny już teraz możliwy ratunek sprawy i kazali oczekiwać od czasu i zawikłań wyjścia, zapewniając, że cesarz Napoleon, pomimo pozornej bierności, nie spuszcza z oka sprawy polskiej.

Szliśmy zatem dalej drogą, na którą zostaliśmy wepchnięci, z tem przykrem uczuciem, iż rozserzamy rozmiary klęski każdego dnia, podczas, gdy dzień żaden nie przynosi spodziewanej pomocy i zbawienia.

Spisek 1860—1863 i powstanie 1863 r. były potwornemi bliźniętami, które urodziła społeczność polska. Poród tych bliźniąt, naraził życie matki. Dobijaliśmy ją wszyscy, chcąc ją ratować.

Jeden Wielopolski posiadał sekret recepty i kuracyi zbawczej. Chora odepchnęła wraz z lekarzem, receptę i kuracyę. Lekarz nie potrafił wzbudzić w niej zaufania do siebie, do recepty i kuracyi. Lekarz był znakomitym, recepta i kuracya uzdrawiającemi, ale metoda, zastosowanie, obchodzenie się były niezręcznemi, nie psychologicznemi, niewłaściwemi i położnica nie pozwoliła przeprowadzić kuracyi.

ROZDZIAŁ X.

Dymisye Rad powiatowych i gubernialnych. Dymisya arcybiskupa Felińskiego jako członka Rady Stanu. Nominacya jenerała Berga. Wypadki wewnętrzne. Sierakowski na Litwie. Rząd Narodowy. Meksyk. Wzięcie Puebli. Oddziały galicyjskie. Władze austryackie. Juljan Dunajewski. Wybuch na ulicy teatralnej i odezwa Dyrekcyi policyi. Zbrojne powstanie i warunki, w którem prowadzone było; przemienia się w zbrojną demonstracyę. Dowódzcy. Organizacya narodowa w Galicyi. *Ława* Komisarze *Rządu Narodowego*. Dwa komitety Galicyjskie. Stosunek ich do tajnego *Rządu Narodowego* warszawskiego. *Grono krakowskie* i *Biuro krakowskie*. Tajny *Rząd Narodowy*. Typy i wyobrażenia owoczesne. Wyroki i morderstwa. *Memoryał* z 15 Sierpnia 1863 r. *Memoryał* dla Papieża. Wyprawa Jordana. Cudzoziemcy.

Ten „straszny“ rok polski wlókł się przykro, nieraz wstrętnie, krwawo.

Ani jednego pięknego wspomnienia.

Podczas gdy interwencya dyplomatyczna bezsilna — którą mniemaliśmy ratować sprawę — szerzyła w kraju zniszczenie, ciągłe dla niej czyniliśmy ofiary, nietylko materyalne, ale co gorsza z naszych istotnych przekonań, ze zdrowych zapatrywań. Już powiedziałem

wyżej, jak w widokach tej interwencyi, poświęcona została w Marcu jedna z najdonioślejszych instytucyj Wielopolskiego, Rada Stanu.

W drugiej połowie Kwietnia, przyszło jeszcze jedną złożyć ofiarę na ołtarzu zawodnych nadziei. Rady powiatowe i gubernialne w *Królestwie Polskiem*, nie poszły za przykładem członków Rady Stanu, którzy w Marcu podali się do dymisyi. Około 17 Kwietnia otrzymałem z Paryża zarówno z *Hotelu Lambert*, jak od Walewskiego przez mojego ojca polecenie, aby nalegać na ich dymisyę. Donoszono mi, że to odpowiada życzeniom i widokom rządu francuskiego, że niepodobna jest, aby dłużej istniała krzyczą a sprzeczność między interwencyą mocarstw, upominającą się za krajem i świadczącą, że obecny system rządu rosyjskiego nie zapewnia trwałego w Polsce pokoju, a uznawaniem tego systemu i wspieraniem go poniekąd, przez obywatelstwo, pozostaniem tegoż w Radach powiatowych i gubernialnych. Chciano odjąć ks. Gorczakowowi, argumentu w odpowiedzi na noty mocarstw i państw. Wskutek tego polecenia, przyłożyłem rękę do tego wandalizmu, do tego dzieła zniszczenia, najmądrzejszych, najpiękniejszych instytucyj, które zapewniały byt narodowy *Królestwa Polskiego*.

Sposób w jaki zachęcałem do dymisyi Rad powiatowych i gubernialnych, da wyobrażenie o ówczesnych pojęciach i stosunkach, o argumentacyi, której najumiarkowańsi, najmniej skłonni do złudzeń, używali wtedy, o zaułku politycznym, w który wepchnięci zostaliśmy.

W *Czasie* z 18 Kwietnia pisałem:

„Niemałą przywiązujemy wagę do dymisyi Rad powiatowych i gubernialnych. Sprzyjając wszelkim instytucyom narodowym, jako niezbędnym podwalinom prawdziwej wolności, z wszystkich tak nazwanych reform, którym przewodniczył margrabia Wielopolski, uważaliśmy Rady powiatowe za najbardziej sposobne do przygotowania lepszej dla *Królestwa* przyszłości. Dla tego też dziennik nasz popierał zdanie, przyjmowania mandatów do tych Rad. Jednak i tu oczekiwania nasze zostały zawiedzione i raz jeszcze przekonaliśmy się, iż wszelkie instytucye, chociażby najlepiej obmyślane, zostać muszą martwą literą i służyć tylko za płaszczyk dla bezprawiów, wobec konsystującego w *Królestwie* wojska rosyjskiego i mieszającej się we wszystko władzy wojskowej. Pojmujemy też ten nowy krok polityczny obywateli *Królestwa*; sumienność nie pozwala im dłużej pozostać na miejscach, na które głos współziomków powołał ich. Wielka jest różnica między urzędem piastowanym na mocy nominacyi, a mandatem otrzymanym przez wybory i można pod jednym i tym samym rządem nie przyjąć jednego a podjąć się drugiego; lecz sumienie polityczne, a nawet własna godność nie pozwalają pozostać umocowanym bez możności wypełnienia, choćby w najskromniejszych rozmiarach mandatów. W chwili, w której przychodzi się do przekonania o tej niemożności, winno się złożyć mandat, gdyż z tą chwilą ustaje on. Aż za wiele sposobności miały Rady powiatowe, przekonać się o zupełnej bezskuteczności swojego istnienia, a szczególniej w trzech ważnych sprawach: uwłaszczenia włościan,

ogłoszenia słynnego do tychże okólnika, a nareszcie przy owym niesłychanym poborze, tak sprawiedliwie proskrypcyą nazwanym, a który stał się bezpośrednią przyczyną dzisiejszych wypadków. We wszystkich tych sprawach miały Rady powiatowe prawo podnieść głos i podniosły go też z umiarkowaniem i godnością. Nie usłuchano go i ztąd wynikła wojna. Prosta więc loika nakazywała Radom usunięcie się, a raczej o zbytnią cierpliwość jak o pośpiech oskarżaćby je można. W chwili, w której kraj cały chwycił za oręż i wypowiedział posłuszeństwo dawnemu rządowi, odsyłanie dymisyi, ze stanowisk zajmowanych pod jego panowaniem, jest dowodem uczciwości, taktu i roztropności. Tak więc rwie się w rękach margrabiego Wielopolskiego ostatnia nitka, którą myślał przywiązać kraj do swego urojonego systemu i niknie dla niego ostatnia nadzieja owej fantasmagorycznej autonomii, której chciał być i mistrzem i apostołem, a to dlatego, że margrabia zamiast brać ludzi i wypadki jak się przedstawiają, chciał i jednych i drugie, przykrajać do doktryn wyrozumowanych w długiej samotności i zgubnem odosobnieniu.“

Artykuł ten oparty był na wiadomości, jakoby Rady powiatowe już zaczęły przesyłać dymisye; istotnie w skutek zaleceń z Paryża, zachęcał do tego kroku.

I głos ten został niestety, tym razem wysłuchany, co świadczy, że w przedsięwzięciach bezrozumnych, tylko na drodze błędów i szkód danem jest działać skutecznie.

Urzędowy *Dziennik Powszechny* wychodzący w Warszawie, ogłosił uwolnienie X. arcybiskupa Felińskiego i Edwarda Stawiskiego „na własne ich żądanie“ od obo-

wiązków członków Rady Stanu. Arcybiskup Feliński przesyłając dymisyę, napisał jednocześnie list do cesasza Aleksandra, zaklinając go „w imieniu miłości chrześciańskiej i interesu obu krajów, aby zaprzestał wojny exterminacyjnej.“

W tym samym numerze urzędowego dziennika, z 14 Kwietnia umieszczona była nominacya jenerała Berga na pomocnika przy głównodowodzącym wojskami w *Królestwie Polskiem* W. Księciu Konstantym, oraz na pełniącego obowiązki namiestnika pod nieobecność W. księcia.

Wydział ustanowiony z ramienia *Rządu Narodowego*, zarządzający prowincyami Litwy w odezwie z 31 Marca, wezwał był wszystkich Litwinów do skupienia się około niego, jako jedynie prawej władzy dla całej Litwy i stawania w szeregach powstania, w celu wywalczenia narodowości i niepodległości. Narbut, rozpoczął był zbrojną walkę w Kwietniu. Po pierwszych zgubnych, ale dość słabych próbach, zdawało się, że powstanie na Litwie przycichło. Teraz ku niemałemu nieszczęściu tego kraju na nowo z wielką energią i bezwzględnością podniesionem ono zostało niebacznie, wbrew zdaniu rozsądnych i poważnych tamtejszych obywateli, przez Zygmunta Sierakowskiego, byłego oficera w wojsku rosyjskiem, który pod przybranem nazwiskiem Dołęgi wraz z Kuszłejką, Kołyszko, ks. Mackiewiczem, Maleckim, prowadził zbrojną walkę. Przez ostrożność nie wymieniano wtedy ani dowódzców powstania litewskiego, ani donoszono dokładnie o potyczkach na Litwie staczanych, dlatego szczegóły i data są niedokładne. Sierakowski urządził był w Kwietniu

między Genetyniami a Rogowem pomyślną na Rosyan zasadzkę. Następnie podążył ku Birżom, tam między 25 i 27 Kwietnia stoczone zostały nieszczęśliwe potyczki, a w jednej z nich Sierakowski ranny i uchwycony przez Rosyan, 2-go Maja odwieziony został do Wilna; gdzie za wyrokiem, podpisanym przez Murawiewa, powieszonym został 27 Czerwca. Oddział jego w walkach pod Birżami rozbity, podzielił się na mniejsze oddziały, które jeszcze przez jakiś czas prowadziły na Litwie partyzantkę.

„Sierakowski, pisze Struś, nie wierzył w udanie się powstania, bo znał siłę i potęgę państwa rosyjskiego.“ Należał on do sekciarzy, którzy mniemali, że dla zbawienia Polski, potrzebne są przeistoczenia i przewroty w społeczeństwie, z których nie zdawali sobie sprawy.

Wskutek podniesienia przez niego orężnej walki, koloniści-rozkolnicy na *Inflantach Polskich*, rzucili się na dwory szlacheckie i pańskie.

Dnia 8 Maja jeszcze mniej uzasadnionego, jeszcze bardziej pożałowania godnego powstania początki pojawiły się w *Prowincyach południowo-zachodnich.*

Tajny rząd czyli *Komitet centralny* warszawski, występujący dotąd jako *Tymczasowy Rząd Narodowy* wydał 10 Maja dekret, którym ogłosił się *Rządem Narodowym*, a 13-go tegoż miesiąca obwieścił, iż termin amnestyi przeszedł bezskutecznie.

Nasze grono równie jak wielu, którzy tylko wskutek obcej pomocy przypuszczali powodzenie przedsięwzięcia, miało jak wiemy głównie oczy zwrócone na Francyę, a przedewszystkiem na Napoleona III. Napole-

onizm, że się tak wyrażę, stał się był w Polsce i w polskich wypadkach wszechwładnym. Ztąd wielkie zajęcie wyprawą meksykańską, która paraliżowała znacznie wojskowe siły Francyi, co w naszem mniemaniu miały być nad Wisłę przerzucone. Pomijając inne względy pierwszorzędne, było to znowu dowodem, jak—co najmniej—nie w porę wybuchło było i bez obrachowania to nowe powstanie polskie tak samo jak inne poprzednie. Trudności zatem, jakie wyprawa francuska napotykała w Meksyku, bardzo nas niepokoiły i istotnym, nad miarę rzeczywistości, napawały smutkiem. Pojawiały się w dziennikach naprzemian wiadomości o niepowodzeniach i zwycięstwach, to znowu o odwołaniu wojsk francuskich z Meksyku, a wszystkie łączyliśmy z wypadkami w Polsce, odnosiliśmy do nich odczuwaliśmy żywo, a w wieści o odwołaniu wyprawy upatrywaliśmy już wprost zamiar przerzucenia armii francuskiej do Polski. Gdy 17 Maja kapitulowała Puebla, w naszem zaślepieniu, a także przymusowem teraz rozgorączkowaniu, widzieliśmy w tym powodzeniu oręża francuskiego, jakby polskie zwycięstwo, a o usposobieniu ówczesnem da wyobrażenie to, co w *Czasie* z tego powodu pisałem:

„Puebla więc wzięta. Niezawodnie ważniejszej nie mogliśmy w tej chwili odebrać wiadomości, w każdym razie pomyślniejszej dla Napoleona III i jego dynastyi. Nie dlatego wypadek ten jest tak wielkiej wagi, iż jest nowem zwycięztwem nawykłych do laurów wojsk francuskich, lub że usuwa nie mały dla rządu francuskiego kłopot, lecz dlatego, że znowu rozwiązuje ręce w kwestyach europejskich temu, który stał się na tronie przedstawicielem wielkich idei i to w chwili, kiedy podnie-

sione jest najpierwsze, największe, najwznioślejsze dla cywilizowanej Europy zadanie. Wzięcie Puebli w tej chwili, to wskazanie przez Opatrzność drogi, którą Napoleon III dojść może do nieśmiertelnej chwały, a dynastyi zapewnić panowanie nad wolną Francyą. Dziś z wzięciem Puebli — szczególniéj, jeżeli jakto kapitulacya Ortegi wnosić pozwala, zawarty zostanie pokój— ustaje prawdziwa przeszkoda, lub też pozór wstrzymujący od śmiałego w kwestyi polskiej działania. Dziś już nie mógłby cesarz Napoleon — gdyby opuścił sprawę polską, lub chciał ją tylko połowicznie załatwić — znaleść wytłumaczenie ani przed własnem sumieniem, ani przed Francyą, ani przed Polską, ani przed liberalną Europą. Dziś opuszczenie sprawy polskiej, byłoby albo zdradą albo słabością. Wątpić więc nie można, iż Napoleon III dzielnie i skutecznie ją poprze, że nie wiążąc z nią żadnej innej kwestyi, uspokoi obawy Anglii, a przybierając w niej śmiałą postawę, jedynie godną wielkiego narodu, zdecyduje postępowanie Austryi. Tak połączone ze sobą trzy mocarstwa reprezentujące głównie cywilizacyę dziewiętnastego wieku, oddadzą jej największą, bo niezbędną przysługę. Z drugiej bowiem strony, Anglia i Austrya nie powinny zapominać, iż wzięcie Puebli, przywraca swobodę ruchów Napoleonowi III, a więc daje mu możność rzucenia się w tę lub ową stronę i może dziś jedynie od jego woli czyni zawisłem odbudowanie Polski, zostawiając mu wolny wybór środków.“

Wchodziły do *Królestwa Polskiego* i wychodziły zeń uzbrojone w Galicyi oddziały; wychodziły rozbite przez wojsko rosyjskie, lub przez własny nieunikniony

ład i rozprzężenie, aby znowu się w Galicyi formować, a to nieraz przy niemal zupełnej niemocy czy też pobłażaniu władz austryackich.

Wydaną została piękna odezwa senatu akademickiego krakowskiego, powstrzymująca młodzież od udawania się do powstania; nacechowana była szczerym, ale mądrym patryotyzmem.

Późniejszy minister skarbu austryackiego Julian Dunajewski, który wówczas był profesorem Uniwersytetu Jagielońskiego, należał do tych bardzo wyjątkowych ludzi, którzy wtedy zupełnie jasno i trzeźwo patrzyli się na wypadki i odgadli przyszłość. Ani na chwilę nie zachwiał się w swojem zdaniu o zgubności powstania i nigdy nie uwierzył w pomoc zagraniczną ani przypuścił, aby ona wydobyła naród z toni, w którą wtrącił go spisek; a że należał do rzadkich w Polsce ludzi, którzy głośno i jawnie potępiają to, co za szkodliwe poczytują, nie krył się ze swojem przekonaniem i odpowiednio zachowywał się.

Uczony profesor, a przyszły mąż stanu, napominał razu jednego ucznia Uniwersytetu w tym duchu. Ten odparł, że nawet rząd austryacki pozwala na jawny werbunek do oddziałów.

Spotkawszy się w parę dni potem z naczelnikiem komisyi namiestniczej w Krakowie Augustem Merklem, z pewną żywością rzekł do niego Dunajewski, iż podczas gdy on imieniem rządu wzywa ciągle senat, aby odwodził młodzież od brania udziału w powstaniu, po[d] okiem władz, odbywa się w Krakowie werbunek d[o] oddziałów, co jest niepojętą sprzecznością i nie mo[ż]- wzmocnić wpływu profesorów chcących młodzież p[...]

wstrzymać. Merkel zmięszał się nieco i dodał: „Bo rząd raz już przecie powinienby powiedzieć jasno, czego sobie życzy.“

Wprawdzie 6 Kwietnia, namiestnik hr. Mensdorf, tajny wydał był okólnik do władz, zalecający usilnie zatrzymywanie osób idących do powstania, a rewizye i aresztowania odbywały się dość często. Naczelnik Merkel w Krakowie, znosił się z policyjnymi ajentami rosyjskimi, a ci tajemnie przebywali w Krakowie. Ale z biegiem akcyi dyplomatycznej i instrukcye i postępowanie władz zdawało się ulegać zmianom, mniemać można było, że z Wiednia, hamowano nieraz namiestnika. Przytrzymywano, ale i wypuszczano podejrzanych i powstańców, a sądy zbyt srogiemi, w rzadkich wypadkach stawienia przed niemi oskarżonych, nie okazywały się. Między innymi jenerał Kruszewski, Leon Chrzanowski, Władysław Bentkowski, wypuszczeni zostali na wolność, ostatni znowu uwięziony, podobno na żądanie władz pruskich. Jenerał Kruszewski, który aresztowany był 6 Kwietnia, oskarżony został o popieranie powstania, a między dowodami przytoczono i ten, że użył swojego wpływu, aby od wszelkiego działania odsunąć Mierosławskiego.

Największe wrażenie wywołało aresztowanie księcia Adama Sapiehy. Dnia 9 Lipca po czterogodzinnej rewizyi odbytej w jego pałacu we Lwowie, zawieziono go do więzienia. Wiadomość o rewizyi rozeszła się po mieście; przez czas jej trwania od 3 do 7 po południu tłumy zapełniały ulicę przed pałacem, czekając na skutek. Poświęceniu dostojnej matki książę po dłuższem więzieniu zawdzięczył wolność i udał się zagranicę

Dnia 26 Lipca aresztowano we Lwowie Stefana Zamoyskiego, bliskiego krewnego księcia. Floryan Ziemiałkowski, wówczas członek Wydziału krajowego, aresztowany został 27 Lipca. Z powodu tych aresztowań Adam Potocki i hr. Kińsky wnieśli w Radzie Państwa interpelacye.

Postępowanie władz austryackich w Galicyi przez bieg wypadków zmieniało się jak kameleon, pełne odcieni, które chwiejność wywoływała; przecież w naszych oczał przeważał i najczęściej powracał powabny kolor nadziei, że rząd w Wiedniu zużytkuje w kierunku polskim wypadki w *Królestwie*.

W drugiej połowie Czerwca dzienniki mówiły o zamiarze rządu austryackiego, założenia pod Krakowem wielkiego obozu. Adam Potocki uprosił Kazimierza Starzeńskiego i majora Pawlikowskiego, zachowujących ścisłe stosunki z kołami wojskowemi, aby dowiedzieli się; czy zamierzone są przygotowania wojenne. Po sumiennem zbadaniu, obaj oświadczyli, iż najmniejszych oznak zbrojenia się niema. Zażądano od nich, aby zamilczeli o tem dlatego, żeby nie psuć ducha.

Dnia 7 Sierpnia o godzinie trzy kwandranse na piątą po południu, dał się nagle słyszeć w Krakowie straszny huk i kłęby dymu wzbiły się w górę. Był to wybuch prochu przy ulicy Teatralnej z domu Kronesówrej. W domu tym znajdowała się na pierwszem piętrze pewna ilość prochu, przeznaczonego na ładunki dla powstania; podczas wyrabiania ładunków przez panny Janowskie, wskutek nieostrożności zapalił się proch. Znaleziono w gruzach domu pogorzałego, ciała kilku osób. Ofiarami były dwie panny Janowskie,

siostry artysty dramatycznego, z których jedna na miejscu żyć przestała, druga ciężko ranna i popalona—później umarła — dalej szesnastoletnia córka jubilera Wiatrowicza, młody człowiek z warsztatu jubilerskiego; wreszcie wydobyto z pod gruzów ciało jakiegoś mężczyzny, którego rozpoznać nie można było; ranionem zostało dwuletnie dziecko artysty dramatycznego, Karola Królikowskiego.

Po tym strasznym wypadku, czytaliśmy na drugi dzień następujące obwieszczenie Dyrekcyi policyi z datą 7 Sierpnią 1863 r., rozlepione po rogach ulic:

„Wybuch prochu w środku miasta zamienił dom jeden w gruzy i kilka osób życia pozbawił. Smutny ten wypadek dowodzi, z jaką karygodną lekkomyślnością, niektóre osoby obchodzą się z prochem strzelniczym, i mienie a nawet życie swoich współobywateli na szwank narażają. Ponieważ jednak takim karygodnym postępkom nie zapobieży najściślejsza baczność władzy bezpieczeństwa, jeżeli nie znajdzie poparcia od mieszkańców: przeto Dyrekcya policyi wzywa obywateli i właścicieli domów w własnym ich interesie, ażeby na swoich współmieszkańców wpływali, iżby ci domów ich nie nadużywali na składy zapasów prochu, z którym nieprzezorne i lekkomyślne obchodzenie się, wielkie nieszczęście sprowadzić może na miasto, zaledwo powstałe z gruzów, jakiemi je zasłał pożar w 1850 r.“

Oczywiście, iż zaraz zauważono i podniesiono, że władza nie zabrania przygotowywania ładunków, lecz tylko zaleca, aby nie lekkomyślnie lecz przezornie obchodzono się z prochem.

Była dwuznaczność ciągła w zachowaniu się dyplomatycznem gabinetu wiedeńskiego i w postępowaniu władz austryackich w Galicyi, tłómaczyliśmy ją sobie na naszą korzyść, a co gorsza pozwalała ona praktycznie przedłużać powstanie.

Nigdy może wojna nawet partyzancka nie była przedsięwziętą już nie w gorszych, ale w bardziej szalonych warunkach; wśród nich, powstanie zbrojne było przedsięwzięciem bezowocnem, bezcelowem, bez nazwy; niestety interwencya dyplomatyczna i połączone z nią widoki, nadawały mu wrzekomą racyę bytu i miano— zbrojnej demonstracyi.

Zwycięstw stanowczych, wyparcia wojsk rosyjskich, zawarcia pokoju między rządem rosyjskim a *Rządem Narodowym* i powstaniem, nikt rozsądny, a nawet nierozsądny, oczekiwać nie mógł; pozostało zatem trwanie, wrzekomo potrzebne dla działania zagranicy i wywołania wojny lub układów międzynarodowych. Była w tem myśl, która okazała się mylną, lecz była myśl, oparta o pewne zaszłe już fakta, podczas gdy tą myślą ani się mogli powodować, ani powodowali się ci, co przygotowali i zrobili powstanie, które tem samem nazwać należy bezmyślnem.

Zadanie demonstracyi zbrojnej, do końca, powstanie spełniło. Dziwić się lub gorszyć w danych warunkach, częstem rozbijaniem oddziałów i częstem przekraczaniem przez nie granicy austryackiej lub pruskiej nie podobna; raczej można być zdumionym, iż tak długo i w tej liczbie uwijały się wobec przeważnej siły zbrojnej rosyjskiej i staczały potyczki z wojskiem rosyjskiem. Materyał ludzki oddziałów, prócz dowódzców,

oficerów i żołnierzy z armii rosyjskich, austryackich i pruskich, był przeważnie lichym, zbieranina niewyćwiczona, naprędce sformowana. Dowódzcy wiedzieli, o co się biją, a nie było między nimi żadnego znakomitego i wyższego człowieka, tak samo jak w całym ruchu od 1860—1864. Wiedzieli także o co się biją, ci, co bez względu na stopień, szli z wiarą w powodzenie przedsięwzięcia lub z obowiązku patryotycznego; ale szeregowcy zwerbowani przez komitety i ich ajentów, po największej części szli bezmyślnie, dla żołdu. Podczas pierwszych potyczek pod Miechowem i gdzieindziej, szła młodzież gimnazyalna, uniwersytecka, a rzemieślnicza także z zapałem w ogień. W późniejszych po upadku dyktatury chwilach, zapału w oddziałach było coraz mniej, a skład ich przeważny musiał dostarczać żywiołów do tego, co wedle terminologii ówczesnej nazywano—uciekinierstwem. Dowódzcy przecież składali dowody wytrwałości. Staczali wciąż potyczki raz nieszczęśliwe, to znowu zdumiewająco pomyślne, nigdy oczywiście stanowczych. Jeziorański, Czachowski, Lelewel (Borelowski), Taczanowski, Ćwiek (Cieszkowski), Boncza, Miniewski, Kruk pod własnemi lub przybranemi nazwiskami, robili co tylko możebnem było w tak sprzecznych z wymaganiami i potrzebami wojny, warunkach. A przy nich lub w szeregach, znajdowali się do końca ludzie poświęcenia, którym w ostatnich czasach samym już przyszło stwierdzać stałość, bo wogóle zapał był ostygł, a wiara w powodzenie znikła. Oficerowie rosyjscy, z którymi miałem sposobność później rozmawiać, mówili mi, że wogóle odwagi, nie brakło powstaniu, lecz że odwaga i dzielność ni-

weczone były w zarodzie i ubezwładnione niedostatecznem uzbrojeniem, brakiem amunicyi, żywności i wszelkiego rodzaju potrzebnych zasobów, brakiem organizacyi, należytego i doświadczonego dowództwa, nareszcie terenem nie nadającym się do wojny partyzanckiej, słowem, brakiem zupełnem pierwszych, niezbędnych czynników i środków wojny nawet partyzanckiej. Dodajmy do tego wzgląd w takich zwłaszcza wojnach bardzo ważny, iż przedsięwziętą została w kraju, w którym już nietylko na zapał i współudział przeważnej części ludności wiejskiej, to jest chłopów, liczyć nie można było, ale co najwięcej na jej bierność i obojętność. Parę tysięcy chłopów z dóbr tak zwanych królewskich i z fabrycznych okolic, którzy uzbrojeni w kosy, przystąpili w Styczniu do powstania, było wyjątkiem, w pierwszej chwili łudzącym. Dekret *Komitetu centralnego* ogłaszający uwłaszczenie włościan, na czem spisek niezmiernie wiele budował, chybił najzupełniej celu.

Bez widoków obcej pomocy, powstanie nie mogło mieć trwałości nad. parę miesięcy, a i to tylko wskutek niepojętej, bezradności wojskowych władz rosyjskich. Jeden z głównych twórców powstania, Zygmunt Padlewski, były oficer rosyjski, już w Marcu chciał opuścić powstanie i wyjechać zagranicę. Z tego powodu, wzmiankowany wyżej Bobrowski pisał do niego, odwodząc go od tego zamiaru: „Pokrzepiwszy się w ten sposób, potężni naszą przyjaźnią i wiarą w sprawę naszą (która koniec końców ostatecznie zwycięży), pomimo głupoty ludzkiej itd. itd.“

Gdzie był rozum, gdzie zastanowienie, gdzie ra-

chuba, jaki cel w przygotowaniu i rozpoczęciu podobnej walki z temi danemi i w tych warunkach!? Tu już nie sumienie, ale prosty rozsądek oburza się.

Organizacya narodowa w Galicyi jawno-tajna, do której przystąpiło w ciągu wypadków *grono krakowskie*, miała za zadanie popierać i karmić polską demonstracyę zbrojną w Królestwie. Dzieliła się ona na dwa komitety, jeden dla wschodniej Galicyi, zasiadający we Lwowie, drugi dla zachodniej z siedzibą w Krakowie i miała odpowiednie w kraju organa. Głównem jej zadaniem było uzbrajanie i wyprawianie oddziałów, oraz zbieranie w tym celu funduszów, czyli ściąganie tak zwanego podatku narodowego.

Organizacya ta powstała wskutek znanego już rozwoju wypadków i pod wpływem przekonania, że trwanie powstania potrzebnem jest dla pozyskania obcej pomocy, której prologiem miała być interwencya dyplomatyczna.

W Krakowie rzecz w następujący ukształtowała się sposób, przechodząc przez różne zmiany i przemiany.

Kiedy zjechaliśmy się z Ludwikiem Wodzickim i Stanisławem Tarnowskim w Lutym, dowiedzieliśmy się, że jest jakaś tajna organizacya, zawiązana już dawniej, a zostająca w związku, prawdopodobnie pod rozkazami, tajnego *Komitetu centralnego* warszawskiego. Organizacya ta, którą nazywano *Ławą*, powstała była w 1862 r. Wtedy stanęła w Krakowie tajna *Rada naczelna galicyjska*, a ona stworzyła w miastach *Ławy*; była zatem i krakowska *Ława*. W *Radzie naczelnej* zasiadali: Demidowicz, Mułkowski Stefan, Alfred Szczepański, Tadeusz Wojciechowski, Dr. Ludwik Kubala,

z którym w pierwszej chwili Wodzicki i ja zetknęliśmy się, w celu powstrzymania — wówczas niczem w naszych oczach nienzasadnionego — poparcia powstania i wysyłania do niego młodzieży. Członkowie *Rady* należeli nieraz do *Ławy*. Alfred Szczepański był setnikiem w *Ławie* krakowskiej.

Wojciechowski jeszcze w 1861 r. udał się był do Adama Potockiego i złożył mu memoryał, w którym wskazywał, iż wre między młodzieżą, i że trzeba żeby starsi zapanowali nad przygotowującem się ruchem; wtedy bowiem w Krakowie przynajmniej, było uszanowanie powag. Potocki kilkoma słowy zbył Wojciechowskiego, sądząc zapewne słusznie, że między młodzieżą powinno wrzeć dla nauki, nie dla polityki, i że za pomocą jej ruchu, nic nie da się użytecznego osiągnąć, a nie małe wywołać można niebezpieczeństwa. Usiłowania przewódzców młodzieży, ponowiły się jeszcze kilkakrotnie w tym samym kierunku bezskutecznie; przestała się oglądać na tak zwane powagi krajowe.

Pod wpływem atmosfery, zawiązała samodzielnie organizacyę z dążnością porozumienia się ze spiskiem warszawskim. Pierwszy przybył z Warszawy jeszcze w 1861 r. Adam Asnyk, ale tylko dla luźnej między młodzieżą, patryotycznej propagandy; mówił przecież: „już przestajemy śpiewać." Kiedy powstała w Krakowie *Rada naczelna galicyjska*, wysłał tam *Komitet centralny* warszawski Bronisława Szwarce i stanęła ugoda na następującej podstawie:

Cztery dzielnice polskie — emigracya uważaną była jako czwarta — organizować się mają, każda zupełnie samodzielnie. Organizacya nie ma na celu bez-

pośredniego powstania zbrojnego, lecz budzenie ducha i zszeregowanie sił, nawet siły zbrojnej. Żadnej z czterech dzielnic nie wolno na swoją rękę powstania rozpoczynać; powstanie jest bezwarunkowo nieprzypuszczalnem, jeżeli wszystkie cztery dzielnice nie uchwalą go i to zawsze zlokalizowanego jedynie w rosyjskiej dzielnicy.

Stosunki *Rady naczelnej galicyjskiej* z Mierosławskim były przyjazne. Alfred Szczepański uchodził za jego ajenta. Mierosławski przysłał był do niego pod koniec 1861 r. Czarneckiego ze Lwowa, zwanego hetmanem, z kufrem pełnym proklamacyi i z planem organizacyi dla Galicyi, z poleceniem udzielenia go *Królestwu Polskiemu*. Szczepański przyjął przesyłkę, lecz spalił ją, chcąc aby organizacya powstała samoistnie w Galicyi bez udziału Mierosławskiego i o tem zawiadomił *Komitet* warszawski, zaznaczając, że usiłowania Mierosławskiego spełzły na niczem. Że ten jednak wydał był dekret mianujący organizatorem Szczepańskiego i że Szczepański był go przyjął wraz z kufrem, mniemał wciąż Mierosławski, że organizacya w Galicyi na jego rzecz zaprowadzoną została.

Wszystkie *Ławy* nie wyjmując lwowskiej miały być *de jure* podporządkowane *Radzie naczelnej galicyjskiej* mającej siedzibę w Krakowie; *de facto* każda działała na swoją rękę, zwłaszcza lwowska, w której zasiadał słynny redaktor *Gazety Narodowej*, Jan Dobrzański, nie lubiący się poddawać nikomu, a szczególniej Krakowowi.

Na początku Stycznia 1863 r. *Rada* dostała od *Komitetu* warszawskiego zapewnienie, że powstania nie

będzie. Gdy wybuchło, gdy go *Komitet centralny* ogłosił, *Rada* związana przysięgą, natychmiast do niego przystąpiła, chociaż główny warunek ugody dotrzymanym nie został. Upoważniła zaraz Lipczyńskiego brata posła do wyprowadzenia pierwszych ochotników i oddania ich pod komendę dowódzców w *Królestwie Polskiem*. Lecz on sprawił sobie pieczęć jako naczelny dowódzca, którą mu Szczepański odebrał, a oddział przeszedł pod komendę Kurowskiego w Ojcowie.

O *Radzie naczelnej galicyjskiej* my nic lub mało wiedzieliśmy; znaliśmy ową spiskową organizacyę galicyjską pod nazwą *Ławy*. *Ława* poczytywana była przez starszych i poważnych ludzi za niebezpieczny, szkodliwy czynnik, lecz wielkiej jej ważności nie przypisywano. Przypuszczaliśmy wprawdzie, że musiała mieć jakiś związek z mniejszemi miastami i prowincyą, ale jej wpływ i środki były nader słabemi i ograniczonemi, bez podstawy i szerszego zakresu. Mówiliśmy sobie, że jak całemu ówczesnemu spiskowi w Polsce, dała jej zapewne w części początek demagoniczna emigracya paryska, może Mierosławski, przygotowujący przyszłych dowódzców powstania w szkole wojskowej w Genui, następnie do Cuneo przeniesionej; chociaż teraz *Ława* wypierała się Mierosławskiego. Organizacya ta pozostawała już istotnie w bezpośrednim związku z *Komitetem centralnym* warszawskim.

Po pamiętnym telegramie cyfrowanym *Hotelu Lambert* z 16 Lutego, wobec poruszenia sprawy polskiej wskutek konwencyi prusko-rosyjskiej, a następnie misyi ks. Metternicha, owi poważni i starsi ludzie, przewidując z jednej strony, że nastanie konieczność popie-

rania powstania; z drugiej, iż niepodobna powierzyć tego zadania *Ławie*, bez niebezpieczeństwa dla tej polskiej dzielnicy, a zarazem bez narażenia sobie tego z mocarstw, które musiało być głównym czynnikiem w interwencyi za sprawą polską, poddać Galicyi pod władzę tajnego *Komitetu centralnego* warszawskiego, ludzie ci mówię, ściślej połączyli się ze sobą, osiedlili się w Krakowie i czynniej działać poczęli.

Najprzód zajęli się zbieraniem znaczniejszych funduszów, następnie, gdy zalecenie *trwania* z coraz większym z Paryża naciskiem przesłane zostało, sprowadzaniem karabinów.

Organizacyą spiskową nie związali się, zebrali się na ochotnika i z dobrej woli, na mocy zaufania jakie mieli i byli słuchani. Byli to na początku Józef baron Baum, były oficer austryacki i obywatel ziemski, później wice-prezes *Koła Polskiego* w Wiedniu, Atanazy Benoe, pod koniec życia Prezes *Koła Polskiego* w Wiedniu, Cezar Haller, ludzie już znani w kraju, poważni i poważani; przyłączył się do nich Karol Rogawski, którego pomimo, iż należał do innego odcienia, przyjęli dlatego, że miał pewien wpływ na ruchliwsze żywioły, pewną popularność i sławę wielkiego niby patryoty jeszcze od 1846 r., w którym to czasie był sekretarzem jednodniowego dyktatora Krakowskiego Tysowskiego; mówiono sobie — jak to zbyt często zdarza się w Polsce — przyjęty szkodzić nie może, nie przyjęty, mógłby bruździć.

Nasze ściślejsze *grono krakowskie*, w początkach nie współdziałało w tych przygotowaniach; ograniczyło się i to dopiero po odebraniu wzmiankowanego tele-

gramu cyfrowanego, do zasilania *Hotelu Lambert*, a przez niego rządu francuskiego i dzienników europejskich wiadomościami z kraju i o powstaniu, oraz do udzielania wyżej wymienionym osobom, w potrzebie *białym* w Warszawie, doniesień z Paryża. *Grono krakowskie* było bowiem jedynym związkiem między krajem, zwłaszcza Galicyą, a istotnie znaczącemi w Paryżu i zagranicą czynnikami. Znoszenie się wprost *Hotelu Lambert* i rządu francuskiego z Warszawą było utrudnione.

Ludwik Wodzicki, Stanisław Tarnowski i ja spełnialiśmy głównie tę służbę, a brali w niej udział, pozostający z nami w najbliższych stosunkach bracia Tarnowskiego, August Gorayski, Władysław Jabłonowski i inni.

Przed cyfrowanym telegramem z 16 Lutego zajmowaliśmy stanowisko odporne wobec powstania; po telegramie jeszcze nie zaraz przystąpiliśmy do działania, chociaż już nie kryliśmy, że *Hotel Lambert* uznaje potrzebę trwania powstania. Oczekiwaliśmy stanowczych z Paryża poleceń.

Hasłem dla naszego ściślejszego grona do wystąpienia stanowczego, miało być przybycie do Krakowa pułkownika Zygmunta Jordana, który jak wiadomo, czekał w Wiedniu na wiadomości z Paryża.

Znany jest z powyższego opowiadania rozwój wypadków; doniosła misya ks. Metternicha, przebieg zapowiedzianego, a przez nasze grono wyłącznie oczekiwanego działania mocarstw oraz interwencyi dyplomatycznej. Pod wpływem tego przebiegu, który czynił zbytecznemi specyalne instrukcye, przybył Jordan do Krakowa po upadku dyktatury Langiewicza, przybył

z zamiarem formowania oddziału; otoczyć go miało nasze ściślejsze grono i zaraz zajęto się utworzeniem oddziału. Że jednak zostawaliśmy w styczności z powyżej wymienionem kołem poważnych obywateli, Jordan przyjechawszy zgłosił się zaraz do Bauma; z początku przyjętym został chłodno — może dlatego, że stanowisko *Hotelu Lambert* nie było jeszcze całkiem wyjaśnione — wnet jednak najprzyjaźniejsze między obydwoma zawiązały się stosunki.

Przed tem wzmiankowane koło poważnych obywateli, rozdzieliło było między sobą czynności. Baum jako były wojskowy, trudnił się sprawami wojskowemi, ludźmi, bronią, amunicyą, mundurami, Benoe stosunkami wewnętrznemi kraju i korespondencyą z powiatami, Tarnowski z Chorzelowa szwagier Stanisława, organizacyą oddziałów na prowincyi, Karol Rogawski był bez teki. Wreszcie był sekretarz. Tak powstał komitet zachodni. Jeden z najznakomitszych ludzi w kraju Mikołaj Zyblikiewicz, będąc czynnym w życiu parlamentarnem i bardzo już na widoku był ciągle przy komitecie, oceniał położenie tak jak on, ale nie był jego członkiem.

W każdym dawnym obwodzie był jeden obywatel wezwany do pomocy, czasem było ich kilku; do nich komitet krakowski pisywał, a oni mieli znowu swoich zaufnych po różnych miejscach, przez których działali. Ten rodzaj organizacyi powstał sam z siebie, opierał się na zaufaniu i dobrej woli. Nie było spiskowych przysiąg, nawet przyrzeczeń, żadnej hierarhii.

Przecież ta organizacya jawno-tajna, przez cały czas wypadków funkcyonowała dobrze, szybko i karnie.

Miasta miały także swoich zaufanych do zbierania składek i funkcyonaryszów, których — na wzór Warszawy — nazywano Naczelnikami miast. W Krakowie był naczelnikiem Aleksandrowicz, aptekarz, a po nim Alfred Szczepański.

Podobna organizacya, powstała dla wschodniej Galicyi we Lwowie, a do wschodniego komitetu należeli początkowo ks. Adam Sapieha, Floryan Ziemiałkowski, Aleksander Dzieduszycki i do chwili wyżej wskazanej Franciszek Smolka.

Po wystąpieniu Smolki, wszedł do komitetu Antoni hr. Golejewski, a następnie Artur hr. Gołuchowski. Komisarze Rządu Narodowego często się tu zmieniali, pierwszym był Jacek Siemieński; w połowie zaś Maja Jan Majkowski; następnie Stanisław Jarmund i Izydor Kopernicki. W skutku późniejszych aresztowań członków komitetu, wchodzili do niego kolejno Karol Hubicki, Zenon Słonecki, Alfred Młocki, Piotr Gros, Zygmunt Rodakowski. Oczywiście że mniej dokładnie pamiętam skład i zmiany komitetu lwowskiego niż krakowskiego.

Formacya oddziału Jordana przygotowywała się w Krakowie już wśród pełni interwencyi dyplomatycznej i kiedy koła poważnych ludzi krakowskich i lwowskich, równie jak nasze ściślejsze grono, uznawały w skutek zaleceń i wiadomości z Paryża, konieczność popierania i łączenia się z powstaniem.

Jordan po naradach z Baumem i pod wpływem rad Stanisława Platera, który był ajentem *Biura Hotelu Lambert* i teraz wciąż między Warszawą i Krakowem pośredniczył, nabrał przekonaniem, że nie może

postawić oddziału na własną rękę, że ten oddział musi być w związku z całem działaniem, być uznanym i upoważnionym przez jedyną choć tajną władzę powstańczą istniejącą w Warszawie. Zresztą już ks. Wł. Czartoryski i *Hotel Lambert* weszli byli w stosunki z tajnym *Komitetem centralnym* tymczasowym *Rządem Narodowym*, przeistoczonym niebawem w *Rząd Narodowy*.

Jordan zatem nie bez wstrętu postanowił zgłosić się z zamiarem postawienia oddziału do *Rządu Narodowego*. Dostał upoważnienie i tajną nominacyę, opatrzoną nieodzowną pieczątką, na jawnego jenerała. Takie to były konieczności i sprzeczności owych czasów, wynik nieunikniony zamąconych pojęć politycznych społeczeństwa całego.

Organizacya oddziału Jordana, acz się nią zajmowali usilnie, szła powoli; być może, iż w części pod wpływem przekonania, że jeszcze nie nadeszła stanowcza chwila, w której z pożytkiem rzucićby można siły i zasoby na szalę. Jordan dostał nieco pieniędzy z Paryża, nieco od naszego ściślejszego grona, resztę od krakowskiego komitetu. Sprowadzenie broni i ubraniem ludzi, trudnił się głównie Baum, a przy nim wezwany do pomocy Stanisław Tarnowski. Jordan i Baum uznali go za tak zdolnego, iż wciąż się nim posługiwali, a gdy Jordan miał przekroczyć granicę, poczytał pozostawienie go w Krakowie za tak potrzebne, że nie chciał go ze sobą wziąść, polecając mu czuwanie nad potrzebami oddziału; obiecał, że go do oddziału zawezwie, jak się w głąb kraju zapuści.

Zrazu między komitetem krakowskim a *Rządem Narodowym* warszawskim panowała nieufność wzą-

jemna, żeby nie powiedzieć nieprzyjaźń. Drugi uważał ludzi z *Ławy* za swoich, ludzi z komitetu za intruzów, co najmniej za złe konieczne, bez którego nie mógł przecież się obejść, bo nie mógł dostać ludzi ani pieniędzy z tej dzielnicy.

Byli zresztą od początku tacy, co jak wszędzie, ale zwłaszcza w Polsce, na dwóch siedzą stołkach; ci bali się *Ławy*, a nie chcieli narażać sobie poważnych ludzi i próbowali przez pierwszą i drugich dojść do znaczenia.

Komisarze *Komitetu centralnego* stwierdzili zaraz na wstępie, że organizacya *Ław* nie obejmuje szlachty, że tem samem znaczniejszych funduszów, ani pomocy nie przysporzy; zachowując z nią związki duchowego pokrewieństwa i sympatyi, nie mogli przecież zataić przed sobą konieczności, poświęcenia jej choćby chwilowego, dla pozyskania poparcia szlachty. To też w porozumieniu z komisarzami *Rada naczelna galicyjska* stanęła na boku, oddając na usługi komisarzom swoją organizacyę. Wobec powstania komitetów narodowych i obywatelskiego działania, *Rada* rozwiązała się i złożyła swoją władzę w ręce komisarza *Rządu Narodowego*. Rzecz godna zapisania; po upadku Langiewicza, ludzie z *Rady naczelnej galicyjskiej*, oświadczyli się stanowczo za zakończeniem powstania. A my to, wobec widoków zewnętrznej pomocy, nie chcieliśmy już teraz tego zakończenia.

Gdy *Ławy* usuniętemi zostały a powstały Komitety Narodowe, trwała między nimi a *Rządem Narodowym* do końca głucha, ale nieustanna walka.

Rząd Narodowy w różnych chwilach, słabiej to silniej próbował, aby Galicya poddała mu się w ten sam sposób co *Królestwo Polskie* i przyjęła jego tajną organizacyę. Komitet krakowski tak ze względu na przyszłość Galicyi, jak na działanie mocarstw, na którem jedynie budował widoki powodzenia, opierał się tym dążnościom; w czem zawsze znajdował poparcie *Hotelu Lambert* i ks. Czartoryskiego, co zresztą wyraźnie zaleconem było przez rząd francuski. Stosunki niemal codzienne istniały między dwoma komitetami galicyjskiemi a tajnym *Rządem Narodowym*, a lepszemi lub gorszemi były stosownie do składu nieraz zmieniającego się *Rządu Narodowego*.

Rząd Narodowy bez komitetów galicyjskich nie mógł mieć żadnej istotnej pomocy z Galicyi, a komitety nie mogły bez niego wyprawiać na sposób konfederacyi oddziałów, które pozostawać musiały pod jego rozkazami. Zresztą z rozwojem interwencyi, wobec uznania przez ks. Czartoryskiego *Rządu Narodowego*, wstąpienia doń Karola Ruprechta, kiedy wydawało się, że większa powaga tego rządu, może się przydać do lepszego obrotu sprawy na zewnątrz, stosunki krakowskiego komitetu z nim zaczęły być lepszemi, częstszemi a koniecznemi.

Od Kwietnia też komitety galicyjskie były uważane, a przynajmniej obchodzono się z niemi jako z ciałami, z któremi wyłącznie *Rząd Narodowy* się znosi, i przez które działa.

Rozdział spraw między członków komitetu, był dobrowolnie przez nich zrobiony, ale był stały. Nominacye *Rządu Narodowego* nie były koniecznemi, choć

podobno w pewnych wypadkach były wydawane. Kiedy Stanisław Tarnowski zastąpił później Bauma, nie otrzymał żadnej nominacyi. Jedyną przysięgą była wojskowa, którą odbierano od oficerów i szeregowców. Rota była ułożona na wzór austryackiej. Baum przy składaniu tej przysięgi bywał obecnym.

Wciąż — jak powiedziałem — toczyły się spory o stopień i zakres władzy komitetu i jego zależności od *Rządu Narodowego* warszawskiego.

Wśród tych fikcyi było przecież wiele rzeczywistości i to połączenie nadaje fantastyczne znamię owym wypadkom.

Przy komitetach galicyjskich byli komisarze *Rządu Narodowego*. Ci komisarze istnieli już przy *Ławie*, która jak rzekłem rozwiązała się, podczas gdy jej członkowie utworzyli jakieś komiteciki, jeszcze tajniejsze, z którymi się później spotykamy, a które teraz wydawały, od czasu do czasu panflety.

Pierwszym komisarzem przy komitecie krakowskim był Seweryn Elżanowski, znany dawny przyjaciel Mierosławskiego, redaktor emigracyjno-demagogicznego pisma *Przeglądu Rzeczy Polskich*, miał do pomocy dwóch innych z przybranemi — jak się to wówczas działo — nazwiskami.

Przy komitecie lwowskim prócz wymienionych wyżej komisarzy był w początkach komisarzem dla ziem ruskich Maryan Sokołowski. Dzieje jego urzędowania rzucają światło na ówczesne wypadki. Zatrzymamy się chwilę nad pochodzeniem i przebiegiem jego posłannictwa.

Młody bardzo człowiek w 1862 r., Maryan Sokołowski uczęszczał w Paryżu do *Szkoły Prawa*. Polacy uczący się w zakładach naukowych paryskich, mięli czytelnię w *Passage du Commerce*. Wieści wciąż groźniejsze dochodziły z kraju i poruszały młode umysły. Pewnego dnia zwołani zostali wszyscy do czytelni i Ludwik Mierosławski, który zawsze wśród gorętszych miał wielu wielbicieli, zagaił posiedzenie długą i napuszystą mową, w której końcu, wzywał całą młodzież, aby nie czekając dłużej, wróciła do kraju i wzięła się do broni. Po nim zabrał głos młody Sokołowski i zrazu nieśmiało, później coraz żywiej, protestował — jak się wyraził — przeciw temu przedwczesnemu wezwaniu. Mówił dość długo, dobrze i wpłynął o tyle na umysły słuchaczy, że narazie wezwanie pozostało bez skutku. Gdy zgromadzenie rozchodzić się poczęło, Mierosławski stojąc na schodach zawołał: „Przeklęty czerwieniec“— robiąc alluzyę zaiste nie do barwy politycznej mowcy, ale do czerwonej twarzy młodzieńca, rozognionej dyskusyą, położeniem w którem się znalazł i wysileniem energii nielada, którą okazał, ośmielając się stawić czoło Mierosławskiemu.

W końcu Stycznia 1863 r. Sokołowski jak wszyscy, jak wielu przynajmniej, podążył do kraju na Poznań; znalazł tam umysły bardzo poruszone, ciągłe narady i udział w powstaniu postanowiony; widywał się z Rogerem Raczyńskim, z Niegolewskim, z Adolfem Łączyńskim; odwoływano się na Guttrego, na Kantaka, którzy jednak bawili wtedy na wsi. Ztamtąd udał się do Warszawy. Był tam stan oblężenia, wieczorem ludzie—jak wiadomo—chodzili po mieście z latarkami na

guzikach. Zetknął się zaraz z Karolem Ruprechtem, znanym mu równie jak Jurgens już dawniej, i wkrótce przez niego zrobił znajomość z niezmiernie bogatym, bardzo bystrym, gorąco miłującym kraj, a wielce wpływowym finansistą i bankierem. W następstwie poznał się Sokołowski ze Stefanem Bobrowskim ówczesnym tajnym naczelnikiem miasta Warszawy i członkiem *Komitetu centralnego*, którego nikt wówczas prawie osobiście nie znał, ale którego wszyscy czuli. Była to chwila, kiedy komitet *białych*, do których należeli ów bankier i Ruprecht, zbliżać się coraz bardziej poczynał — w skutek wiadomości i wypadków zagranicznych — do *Komitetu centralnego* spiskowego. Gdy nastąpiło już nietylko zbliżenie, ale pakt, postanowiono wysłać Sokołowskiego za granicę, dla utworzenia na zewnątrz *Królestwa Polskiego Rządu Narodowego*, tak dalece wydawało się nieprawdopodobnem, aby rząd ten mógł istnieć w Warszawie i uchronić się przed poszukiwaniami policyi, a może i dlatego, że zrozumiano i odczuto całą niewłaściwość spisku i tajnego rządu prowadzącego jawną wojnę.

Wydano Sokołowskiemu instrukcye z listami polecającemi do wybitnych osób w Galicyi i Ks Poznańskiem; między innemi do jenerała Józefa Wysockiego, bawiącego w Krakowie, Leona Skorupki; w Poznańskiem do Aleksandra Guttrego, Adolfa Łączyńskiego, Kantaka, Niegolewskiego, Libelta; z instrukcyą i listami zaszytemi w podeszwie butów, dostał się wysłannik do Krakowa. Tu zastał położenie zmienione i dyktaturę Langiewicza, który obozował nad granicą w Goszczy. Dowiedział się zaraz na wstępie, że hr. Gra-

bowski w charakterze komisarza *Komitetu centralnego* warszawskiego razem z Kołcykowskim, jeździli do obozu Langiewicza, aby go w imieniu tego *Komitetu* skłonić do objęcia dyktatury.

Bawił w Krakowie Waligórski, ten sam, który pod koniec wypadków był ajentem dyplomatycznym *Rządu Narodowego* w Londynie, zostawał wtedy w bezpośrednich stosunkach z ludźmi, którzy wyslali Sokołowskiego i otrzymał polecenie od nich, aby go w usiłowaniach utworzenia rządu narodowego na zewnątrz, wspierał. Waligórski i Sokołowski znaleźli się w wielkim kłopocie wobec zmienionego dyktaturą położenia; ostatni nie wiedział co z pełnomocnictwem zrobić i postanowił pojechać do obozu Langiewicza. Około Goszczy zastał powstańcze placówki, wśród nich kolegów szkolnych i uniwersyteckich, młodzieńców pełnych nadziei i wyższego nastroju; jeden z nich leżąc przy karabinie na słomie, z ironią mówił o zaszłych wypadkach i z wielką goryczą o tem, co się dzieje; zginął wkrótce w jednej z potyczek. W obozie nieład. Zaledwie mógł się Sokołowski dostać z trudem do dyktatora, zastał go wśród adjutantów, między którymi dwie kobiety. W ciasnym pokoju stół był nakryty. Dyktator wziął Sokołowskiego do sąsiedniego alkierza, wyciągnął się na łóżku i słuchał w milczeniu. Sokołowski przedstawił mu cały stan rzeczy i swoją misyę. Langiewicz jedno tylko słowo dał w odpowiedzi: „Pan mówisz jak adwokat, a ja jestem żołnierzem.“ Znalazł się tym razem jak prawdziwy dyktator, podobno ten raz jeden. Z powrotem do Krakowa, Sokołowski doniósł do Warszawy o wszystkiem, a wskutek jego raportu przybył

do Krakowa Stefan Bobrowski. Zajście jego z hrabią Grabowskim i śmierć w pojedynku, znane. Sokołowski otrzymał był z rąk Bobrowskiego nominacyę na komisarza ziem ruskich *Komitetu centralnego*, jako tymczasowego *Rządu Narodowego*. Miał się udać na to nowe stanowisko do Lwowa. Przedtem, a po katastrofie Langiewicza, pojechał do Poznania, a do Lwowa przybył w chwili, w której Smolka występował z komitetu wschodniej Galicyi. Zawiązał stosunki z Ziemiałkowskim, a przedewszystkiem z księciem Adamem Sapiehą. Postarał się zaraz o to, aby wejść w porozumienie z Podolem i Wołyniem i dowiedzieć się jakie jest tam położenie, jak się na powstanie miejscowi ludzie zapatrują. Nastąpił zjazd nad granicą z dwoma obywatelami z tamtych prowincyi. Od nich dowiedział się, że reprezentanci *Rządu Narodowego* w tamtych krajach, okazują socyalistyczne dążności, że przygotowują *hramotę* ogłaszającą rozdział gruntów dworskich między chłopów; że niektóre oddziały zapuszczające się w te prowincye dopuszczają się gwałtów. Zapewniono go, iż powieszono obywatelskiego syna, który nie chciał pójść do powstania. Po powrocie do Lwowa, Sokołowski jako komisarz *Rządu Narodowego*, wydał w jego imieniu *hramotę*, uwłaszczającą włościan w kraju południowo-zachodnim, ale przepisaną dosłownie ze znanego aktu, ogłoszonego zaraz przy wybuchu powstania w *Królestwie Polskiem*, a nadającego włościanom własność gruntów, na których osiedleni byli, lecz nie tykającego gruntów dworskich. Komisarz przetłomaczył odnośny dekret *Komitetu centralnego* po rusku, a jednocześnie dowiedziawszy się, że *hramota* socyalistyczna, o której

mu obywatele wołyńscy mówili, drukuje się w *Gazecie Narodowej*, skonfiskował ją i kazał spalić; co też wykonanem zostało.

Ponieważ jeszcze przed znaczniejszą wyprawą Radziwiłłowską, mniejsze oddziały gotowały się do wejścia na Wołyń i Podole, Sokołowski wydał instrukcyę dla komisarzy dodanych do każdego oddziału i mianawanych przez niego, w której zakazał gwałtów wszelkich i zabronił zmuszać ludzi siłą do brania udziału w powstaniu.

Stosunki Lwowa z Warszawą były mniej łatwe niż Krakowa. Znoszenie się zatem komisarza dla ziem ruskich z *Rządem Narodowym* było zwłaszcza wówczas utrudnione i prawie żadne. Późno dochodziły go wiadomości o zmianach w tym rządzie. Raptem Sokołowski odebrał nietylko dymisyę, ale i zawiadomienie, że został oddany pod sąd wojenny i skazany na śmierć. Oskarżony był o spalenie *hramot Rządu Narodowego* i o „uwolnienie szlachty od podatku krwi.“

Pokazało się, że nowy *Rząd Narodowy*, którego istnienie nie było długotrwałem, o nominacyi i instrukcyi Sokołowskiego nic nie wiedział; że w czasie jego urzędowania mianowany był inny komisarz na ziemie ruskie. Słowem choas, jaki nieraz wśród tych stosunków zapanować musiał i zapanował.

Wysłany został nadzwyczajny komisarz *Rządu Narodowego* Jan Majkowski, dla wykonania wyroku, przecież dla zbadania przed tem sprawy. Złożono sąd z nadzwyczajnym komisarzem na czele; po rozpatrzeniu się w stanie rzeczy, trybunał ten, nietylko wyrok zawiesił, ale prosił Sokołowskiego, aby pozostał na sta-

nowisku. Było to dla niego już niepodobnem. Sprawa ta toczyła się, kiedy ks. Adam Sapieha był w więzieniu.

W miejsce Sokołowskiego, mianowany został komisarzem dla ziem ruskich Jaksa Chamiec.

W Krakowie, jak powiedziałem, komisarzem przy komitecie zachodnim był Elżanowski. *Komitet centralny* jako *Rząd Narodowy* pod l. 248 z datą Warszawa dnia 29 Marca 1863: „Mianuje obywatela Seweryna Elżanowskiego komisarzem pełnomocnym na Kraków i Galicyę zachodnią.“ Zupełna Elżanowskiego niedołężność, odnawiane z Mierosławskim stosunki, niejasność w postępowaniu sprawiły, że komitet krakowski oświadczył *Rządowi Narodowemu* w Warszawie, że z takim komisarzem działać nie może. Przysłano wtedy Majkowskiego choć czerwonego, na czarno umalowanego i z przybranem nazwiskiem. Z tym nowa i coraz ostrzejsza nastała wojna o zupełne poddanie Galicyi pod władzę *Rządu Narodowego*, wojna tem niebezpieczniejsza, że niektórzy dowódzcy oddziałów i oficerowie, stali zupełnie po stronie komisarza.

Ostatnim komisarzem przy komitecie krakowskim był Wład. Majewski, obywatel z kaliskiego, człowiek zacny, roztropny i rozumiejący dobrze wszystkie wymagania i niebezpieczeństwa położenia. Między nim a komitetam do końca istniała jak najlepsza harmonia.

W Lipcu toczyła się znowu wieczna sprawa o stosunek komitetów i Galicyi do *Rządu Narodowego*, komisarzem dla Krakowa był jeszcze Elżanowski, ale był także przydanym mu Majkowski. Ku wielkiemu zadowoleniu Bauma i Benoego, a za ich stanowczem wystąpieniem co do Krakowa, komitet zachodni równie jak

pierwej wschodni, oparł się roszczeniom komisarzy i postawił na swojem.

Przebieg tych sporów, tej walki, daje najlepsze pojęcie i czasów tych niezwykłych i położenia, w jakiem znajdowała się Galicya.

Dla załatwienia rzeczy *Rząd Narodowy* wysłał w Czerwcu do Krakowa komisarza pełnomocnego Józefa Grabowskiego, który wydał dla komitetu regulamin.

Pod datą 10 Czerwca 1863 r. *Rząd Narodowy* pisał z Warszawy do komitetu dla Krakowa i zachodniej Galicyi:

„Otrzymał *Rząd Narodowy* sprawozdanie z czynności komitetu, obejmując także poglądy jego na swoją sytuacyę i atrybucyę. Na to rząd narodowy daje odpowiedź następującą. Poruczając komitetowi niesienie powstaniu pomocy środkowej prowincyi, Rząd Narodowy nie chciał i nie mógł się pozbawić obowiązku i możności udzielania w tejże prowincyi mandatów i wydawania rozporządzeń mających na celu dostarczanie środków powstaniu; zwłaszcza też, gdy fundusze dostarczane są na ten cel przez inne prowincye, gdy sfera działania sięga po za obręb prowincyi, gdy wreszcie w dostarczaniu broni i amunicyi miały miejsce niektóre usterki dla sprawy szkodliwe. Okoliczności te wskazały potrzebę użycia specyalnego urzędnika działającego pod bezpośrednim impulsem rządu narodowego. Dualizmu władz, o którym komitet wspomina, rząd narodowy nie upatruje, skoro atrybucye dwóch władz są zupełnie odrębne. Z tej też przyczyny rząd narodowy nie podziela zdania komitetu, jakoby atrybucye rządu prowincyonalnego były mu razem dane i odjęte w re-

gulaminie. Ze względu na zasadę, środki i cel działania naszego, nie może komitet rygorystycznie przeprowadzać zasady autonomii, nie idzie tu bowiem o październikowe i lutowe patenta, lecz o powstanie narodowe, którego dobro jest najwyższem prawem, a wobec potrzeb którego, nienaruszalność prowincyonalnej autonomii prosto prowadzi do dezorganizacyi i anarchii. Lubo Rząd narodowy bezwarunkowej autonomii wcale nie uświęca, nie może przecież podzielić zdania komitetu, jakoby z podziału atrybucyi komitet był ograniczonym do roli poborcy i liweranta, które to termina ze wszechmiar są niestosowne, kiedy całe działanie opiera się na pobudkach i środkach wyższego moralnego porządku. Gdyby żaś chciano obstawać przy tych wyrażeniach, nie tylko działanie komitetu, ale i połączone z niem działanie komisarza pełnomocnego dałoby się podciągnąć pod owe przez komitet użyte nazwisko. W każdym jednak razie zadanie to w dzisiejszych okolicznościach nie może być za szczupłem dla każdej szlachetnej ambicyi. Zresztą zbawienie nie w mowie jest, ale w mocy. Nie o spory względem atrybucyi, ale o pokonanie wrogów nam idzie. Przy gorliwości i dobrej woli spory o atrybucye łatwo ucichną. Jeżeli pomiędzy działaniami komitetu a działaniami komisarza pełnomocnego zachodzą tak zdrożne kolizye, o jakich komitet wspomina, gdy twierdzi, że jedne i też same rekwizyta były z obu rąk zakupywane, wzajemnie się podkupywano; Rząd narodowy jest przekonania, że szczere i uprzejme współdziałanie obydwóch władz, łatwo złemu zapobiedz potrafi, władz, które nie tylko przeszkadzać sobie nie powinny, ale owszem wzajemnie

się wspomagać. Mianowanie przez komisarza pomocników w okręgach, w których gromadzą się oddziały, lub przygotowują się dostawiania dla wojska, koniecznem jest ze względu na potrzebę doprowadzenia jednolitego impulsu rządowego do ostatnich ogniw zarządu. Pożądanem jest dla rządu, ażeby komitet zamiast przeszkody, upatrywał w tem raczej pomoc dla swej działalności i większą gwarancyę dla interesów powstania. Szczere współdziałanie władz okręgowych pomocnikom, usunie kolizyę, zwłaszcza, gdy jak już wyżej rzeczono, atrybucye dwóch władz i ich ajentów są zupełnie odrębne.

Z przytoczonych tu powodów wolą Rządu narodowego jest, ażeby komitet w granicach atrybucyi ostatnio zatwierdzonym regulaminem wskazanych; działania swe dalej prowadził. Spodziewa się Rząd narodowy, że nie tylko ztąd szkodliwe nie powstaną skutki, ale owszem przy znanym patryotyzmie członków komitetu, tym większy wyniknie dla sprawy narodowej pożytek.

Jednocześnie ze strony *Rządu Narodowego* pisano do komisarza pełnomocnego w Krakowie.—„Obywatelu! względem kwestyi przedstawionych przez komitet i przez Ciebie co do regulaminu, jednocześnie Rząd narodowy udziela odpowiedź zgodną z Twojem zapatrywaniem się, którą zalecam komitetowi doręczyć, a razem postarać się o ile możności o utrzymanie zgody i o wyzyskanie dla sprawy wszystkich sił prowincyi. Nie zaniedbuj uczęszczać na posiedzenia komitetu. Pieniądze gromadzą się, przy najpierwszej sposobności postaramy się przesłać Ci co potrzeba. Przyspiesz druk i nadesłanie regulaminów dla piechoty i kawaleryi. Co do wyznaczenia zastępcy obywatelowi Krukowieckiemu, odnieść

się należy do obywatela jenerała Jordana. Co do mianowania Miniewskiego na dowódzcę oddziału na Rusi, pozostawić to wypada jenerałowi Wysockiemu. Obywatelowi Kuczykowi dasz, jeżeli tego żądać będzie, potrzebne 150 złr. Postarasz się, o ile możności, o usunięcie z Krakowa anarchistów i zbiegów. Żołnierzy, którzy gotują się do walki, rozmieścić trzeba po kwaterach, żeby w mieście zapobiedz zepsuciu. Posyłamy do druku „Krótki rys służby polowej.“ Postaraj się o spieszne wydrukowanie i nadesłanie. Dostarczyć także zechcesz „Kurs sztuki wojskowej“ Wysockiego, lub sprowadzić z Paryża, jeśli na miejscu niema. Mówią tu, że urzędnikom Miechowskim Rosyanie posłali pieniądze, żeby tu wrócili. Jeśli zostaną u Was, młodszych użyj do czego zdolni, starszym dołóż do pensyi co im brakować będzie, ze składek miejscowych. Expedycyę do Paryża doręczysz Majerowi (owym Majerem był piszący tę rzecz). Przyszlij nam kopię regulaminu komitetu, nie dziw się, że oryginał musiał być spalony. Dan w Warszawie, dnia 10 Czerwca 1863 r.“

Pod datą Warszawa, dnia 30 Czerwca 1863 roku Rząd narodowy pisał do komisarza pełnomocnego na Kraków i Galicyę zachodnią. „Pieniądze już poprzednio wysłane zostały i dotąd już zapewne w Twojej kasie się znajdują. O ich odebraniu zechcesz, Obywatelu, jak najprędzej donieść. Fundusze te dozwalają Ci energicznie zająć się zakupem broni i innych rekwizytów wojskowych i spiesznem wysyłaniem ich na teatr wojny. Z władzami administracyjnemi Sandomierskiego, Krakowskiego, Kaliskiego, Lubelskiego wejdziesz, Obywatelu, w bezpośrednie stosunki, a rząd niniejszam upo-

ważnia Cię do nakazania im, ażeby czynne i energiczne pod twoją kontrolą dały ci poparcie i pomoc w transportowaniu broni wewnątrz kraju. Porozumiesz się także z jenerałem Jordanem, który w dwóch jego władzy podległych województwach, miejsca, na które broń transportowaną być ma, naznaczy i z potrzebną pomocą pospieszy. Wezwij go także, ażeby wojskowego ze swojej strony delegował do Twojego boku dla obejrzenia transportowanej broni i obmyślenia skutecznych środków dla dostawienia jej na miejsce. Nigdy dość energii, przezorności polecić Ci nie można. Znana Rządowi narodowemu gorliwość Twoja Obywatelu, każe się mu spodziewać, że czynności te pomyślnym uwieńczone będą skutkiem. Formacya oddziałów nowych w Galicyi zachodniej i w Krakowie, na teraz zaniechaną została.

Poleca Ci Rząd, abyś się zajął zreorganizowaniem policyi w Krakowie i urządził ją w sposób odpowiadający potrzebie. Za jej pośrednictwem przeciąć potrzeba będzie intrygi, zamachy na Rząd i sprawę narodową, których siedliskiem stał się Kraków, a którymi, jak to nie ulega już wątpliwości, kieruje rząd moskiewski przez swoich zręcznych i za patryotów uważanych ajentów. Osoba z policyi tutejszej narodowej, która miała w tym czasie wyjechać dla uregulowania i postawienia silnej policyi w Krakowie, zmuszoną jest jeszcze na jakiś czas zatrzymać się w Warszawie. Wychodzące pismo w Krakowie pod tytułem: „Kronika“ zawiera kłamliwe a szkodzące sprawie narodowej doniesienia i usiłuje zedrzeć tajemnicę z Rządu, domyślając się niebywałych rzeczy. Temu pismu dasz

z wyraźnego rozkazu Rządu najsurowsze upomnienie i zarazem ostrzeżenie jego redaktorowi, że jeżeli nieprzestanie rozszerzać fałszywych wieści, surowsze środki przeciwko niemu przedsięwzięte będą. Postaraj się także Obywatelu, o to, ażeby niemieckie i francuskie gazety doniosły o usługach, jakie pan Merkel za pieniądze rosyjskie oddaje tajnej moskiewskiej policyi. Załączoną tu ekspedycyę i paszport przeszlij komisarzowi nadzwyczajnemu we Lwowie."

Pieczątka z herbem Polski i Litwy i z napisem: równość, wolność, niepodległość.

Podczas gdy *Rząd Narodowy* powyższe przesyłał instrukcye, oto co wedle ówczesnej relacyi zaszło w Krakowie:

„Dnia 9-go Lipca Pełnomocnik Rządu narodowego obywatel Józef Grabowski, rozwiązał komitet Krakowa i zachodniej Galicyi. Dnia 10 Lipca ustanowił w imieniu Rządu Radę prowincycnalną i członkom takowej wręczył regulamin określający atrybucye tejże rady i komisarza rządowego. Przytomni na tem posiedzeniu członkowie do rady prowincyonalnej powołani obywatele: Baum, Benoe, Haller, Rogawski, Żuliński i Elżanowski komisarz, żadnego przeciw regulaminowi nie uczynili zarzutu, a więc przyjęli takowy. Toż samo uczynił przybyły później obywatel Jan Tarnowski z Chorzelowa."

Wtedy komisarz *Rządu Narodowego* począł wedle tego narzuconego regulaminu wydawać rozkazy.

Podczas gdy w tym kierunku zapowiadającym, między innemi nieprzerwalność *Rządu Narodowego* rozpoczynała się w Galicyi gospodarka, zaszły nowe wy-

padki, które powyżej przytoczona relacya, w następujący sposób przedstawia:

„Tymczasem pełnomocnik *Rządu Narodowego* podążył do Lwowa, gdzie nie potrafił przeprowadzić regulaminu odpowiedniego wyżej wspomnianemu. Obywatele Baum, Benoe, Haller i Tarnowski (Jan z Chorzelowa) zaczęli wtedy swój współudział w Radzie zależnym czynić od zmiany regulaminu, której nie określili bliżej. Nadszedł z Warszawy projekt narodowej przymusowej pożyczki. Obywatel Józef Grabowski, pełnomocnik *Rządu Narodowego* pojechał do Wiednia wraz z obywatelem Benoe dla porozumienia się w tym względzie z majętnymi obywatelami Galicyi zachodniej tamże przebywającymi i przywiózł nowy zupełnie regulamin, który ciż obywatele uznali za niezbędny warunek współudziału prowincyi w przymusowej pożyczce. Pełnomocnik *Rządu Narodowego* obywatel Józef Grabowski odczytał ten regulamin na posiedzeniu Rady prowincyonalnej dnia 28 Lipca. Jest on wręcz przeciwny regulaminowi z dnia 10 Lipca i całą władzę nad prowincyą z komisarza rządowego na usamowolnioną z pod jego bezpośrednich wpływów Radę prowincyonalną, przenosi. Albowiem 1-sze tej Radzie przyznaje prawo nominowania wszelkich urzędników i stanowienia o wszelkich wydatkach prostą większością głosów; 2-gie przyznaje tej radzie prawo zastąpienia ubywających członków nowymi powołanymi prostą większością głosów bez żadnego odniesienia się do Rządu. Regulamin taki, duchem jest wprost przeciwny regulaminowi z 10 Lipca. Regulamin z 10 Lipca poddawał Galicyę zachodnią pod bezpośredni kierunek Rządu narodowego.

Regulamin z 28 t. m. przywraca prowincyonalną autonomię, przez radę Galicyi zachodniej reprezentowaną. Pierwszy koncentrując rząd w jednym ręku, bardziej sprzyjał, aniżeli drugi, spiesznemu i energicznemu niesieniu pomocy walce toczącej się w Królestwie."

Tak na razie zakończyła się ta walka zwycięstwem komitetu krakowskiego i zdrowego zapatrywania się na stanowisko Galicyi.

Ze zmianą w drugiej połowie Sierpnia położenia politycznego, z osłabieniem widoków interwencyi czynnej mocarstw, władze austryackie w Galicyi zaczęły ostrzej występować. Rewizye były częstsze i skuteczniejsze. Po kilku miesiącach policya zwróciła uwagę swoją na Elżanowskiego. Mieszkał w Krzysztoforach u Demidowicza. Policya zarządziła tam rewizyę nocną i znalazła między innemi papierami protokół wraz ze wszystkiemi nazwiskami sesyi z 25 Lipca, na której komitet stawił był czoło komisarzom.

Nałogowy konspirator spisywał więc i zachowywał protokóły, zapisywał nazwiska. Zaiste nie warto było tak długo ćwiczyć się w rzemiośle, aby go tak mało wydoskonalić. Były tam nazwiska Bauma, Benoego, Hallera. Aresztowano ich 1 Września i wywieziono do Lwowa. Aresztowano również Rogawskiego, ale że był posłem do Rady-Państwa, a izba obradowała, wypuszczono go na czas sesyi; później zamknięto w więzieniu we Lwowie.

Wtedy to ludzie ze ściślejszego naszego *grona krakowskiego* zajęli miejsca aresztowanych w komitecie.

Stanisław Tarnowski był już przedtem pomocnikiem Bauma, nie do jednego oddziału Jordana, ale do

wszystkich, skoro wszystkie z tej części Galicyi wychodzić miały, niby pod naczelnem dowództwem Jordana. Tarnowski wiedział lepiej niż ktokolwiek, gdzie były składy karabinów, gdzie proch, gdzie ludzie, gdzie buty. Musiał więc po aresztowaniu Bauma zastąpić go w czynnościach, inny bowiem narazie nie byłby podołał.

Ludwik Wodzicki w tych samych warunkach, siłą rzeczy, zastąpił Benoego.

W miejsce Hallera wstąpił do komitetu jego dotychczasowy pomocnik Stanisław Brandys i objął opróżnioną tekę finansów. Weszli do komitetu Aleksander Gorayski i Edward Jędrzejowicz.

Wogóle żywioły skrajne i demagogiczne trzymane były zdala, lecz zachowawcze i rozsądniejsze, tę samą co tamte zgubną prowadziły grę tylko innemi środkami i nie dla widoków, które dawało powstanie, lecz dla tych, które przedstawiała oczekiwana pomoc zagraniczna.

Mnie powierzono stosunki zewnętrzne, dyrekcyę *Biura krakowskiego*, znoszenie się z Paryżem i *Hotelem Lambert*, zasilanie zagranicy i dzienników, wiadomościami z kraju. Jednocześnie z mianowaniem ks. Czartoryskiego ajentem na zagranicę, odebrałem nominacyę *Rządu Narodowego*, którego składu nie znałem, na ajenta dyplomatycznego z siedzibą w Krakowie z poleceniem podjęcia i nadal czynności, które od dawna zbyt skwapliwie spełniałem. Nominacya opatrzoną była pamiętną a nieuniknioną *pieczątką*; w zamian za nią żadnego odemnie nie zażądano zobowiązania ani przysięgi. Temi samemi względami powo-

dowany co moi przyjaciele i co ks. Wład. Czartoryski, włożyłem nominacyę do kieszeni i prowadziłem dalej rozpoczętą czynność, z tą różnicą, iż teraz znosić się musiałem z *Rządem Narodowym* warszawskim.

Zbyt w owych czasach głośne i może zanadto hałaśliwe *Biuro krakowskie* znajdowało się od 1 Maja w kamienicy Wojczyńskiego przy ulicy Brackiej. Pozostawało oczywiście w ciągłej styczności z komitetem krakowskim.

Organem jego usłużnym, na zewnątrz, stał się dziennik *L'Europe* wychodzący w Frankfurcie nad Menem, a redagowany przez zaprzyjaźnionego ze mną Rumuna Ganesco. Za pomocą tego pisma *Biuro krakowskie* puszczało w świat i rozpowszechniało wszystko co chciało.

Widzimy że komitety krakowski i lwowski, uznawały *Rząd Narodowy* warszawski, lecz były autonomicznemi i do pewnego stopnia niezależnemi, a znosiły się z nim za pomocą komisarzy jego, przesiadujących w Krakowie i Lwowie, a którzy się zmieniali.

Komitety galicyjskie nie będąc jak tajny rząd narodowy warszawski wynikiem spisku, miały zupełnie inny niż on charakter i takowy do końca zachowały. Powstały nie dla ruchu lub wskutek powstania, lecz wskutek interwencyi zagranicznej, która w następstwach swoich okazała się równie jak ono zgubną, która przecież przedstawiała zgodne z rozumem warunki powodzenia. Komitety te żadnej nie przywłaszczały sobie władzy i były tylko pośrednikami w niesieniu poparcia powstania, na to, aby przedłużając zbrojną demonstracyę, umożebnić działanie mocarstw na rzecz sprawy

polskiej. Nareszcie komitety te zasłaniały Galicyę przed praktykami demagogicznemi i strzegły ją przed szkodami szalonego ruchu, który na *Królestwo Polskie* i inne prowincye pod panowaniem rosyjskiem, tak wielkie już ściągnął klęski. Zadanie to spełniły.

Czyniono później nam i ks. Władysławowi Czartoryskiemu zarzuty, iż weszliśmy w stosunki z tajnym *Rządem Narodowym,* chociaż ani jego pochodzenia uznać, ani jego praktyk pochwalać nie mogliśmy. Zarzut nie trafny ani słuszny o tyle, iż odnosi się do szczegółu nie zaś rzeczy samej, do szczegółu, który sam przez się nie był ani winą, ani błędem, lecz następstwem pomyłki głównej; to jest wiary w pomoc zewnętrzną. Skutek okazał, że pomyliliśmy się licząc na wojnę i poparcie zewnętrzne sprawy polskiej w 1863 r. że zawiodły niezaprzeczenie istniejące po temu dane. Ale raz wychodząc z tego punktu widzenia, poddaliśmy się tylko konieczności i zwalczyliśmy własny wstręt w mniemaniu, że służymy tem sprawie, wchodząc w stosunki z *Rządem Narodowym* i uznając go tymczasowo.

Dyktatura Langiewicza dowiodła była, że w ówczesnych okolicznościach żaden inny rząd narodowy, prócz tajnego nie był możliwym. Rząd po za krajem, byłby był bez znaczenia.

Odmawiając *Rządowi Narodowemu* warszawskiemu naszego współudziału, odcinaliśmy go, a zatem i powstanie od zagranicy, na którą wyłącznie liczyliśmy; co gorsza, zawsze wedle wyobrażeń ówczesnych i naszego punktu wyjścia, narażaliśmy całą rzecz wobec zagranicy na szwank zupełny, a wypadkom w Polsce odejmowaliśmy przed Europą, znamię narodowe

a nadawali rewolucyjne i demagogiczne. Przystępując do *Rządu Narodowego*, dawaliśmy zagranicy żądane przez nią rękojmię, a zarazem tuszyliśmy sobie, że wewnątrz przez nasz współudział, rząd ten nabierze warunków umiarkowania i roztropności. Powtarzam, punkt wyjścia okazał się mylnym, ale nasze rozumowanie i postępowanie było i słusznem i loicznem. W chwilach rozstrzygających, nie można się powodować doktryną. Nasze przystąpienie do *Rządu Narodowego* nie pogorszyło położenia w niczem, stało się tylko osobistem upokorzeniem; klęskę zwiększyły nasze fałszywe rachuby o pomocy zewnętrznej, wskutek których podaliśmy rękę powstaniu i nie potępiliśmy takowego. Tajny *Rząd Narodowy* warszawski był ze stanowiska tak prawnego, jak też najprostszych pojęć politycznych fikcyą. Już w nazwie rząd tajny była sprzeczność. Rządu bowiem zadaniem, powołaniem i istotą jest jawne przedstawianie i obrona istniejącego porządku rzeczy. Z chwilą w której spisek odkrywa swoje cele, musi do ich dalszego przeprowadzenia powstać jawna władza, zadanie spisku wtedy skończone i niema on racyi bytu; jeżeli zaś odsłonięty zamiar odsłania także środki działania, a zwłaszcza, jeżeli odwołuje się do rzeczy najbardziej głośnej i jawnej, to jest do wojny, tem więcej kierunek przedsięwzięcia objąć musi wtedy władza jawna. A przecież i to należy do nadzwyczajności i anomalii ówczesnych wypadków; spisek odsłoniwszy swoje cele i środki, wypowiedziawszy jawnie wojnę Rosyi, nie zaabdykował, nie wydał ze siebie rządu jawnego, pozostał u steru nie przestając być władzą tajną, przybrał tylko nazwę *Rządu Narodowego*, nie zmienił

się ani w swej istocie ani w swej formie. i tajnie i anonimowo wypowiedział i prowadził jawną z Rosyą wojnę. Miał dość siły, aby pozostać tajnem stowarzyszeniem, nie miał jej na tyle, aby stać się rządem jawnym. Wskutek tego fikcya stawała się rzeczywistością, a rzeczywistość fikcyą, i tajny spisek wykonywał jawną władzę; fakt zadawał kłam najprostszym pojęciom. *Rząd Narodowy* był tworem chorobliwym, chorobliwych czasów i samobójczego przedsięwzięcia. I rzecz niepojęta, twór ten amfibiczny przez pół żyjący jako spisek, przez pół jako rząd, hermafrodyta bezpłodny a niosący zniszczenie, istny sfinks zamaskowany, słowem tajny *Rząd Narodowy* istniał w Warszawie obok władz rosyjskich, zarządzał wojną, która była tylko demonstracyą zbrojną, a po części i krajem, miał skarb i pobierał podatki, zawiązywał i utrzymywał stosunki z zagranicą, miał swoją policyę i swoją żandarmeryę, swoją pocztę, organa i dzienniki urzędowe i półurzędowe, wychodzące z tajnych drukarń i dostające ostrzeżenia, a nigdy i przed nikim nie był odpowiedzialnym, przez nikogo znanym, był sam w sobie zmiennym i podległym przewrotom wewnętrznym. A przecież mało kto nie uległ jego władzy lub jego teroryzmowi; odkryć go i zniweczyć przez dwa do trzech lat rząd rosyjski nie zdołał, i w końcu wszyscy się z nim liczyli i ci, co mu służyli i weń wierzyli, i ci, co go potępiali, nawet zagranica i rządy regularne, i to tak dalece, że przez wzgląd na te rządy ludzie, o których tu wciąż mówię, w przekonaniu, że wymaga tego dobro sprawy, i że zwiększy to warunki jej powodzenia i obcej pomocy, weszli z nim w stosunki, i jeżeli nie całkiem poddali

mu się i uznali jego prawowitość, to uznali przecież jego chwilową konieczność.

Były dnie, w których *Rząd Narodowy* czynił złudzenie jakoby był silnym; częściej jednak okazywał swoją słabość teroryzmem i gwałtownemi krokami, które nic wspólnego z wyobrażeniem o rządzie, a wszystko wspólne z istotą spisku miały. Zresztą w tym zamaskowanym pochodzie, w tym tragicznym karnawale weneckim, twórcom jego i organizatorom nieraz prawdopodobnie, trudno było się rozpoznać między sobą. Z biegiem wypadków potworzyły się różne tajne władze, a między niemi często niełatwo było odszukać prawdziwej. Na własną rękę czasem, a na rachunek *Rządu Narodowego*, działała tak zwana tajna policya i ta podkopywała nie tylko dobrą sławę, ale i władzę *Rządu Narodowego*. Nieraz nie wiedziało się, czy się ma do czynienia z *Rządem Narodowym*, czy z tajną policyą czy ze samozwańcami. Pomimo tego organizacya spisku jako spisku, była niewątpliwie jedną z najdoskonalszych i najmisterniejszych w swoim rodzaju. Sądzę ją nie ze znajomości, lecz z jej skutków. Organizacyi i jej kółek nie znałem i dotąd nie znam; ale niezawodnie musiała być doskonale obmyślaną i urządzoną, aby w przeciągu paru lat wciągnąć tak znaczny zastęp ludzi, nakłonić ich do posłuszeństwa, nauczyć karności i poprowadzić do demonstracyi i powstania, narzucić się krajowi, a to wszystko pod okiem absolutnej i policyjnej władzy rosyjskiej. Lepszym jeszcze dowodem doskonałości organizacyi spiskowej, jest istnienie, działanie i trwanie oraz odnawianie się stolicy kraju, centralnej władzy spisku, nazwanej *Rządem*

Narodowym, działanie i trwanie, pomimo zmian w jej łonie i stwierdzanie się jej jawne i głośne. Mowiono, lecz tego nie wiem, iż plan organizacyi nie był rodzimym, że pochodził z zagranicy i że jego twórcą był Mazzini, to znowu, Rosyanie. Przyznać także należy, iż znalazł się cały zastęp i cały szereg ludzi którzy plan przeprowadzali i wykonywali, obdarzonych niezwykłą energią, odwagą poświęceniem wyjątkowem i niepospolitą zręcznością, wytrwałością zarówno jak bezwzględnością, niezbędnych w podobnych przedsięwzięciach. Jak się pomyśli, ileby te czynniki przyczyniły się do wzmocnienia bytu narodowego, gdyby były skierowane ku podniesieniu zamiast zniszczeniu pomyślności i dobrotu kraju, odczuwa - się żal głęboki. Bądźcobądź na szkodę nie na pożytek sprawy zdziałały one rzeczy, które nadzwyczajnemi nazwać można. Ułatwiło im zadanie pewne rozprzężenie władz rosyjskich. Czytam przecież zdanie pisarza skrajnych zapatrywań: „Organizacya *Rządu Narodowego*, która wyrabiała się zwolna i odpowiednio do potrzeby, doszła do największej swej doskonałości za rządów *białych*. Przynieśli oni ze sobą znajomość praktyki administracyjnej, której poprzednio mieli już zręczność nabyć w biurach rządowych.“

Tak więc, rozsądna i kompromisowa polityka nawet szalonej i bezwględnej przynosiła korzyści, podczas gdy ta druga, same sprowadzała straty.

Mieliśmy zatem do czynienia ze spiskiem, który był rządem, i z rządem, który był spiskiem. Jednem z naszych zadań, jak już wiemy, było przedstawiając ten rząd na zewnątrz i dopomagając mu w przedłuża-

niu powstania, nie pozwolić mu rozwielmożnić się w Galicyi i strzedz, aby przynajmniej ta polska prowincya nie była narażoną na szkodliwe następstwa, zgubnych wypadków; tem potrzebniejszem nam się to przedstawiało, iż wciąż liczyliśmy na udział Austryi w załatwieniu sprawy polskiej. Przez cały czas popierał nas w tej mierze usilnie *Hotel Lambert*, tak w instrukcyach przesyłanych naszemu ściślejszemu *gronu krakowskiemu*, jak w depeszach ks. Czartoryskiego do *Rządu Narodowego*, przemawiając wciąż za utrzymaniem autonomii Galicyi wobec *Rządu Narodowego*. Książę Czartoryski obstawał wytrwale za charakterem wyłącznie pomocniczym Galicyi, a to ze względów ogólnych, a zwłaszcza ze względu na Austryę. Opierał się także wtedy i później pojawiającym się tendencyom włoskim, mianowicie Mazziniego, przerzucenia powstania do Galicyi.

Rząd Narodowy ile razy roztropniejsze w nim przeważały żywioły, czując ważność i doniosłość naszej, względem Galicyi, pomocy, nie zbyt utrudniał nam zadanie; ale ulegając koniecznościom swojego pochodzenia i swej istoty, nasyłał, jak się można było przekonać, czy to jako komisarzy, czy w innym charakterze ludzi, którzy mieli wszystkie nawyknienia i wyobrażenia spiskowców, a żadnych, politycznych ludzi; byli to najczęściej, w całem tego słowa znaczeniu, ludzie niemożliwi, z którymi w naszem położeniu łatwiej było jeszcze walczyć niż się zrozumieć. Walka też, jak powiedzieliśmy, była prawie ciągłą. Miało się do czynienia z przewróconemi głowami i spaczonemi sumieniami, z dziwnemi pomysłami i skrzywionemi pojęciami. Nieraz w zdumienie wprowadzała przewrotność w głupocie, a dopiero

przez nie zrozumieć można było pomysł powstania. Gdy sfinks maskę zdejmował, okazywał się w zupełnie innej niż egipski, postawie. Jakie typy, jakich ludzi spotykało się wtedy, jakie słyszało się zdania nie łatwo domyśleć się, trudniej powiedzieć. Był to skutek przewrócenia do góry nogami społeczeństwa i wydobycia się na wierzch tego, co dotąd na spodzie spoczywało. Podobny stan rzeczy musiał wyradzać dziwolągi. Im dłużej trwało powstanie, tem więcej słabł zapał i duch poświęcenia, a mnożyły się dziwactwa i brzydkie praktyki.

Wciąż należało bronić tego punktu widzenia, iż jedynie rozsądne widoki spoczywały na pomocy zagranicznej, że tem samem, dopóki nie nadejdzie, trzeba oszczędzać własne siły i jaknajmniejszym kosztem utrzymywać zbrojną demonstracyę. Przeciw temu powstawał gwałtownie duch demagogiczny, podnosząc hasło: „o własnej sile,“ które tem głośniej powtarzano, im bardziej słabły nadzieje pomocy zewnętrznej, które jednak już w samych początkach było godłem spisku i powstania, wywieszonem, nie przypuszczam szczerze lecz, aby podnosić ducha i wzmacniać powstanie, bez względu na pomoc zagraniczną.

Od początku, nawet po popełnieniu wielkiego błędu powstania, wskazanem było pewne umiarkowanie i oszczędzanie miłości własnej narodu rosyjskiego, w wyższem jeszcze stopniu, nie łączenie ani w czynach, ani w pismach Wolynia, Podola, Ukrainy i Litwy, ze sprawą tak nieroztropnie podniesioną w *Królestwie Polskiem*.

Trudnem, niemal niemożliwem było skutecznie bronić tych zapatrywań. Wszelkiego rodzaju przesady były górą. *Italia fara da se* tłómaczonem było na „o własnej sile od morza do morza“ bez względu na różnice położeń. Dogmat narodowy granic 1772 r. utrzymanym został, pomimo, iż niedorzecznością było ogłaszać go wobec interwencyi w której brało udział jedno z rozbiorowych mocarstw. Z wielkim trudem wytłómaczyliśmy *Rządowi Narodowemu*, iż niepodobna go stawiać ze względu na zagranicę, zwłaszcza Austryę. I tak przyszło nam w *Czasie* zasłonić i bronić odezwę *Rządu Narodowego* z 31 Lipca *Do Narodu*, przesadną i niezreczną, z powodu wyrażenia o „odbudowaniu Polski w granicach 1772 r.“ w ten sposób: „iż odnosiło się ono tylko do krajów polskich pod panowaniem rosyjskiem, do *Królestwa* Litwy i Rusi.“

Nie wiele to mogło pomódz skoro władze austryackie pochwytywały dowody, bezwzględności ruchu i najdalej idących jego zamiarów. Czy, aby się pozbyć Elżanowskiego, czy też pod naciskiem skrajnych żywiołów, dnia 5 Sierpnia 1863 roku *Rząd Narodowy* wydał Sewerynowi Elżanowskiemu pełnomocnictwo do porozumienia się z komitetem rewolucyjnym węgierskim, w celu utworzenia legii zagranicznej złożonej z Węgrów. W razie rewolucyi w Węgrzech—mówiło pełnomocnictwo — legion może pośpieszyć na Węgry, ale dopiero po trzydziestu dniach. Jak wiadomo ten legion nigdy nie przyszedł do skutku. Nareszcie z gwałtownością słabości, słowem i pismem znieważano i upokarzano już nie rząd, ale także społeczeństwo rosyjskie, przygotowując ten szalony wybuch nienawiści i zemsty,

który do dzisiaj srogo daje się we znaki. Rozumowaniem niepodobna było walczyć z temi wyobrażeniami i prądami. Aby im stawić czoło, trzeba było wiele stanowczości i energii. Nie zbywało nam na nich, w stosunkach z *Rządem Narodowym* lub jego organami. Przypominam sobie, że, nie pamiętam już w którym czasie, uznając szkodliwość wielką przyjętego chwilowo kierunku, czy też samozwańczego *Rządu Narodowego*, powstaliśmy przeciw niemu, a gdy nie mogliśmy uzyskać zadośćuczynienia, oświadczyliśmy, że usuwamy się i przestaliśmy przez dni kilka zasilać zagranicę wiadomościami o powstaniu. Nastała w Europie zupełna o wypadkach w Polsce cisza, ustało powstanie dla Europy; zniewoliło to do ustępstw w rzeczy, o którą szło. Objął niebawem władzę *Rząd Narodowy*, złożony z lepszych żywiołów. Dowód to jak słabła z biegiem wypadków władza spisku, jak sam oglądał się teraz na zagranicę, chociaż do tego się nie przyznawał i bezpośrednich z nią stosunków nie miał.

Jedną z najdrażliwszych i najprzykrzejszych a zarazem najopłakańszych spraw, wynikających z fikcyi spisku przemienionego w rząd tajny, były morderstwa popełniane z rozkazu i w imieniu tego rządu. Skoro ten rząd istniał, musiał czuwać nad swem bezpieczeństwem; że jednak był tajnym, nie mógł tego czynić jawnie, ani sądzić i karać publicznie, uciekał się zatem do skrytobójstw jako spisek, lecz jako rząd za wyrokami opatrzonemi anonimową *pieczątką*. Mordy te tłómaczył koniecznością karania zdrajców sprawy i własnem bezpieczeństwem, bez czego jego istnienie, już i tak nadspodziewane, byłoby niemożliwem.

Pomijam nadużycia, samozwańcze egzekucye lub osobiste zemsty, a było ich zapewne sporo. Ale nawet ze stanowiska powyższego rozumowania, które wtedy było rozpowszechnionem, prawomocność wyroków *Rządu Narodowego* w żaden sposób utrzymać się nie da. Sumienie, zdrowy rozum i instynkt człowieczy, mówiły zgodnie, że rząd znajdujący się w podobnych warunkach nadzwyczajnych, niebywałych, że ta fikcya rządu, która z biegiem okoliczności niepojętych, stawała się chwilowo i w pewnym tylko zakresie, rzeczywistością, bez żadnej sankcyi ani prawnej, ani moralnej, że słowem, owo zjawisko, co się *Rządem Narodowym* nazywało, nie mogło pewnych przekraczać granic, ani wkraczać w dziedzinę sprawiedliwości; że tam fikcya stawała się potworną, wyroki śmierci tego rządu, krwawemi dziwolągami. *Rząd Narodowy* tajny żadnej części kraju nie posiadał, gdzieby się mógł jawnie stwierdzić; nie miał zatem jurysdykcyi nad nikim; rozciągać jej i wykonywać nie mógł; nie miał prawa wydawania wyroków śmierci; jego sądy pobieżne, jego spieszne przesłuchiwanie oskarżonych lub zasądzania bez wysłuchania ich, były także fikcyami; nie miał podstawy do wyroków, a dokonywane na ich mocy egzekucye były i pozostaną mordami, politycznemi, ale mordami. Przewrotną było niedorzecznością chcieć wydawać wyroki i uprawniać ich wykonanie, powagą i władzą *Rządu Narodowego* oraz jego pieczątki, wtedy, kiedy to było prostem następstwem spisku i jego wymagań. Tak dalece było to prawdą, że te wyroki i egzekucye ani prawnie, ani moralnie, ani nawet politycznie usprawiedliwić się nie dały, iż one to naj-

gorsze, opłakane zrobiły na zagranicy wrażenie, najwięcej zdyskredytowały sprawę powstania 1863 roku, nawet społeczeństwo polskie; pomimo iż zagranica z pewnem pobłażaniem przyjmowała, jeżeli nie uznawała fikcyi przemiany spisku w tajny rząd. Wyroki więc i mordy w dodatku stawały się błędem politycznym.

Wciąż byliśmy o zgubnym na zewnątrz wpływie wyroków i mordów z Paryża przestrzegani. Nalegano na nas, aby użyć całego wpływu dla położenia im końca i zniewolenia *Rządu Narodowego*, aby ich zaniechał. Nie omieszkaliśmy przemawiać i działać w tym celu bezskutecznie. Tak dalece jest prawdą, że gdy się bierze jakikolwiek udział w ruchach i przedsięwzięciach bezrozumnych zamiast je potępić, nietylko naraża się własną odpowiedzialność, ale zostawia się w nich także cząstkę sumienia.

Używałem wobec *Rządu Narodowego* argumentu szkodliwości niesłychanej wyroków i morderstw, ze względu na zagranicę i pamiętam, że kilkakrotnie bardzo silnie pisałem w tej mierze do Warszawy.

Niebawem morderstwa przeniosły się z terytoryum fikcyjnie zarządzanego przez *Rząd Narodowy*, na ziemię, na której nawet ta fikcya ustawała, a z najprostszych względów politycznych przypuścić jej w żaden sposób, w żadnej mierze nie można było i gdzie się istotnie kończyła—do Galicyi. Znajdowano w ogrodach publicznych i zaułkach krakowskich trupy. Chodziły wieści, że się odbywają sądy po hotelach, przy zamkniętych drzwiach. Ajent policyjny Siatkowski, ugodzony został w Krakowie 22 Czerwca przez nie-

wiadomego sprawcę nożem czy sztyletem w szyję, na ulicy św. Jana. We Lwowie 14 tego miesiąca wydobyto ze stawu Pełczyńskiego trupa nieznajomego mężczyzny. Dnia 20 Lipca znaleziono w Krakowie w ogrodzie botanicznym jakiegoś młodego człowieka zabitego. Dnia 8 Sierpnia znaleziono w rowie po za ogrodem botanicznym ciało nieznajomego mężczyzny, już nadpsute; był ugodzony ostrem narzędziem w krzyże i w brzuch. Później w jesieni, rozsyłano w Krakowie listy z pogróżkami, wezwania, żeby się stawić na pewnem miejscu, o pewnej godzinie; zdarzały się także i wtedy, ale rzadsze, podobno jedno czy dwa morderstwa. Nie można było wiedzieć dokładnie zkąd pochodziły, czy od ukrytych chwilowo lokalnych żywiołów spiskowych, czy też od warszawskiego *Rządu Narodowego*, który właśnie wtedy we Wrześniu dostał się był w ręce szalone.

Dnia jednego a to jeszcze w lecie, popełniono w Krakowie morderstw pięć, przynajmniej doniesiono nam o nich. Jak tylko wiadomość doszła do nas, w najwyższem oburzeniu powstaliśmy przeciw temu, gdzie należało, po naradzie w ściślejszem gronie, poparci silnie przez Bauma, oświadczyliśmy wszyscy, iż jeżeli morderstwo z upoważnienia *Rządu Narodowego* czy jego organów, raz jeszcze spełnionem zostanie, usuniemy się od wszelkiego działania i pomocy. Nasze oświadczenie nie pozostało bezowocnem; w tej przynajmniej mierze i w tym czasie, częściowo odnieśliśmy pomyślny skutek z nieszczęsnego naszego współudziału. Owe morderstwa w Krakowie zrzucono na karb tajnej policyi

Rządu Narodowego, która miała je spełniać na własną rękę, a którą urządził był w Krakowie i Lwowie.

Istotnie morderstwa w Galicyi wykonywane były nieraz bez wiedzy *Rządu Narodowego* warszawskiego lub jego organów, przez samozwańcze demagogiczne czynniki.

W Krakowie utworzyła się była organizacya terorystyczna złożona z rękodzielników; dwóch majstrów stało na czele. Na Szewskiej ulicy, w piwnicy, była kaplica tego spisku, czarno wybita, w której naczelnicy odbierali przysięgę. Alfred Szczepański mianowany w lecie przez komisarza *Rządu Narodowego* Habichta naczelnikiem miasta Krakowa, po Aleksandrowiczu, zwiedził tę kaplicę i rozwiązał ową organizacyę osobnym dekretem; nie usłuchała, dalej istniała; ona w części urządzała w Krakowie mordy domniemanych szpiegów i zdrajców.

Bywały jednak wypadki, w których w Galicyi wykonywano wyroki śmierci *Rządu Narodowego* warszawskiego. Wszystkie te morderstwa jakiegokolwiek były pochodzenia, spełnianemi były za plecami komitetów narodowych galicyjskich w zupełnej ich niewiadomości. Największe wrażenie i oburzenie wywołało morderstwo we Lwowie sędziego śledczego, Leopolda Kuczyńskiego.

Dnia 28 Października 1863 r., o godzinie kwadrans na ósmą został Leopold Kuczyński, radca sądu krajowego karnego we Lwowie, który prowadził najważniejsze bieżące procesy polityczne, skrytobójczo zamordowany na placu Castrum, w pobliżu biur Dyrekcyi policyi we Lwowie.

Kuczyński opuścił o godzinie 7 wieczorem swoje biuro, przeszedł około kościoła OO. Jezuitów, a wszedłszy na plac Castrum, postanowił przeciąć go w poprzek, aby w ten sposób dostać się szybciej do pomieszkania swego, w domu Adamskiego, tuż koło gmachu teatralnego. Gdy dochodził do końca placu i wszedł w miejsce, na które budynek krajowej Dyrekcyi Skarbu rzuca cień, zbliżył się doń jakiś człowiek, zaszedłszy go z tyłu, zadał mu w plecy w kierunku ku płucom cios sztyletem, tak, iż Kuczyński postąpił jeszcze chwiejąc się kilka kroków naprzód, wydał ze siebie okrzyk śmiertelny i runął na ziemię. Sprawca oddalił się natychmiast; chociaż żyd bezpośrednio potem dał znać i złożył zeznanie w inspekcyi policyi, a dyrekcya policyi natychmiast zawezwała pomocy lekarskiej, znaleziono na ulicy tylko trupa. Odstawiono go do kostnicy powszechnej. W kałuży krwi pod trupem znaleziono zupełnie nowy, niezwykle długi nóż myśliwski z rękojeścią z rogu jeleniego; nóż ten aż po rękojeść tkwił w plecach zamordowanego. Niedaleko znaleziono pochwę noża, z etykietą fabryki i z ceną wypisaną na niej, tuż obok leżał egzemplarz *Gazety Narodowej* z dnia 27-go Października 1863, nr. 214.

Według zeznania służącej, obok której sprawca po spełnieniu mordu uciekając, przebiegł, miał to być młody mężczyzna bez zarostu, średniego wzrostu, ubrany w bluzę i w czapkę francuską.

Dyrektor policyi donosząc o tem, tego samego dnia, ministrowi i namiestnikowi, nadmienił zarazem, że nie wykryto do owej chwili sprawcy.

Później wyszły na jaw następujące okoliczności:

Według zeznania barona Pohlberg, wiceprezydenta sądu krajowego, nie wspominał mu Kuczyński o żadnym liście z pogróżkami lub o otrzymaniu wyroku śmierci od tajnego sądu. Na dwa dni jednak przed śmiercią, Kuczyński, który był zawsze wesoły i nawet spotykając się z członkami polskiej partyi czynu żartem ze śmiechem ich zapytywał, czy nie mają na niego stryczka w pogotowiu, wydał się Pohlbergowi smutnym i zamyślonym. Już kilka dni przedtem pokazał Pohlbergowi numer tajnego pisma, drukowanego prawdopodobnie we Lwowie: *Prawda*, w którem był namiętny artykuł przeciw Kuczyńskiému. Powiedziano tam, iż taki człowiek nie mógłby żyć w innem społeczeństwie, jednak wyroku śmierci nie było. Pomimo to, zarówno namiestnik w swym raporcie do ministra, jak i podwładne jemu organa w raportach do niego, utrzymywali, iż morderstwo na Kuczyńskim popełnione, było morderstwem politycznem, wykonaniem wyroku śmierci, wydanego przez *Rząd Narodowy* lub jakiś tajny sąd rewolucyjny. *Czas* z 1 Listopada 1863 r. zapewniał, nie pamiętam czy zgodnie z rzeczywistością, czy dla zasłonięcia *Rządu Narodowego*, iż otrzymał drukowaną odezwę od tego rządu, w której oświadczał, że morderstwo na Kuczyńskim popełniono bez jego wiadomości, że Kuczyński przez sąd narodowy ani sądzonym, ani skazanym nie był, że wreszcie w Galicyi nigdy nie było, ani niema, trybunału rewolucyjnego.

Władze podwładne namiestnictwu, raz po razie donosiły, że morderstwo na Kuczyńskim popełnione podrażniło ludność do tego stopnia, iż zwyczajne środki już nie wystarczają na utrzymanie jej w karbach.

Stronnictwo, zwłaszcza tak zwane czerwone, tryumfuje, upatrując w morderstwie tem akt sprawiedliwości. Stan urzędniczy natomiast jest wprost przygnębiony tym wypadkiem, tak, iż zachodzi obawa, że lękając się teroryzmu, nie będzie swobodnie mógł wykonywać przepisów i spełniać obowiązków swoich. To wszystko uzasadnia potrzebę nadzwyczajnych zarządzeń dla Galicyi. Relacyę w tym duchu wysłał namiestnik Mensdorff w d. 2 Listopada 1863. Reskryptem z d. 7 Listopada 1863 r. zwrócił, minister stanu Schmerling pismo to „o wrażeniu, jakie wywarło na ludności morderstwo na Kuczyńskim popełnione, tudzież o stosunkach w Galicyi i Krakowie, po powzięciu wiadomości" napowrót.

Co do poszukiwań sprawcy, ponieważ na drugi dzień rano znaleziono w pobliżu miejsca morderstwa kopertę rozdartą z adresem: „Marya Zalewicz" lub „Zawalewicz," ponieważ zarazem dowiedziano się, iż jakiś Zalewicz, Zawalewicz, Zarewicz, Galewicz lub Gawalewicz był naczelnikiem policyi rewolucyjnej we Lwowie i naczelnikiem rewolucyjnej żandarmeryi, poczęto szukać tego Zalewicza czy Galewicza po Galicyi i Austryi, rozsyłając równocześnie rysopis domniemanego sprawcy na wszystkie strony. W tym czasie przyaresztowano, podejrzanego o stosunki z powstaniem Stanisława Torczyńskiego, inaczej Lutosławskiego lub Lutostańskiego, a ponieważ internowany w Ołomońcu Juljan Clement oświadczył, iż znał w powstaniu Lutostańskiego lub Zalewicza czy Zalewskiego, który zamordował w Krakowie w hotelu emigranta Czarnowskiego czy Czarnieckiego, więc sądzono, iż Torczyński

jest owym Zalewiczem i sprawcą morderstwa. Sprowadzono J. Clement'a z Ołomuńca do Lwowa tutaj konfrontowano ich, ale ostatecznie skutku nie osiągnięto. Podejrzenia zresztą nadchodziły co chwila nowe, drogą wprost do policyi lub namiestnictwa, albo też na Wiedeń przez ministerstwo. Oto jeszcze nazwiska podejrzanych: Jan Kłosowski, leśny w Bilczu, Rudolf Pańkowski, Faber, John Gilles, Ludwik Łyskowski wreszcie Leopold Chilchen inaczej Ignacy Storn, identyfikowany z owym Zalewskim, inaczej także Wilczkiem zwany, najsilniej podejrzany o to morderstwo; przed wybuchem powstania był nadleśniczym w Rybnicy u hr. Zamoyskiego. Dalej podejrzanym był Csáky, emigrant węgierski, zwany pomiędzy powstańcami Władysławem Czackim, który według doniesienia konsula austryackiego w Jassach, do ministra spraw zagranicznych, miał wykonać mord na Kuczyńskim razem z niejakim Krzyżanowskim wskutek polecenia *Rządu Narodowego*; według tego doniesienia w obecności hr. Csaky'ego i Krzyżanowskiego dokonali mordu na Kuczyńskim emigranci węgierscy Kiemnes i Körös Josi. Następnie posądzonemi byli jeszcze w r. 1866 Tarnowski lub Meuger, Leopold Otto w r. 1868, wreszcie w r. 1875 wrzekomy Stanisław Skrzyński. Od tego czasu nie pojawiło się żadne doniesienie.

Ze znalezionej pochwy sztyletu, którym Kuczyńskiego zamordowano, wykryto, iż sztylet pochodził z fabryki Ignacego Röslera w Nixdorf i kosztował 5 złr. Gdzie go jednak kupiono, niemożna było wykryć.

W Paryżu morderstwo to zatrwożyło i grozą przejęło nietylko *Hotel Lambert*, ale także rząd francuski.

Odnośnie do stosunków zagranicznych *Rząd Narodowy*, przez czas mojej z nim styczności, okazywał zrozumienie położenia, umiarkowanie w sądach i poglądach, pojmował konieczność ograniczenia rewindykacyi do Rosyi, pomimo dogmatu granic 1772 roku i przystępnym był dla uwag, w tej mierze czynionych mu, chociaż nie zawsze stosował się do nich w odezwach.

A nawet *memoryał* tego rządu do ks. Czartoryskiego, dla zagranicy przeznaczony, wydany jako depesza z Warszawy 15 Sierpnia, w dzień imienia cesarza Napoleona, był znakomicie napisany, w formie dyplomatycznej, nacechowany znajomością stosunków, mówił to, co na razie istotnie mogło dobre wywrzeć wrażenie i być sprawie pomocnem.

Memoryał nie w Paryżu, ale w Warszawie był pisany, a tak treścią jak formą, zdradzał człowieka innego kroju niż ludzie, którzy naprzemian kierowali spiskiem.

Ogłoszonym został w tajnym dzienniku urzędowym *Niepodległość*, następnie w *Czasie* i w innych pismach. Powtórzył go, ku zdumieniu świata, francuski *Monitor* 22 Września w części nieurzędowej. Na co zapytany pewien rosyjski dyplomata: czy czytał w *Monitorze* depeszę *Rządu Narodowego*, odrzekł: „Je ne lis jamais dans le *Moniteur* les faits-divers.“ „Nie czytuję nigdy *Rozmaitości* w *Monitorze*.“

Przedtem odebrałem z Warszawy od *Rządu Narodowego* (Departament spraw zewnętrznych) polecenie wręczenia Adamowi Potockiemu listów uwierzytelniających go przy Papieżu jako nadzwyczajnego wysłannika wraz z *memoryałem* przeznaczonym dla Ojca św.

Instrukcya była zwięzłą i opierała się przeważnie na zaufaniu i charakterze Adama Potockiego; *memoryał* przedstawiał położenie kraju i duchowieństwa wzywał pomocy i opieki Piusa IX. Wiedziałem, że Adam Potocki ani będzie mógł, ani zechce przyjąć tej misyi; przecież udałem się do Krzeszowic i przedłożyłem mu rzecz. Stało się jak przewidywałem i to nadzwyczajne posłannictwo zaniechanem zostało; istotnie było niezwykłem, prawdopodobnie myśl jego powstała z powodu ważnej roli, jaką duchowieństwo w wypadkach odgrywało; w każdym razie było oznaką, iż zrozumiano, że powstaniu odjąć należy cechę rewolucyjną, a pozostawić mu wyłącznie narodową.

Memoryał ten nazwany *Odezwa do Ojca Świętego*, przesłałem z polecenia *Rządu Narodowego* ks. Czartoryskiemu i w Lipcu 1863 r. za pośrednictwem księcia a przez osobę w tym celu przez niego wysłaną, został Papieżowi oddany.

Ojciec św. już przedtem dwukrotnie wstawił się był za sprawą polską, raz udając się do cesarza Franciszka Józefa, następnie przyłączając się, w sposób nadzwyczaj podniosły i gorący, do owej manifestacyi całej Europy popierającej pierwsze noty trzech mocarstw, w liście do cesarza Aleksandra II.

Długo przygotowywała się wyprawa Jordana. Mówiono w końcu, iż przeznaczeniem jej będzie uratować honor wojskowy polski i okazać, że szlachta umie się jeszcze bić. Honor wojskowy polski, nie potrzebował ratunku, gdyż w danych warunkach, owej wojny, raczej demonstracyi zbrojnej inaczej prowadzić nie można było i oddziały wyparte z *Królestwa Polskiego*, musiały

się schraniać do Galicyi — co nazywano niesłusznie uciekinierstwem — tu się formować i znowu do *Królestwa* wkraczać. Innego sposobu prowadzenia rzeczy nie było i każdy inny mógł tylko spowodować niepotrzebne klęski, był sprzeczny z istotą tej dziwnej walki. Nie brakowało zresztą na czele oddziałów ludzi tęgich, lecz i oni prócz przedłużania demonstracyi zbrojnej, nic zdziałać nie mogli. Z żadnego powodzenia wojskowo nie można było skorzystać, można było tylko trwać, aby jak mówił Dr uyn de Lhuys ks. Czartoryskiemu, dać czas mocarstwom, do przybycia na plac boju. Przedwczesnych, bezowocnych ofiar nie należało mnożyć dla okazania, że Polacy nie zapomnieli się bić — o czem nikt nie wątpi. Ale naród polski kierował się zawsze w sprawach publicznych uczuciem i porywami, jak żydowski, fanatyzmem i entuzyazmem.

Jordan był to dzielny oficer i człowiek rozumny, nieco pewny siebie. Książę Czartoryski użył go w misyi do króla szwedzkiego, z której miał się doskonale wywiązać. Walczył w Węgrzech w 1848 r. Podczas wojny krymskiej, należał do polskiej w Turcyi formacyi, następnie wstąpił do *Biura Hotelu Lambert.* Przybył do Krakowa w chwili największych, najlepiej uzasadnionych widoków pomocy zewnętrznej, tych właśnie, które nas skłoniły do oświadczenia się za powstaniem. Gdy przekroczył na czele oddziału granicę, widoki te, już znacznie były zmalały, a o czynnej rychłej pomocy zewnętrznej, nie można było myśleć.

Jordanowi przeznaczano znaczną rolę wojskową, chcąc go przeciwstawić improwizowanym dowódzcom spisku, może z nadzieją, że w razie powodzeń, zapanuje

nad położeniem. Wyprawa jego jednak odkładana z dnia na dzień, dopiero w Czerwcu 1863 r. przyszła do skutku. W oddziale, który miał pod jego dowództwem wkroczyć do *Królestwa Polskiego*, znajdowali się młodzi ludzie z najlepszych rodzin i młodzi ludzie wykształceni, piękną rokujący przyszłość. Nieraz podczas niekończących się przygotowań formacyi tego oddziału, rozmawiałem z Jordanem o celu wyprawy i mniemałem, że powinien był się starać jak najdłużej na jego czele trwać i unikać rozbicia, któreby wprost przeciwne od zamierzonego, wywarło wrażenie. Lecz jego temperament wojskowy wzdrygał się na myśl tego rodzaju wojny i znowu z ust jego usłyszałem słowa, które wypowiedział był Langiewicz: „Oczyszczę część *Królestwa* z Rosyan, zapuszczę się w głąb kraju.“ Przeczuwałem, że to hasło, stanie się zgubą oddziału.

Rosyanie doskonale przestrzeżeni zbyt długiemi przygotowaniami, które odbywały się w Chorzelewie, pierwszego dnia w którym oddział przekroczył granicę, przeprawiwszy się z rana 20 Czerwca przez Wisłę, przywitali Jordana przeważnemi siłami, na równinie między wzgórzami a Wisłą i w kilka godzin najzupełniej rozbili go pod Komorowem. Dwaj moi przyjaciele, młodzieńcy niezwykłych zalet, Juliusz Tarnowski miły i świetny, oraz Władysław Jabłonowski, zginęli bohaterską śmiercią. Juliusz Tarnowski zdobywając z niesłychaną odwagą, stodołę zajętą przez piechotę rosyjską. Część szeregowców pokładła się w rowach i bruzdach, w których stała się łatwym łupem piechoty i dragonów rosyjskich. Jordan, Ludwik Wodzicki, Stojowski, dowódzca konnicy, Stefan Prek i August Gorayski,

służący pod nim w kawaleryi; Jan Popiel (Chościakiewicz) dowódzca piechoty, dawny oficer austryacki i wojsk papieskich, prawdziwy rycerz-chrześcianin nieustraszonej, spokojnej odwagi, zdołali po walce i całodziennej tułaczce dostać się w nocy za Wisłę do Galicyi.

Ofiary były ciężkie, a zamierzonego celu nie dopięły. Wrażeniem jedynem było, tak wewnątrz jak zewnątrz, że oddział, w którym pokładano znaczne nadzieje, zawiódł oczekiwanie i odrazu pobitym został. Tak to szkodliwem jest wprowadzać w politykę żywioły sprzeczne z jej treścią—uczuciowość i egzaltacyę. Pod ich wpływem utworzył się oddział Jordana i zginął bezużytecznie. Młodzież wykształcona, która stanowiła istotę tego oddziału, spełniła swój obowiązek wojskowy.

Zjawiali się w ciągu wypadków cudzoziemcy, niezbyt liczni, chcący wstępować do oddziałów, między nimi kilku oficerów francuskich, którzy dezerterowali, żeby pójść do powstania i kilku żuawów papieskich jak hr. de Montbel; korespondenci dzienników; nareszcie turyści, pragnący zbliska przypatrzeć się powstaniu. Russell korespondent *Timesa*, Roland korespondent *Progrès de Lyon*, który został niebawem przez władze austryackie aresztowany, znany Irlandczyk O'Brien; jakiś, bardzo do wszelkich powstań zapalony, młody Francuz Maison, którego nie znałem, z którym odbyłem podróż z Paryża, a który tylko w Mierosławskiego wierzył; wreszcie członek izby niższej angielskiej, Irlandczyk Pope Hennessy, już 16-go Kwietnia przybyły, aby zebrać materyały do wniosku za sprawą polską, który też wniósł w izbie—wszyscy oni i inni naprzemian przesiadywali w Krakowie,

niektórzy z nich, zwłaszcza Anglicy, zbliżali się do teatru wypadków, aby przypatrywać się potyczkom.

Między tymi cudzoziemcami najbardziej zajmującymi byli Aschley i Olifant, dyplomaci angielscy, zaufani pierwszego ministra angielskiego lorda Palmerstona, którym polecił na miejscu zbadać stan rzeczy.

O ile sądzę, mniej jeszcze zbliska zrozumieli powstanie niż z daleka i istotnie trudnem było do zrozmienia.

ROZDZIAŁ XI.

Murawiew. Ustąpienie Wielopolskiego. Berg. Zmiany w *Rządzie Narodowym*. Dawny *Rząd Narodowy* powraca. *Niepodległość*. Wyprawa na Wołyń. Odessa. Dymisya Walewskiego. Dalszy ciąg interwencyi dyplomatycznej. Odpowiedź księcia Gorczakowa i zachowanie się mocarstw. Zjazd w Frankfurcie. Złudzenia i nadzieje. Myśl uznania powstania za stronę wojującą przez odsądzenie Rosyi od prawa posiadania Polski. Myśl okupacyi austryackiej. Zamach na *Rząd Narodowy*. Traugut. Zamach na Berga. Nowa walka z *Rządem Narodowym* o Galicyę. Traugut staje na czele *Rządu Narodowego*. Mierosławski. Aresztowania w Galicyi. Stanisław Tarnowski aresztowany. W. ks. Konstanty. Pomyślniejszy zwrot w Wiedniu. Cesarz Napoleon występuje z myślą kongresu. Kongres nie przychodzi do skutku. Nie otrzymujemy hasła do odwrotu. Meksyk. Sprawa księstw duńskich. Bismark.

Podczas gdy przedłużała się korespondencya dyplomatyczna w sprawie polskiej. Murawiew 24 Maja wyjechał z Petersburga do Wilna przeznaczony na jenerał-gubernatora sześciu zachodnich gubernii cesarstwa, tamże 28-go objął władzę.

Tak bardzo upragnione „złamanie się w rękach Wielopolskiego jego własnego dzieła," uniemożebnienie jego rządów było dokonanem. Wielopolski podał

się 28 Czerwca do dymisyi i ta przyjętą została. Jedyna deska zbawienia, którą kraj odepchnął, porwaną została przez szalony prąd wypadków. Jenerał Berg obejmował 9 Lipca cywilne rządy w Warszawie z zamiarem zaprowadzenia i tu „trwałego pokoju" opartego na systemie, którego rozwoju dotąd jesteśmy świadkami. *Dziennik Powszechny* z 13 Lipca ogłosił udzielenie Wielopolskiemu urlopu, który był istotnie dymisyą oraz oddanie hr. Berg przewodnictwa Rady administracyjnej „każdy raz, kiedy J. C. W. Namiestnik nie będzie w niej osobiście zasiadać."

Tak dalece w inną stronę, w stronę interwencyi mocarstw, zwróconemi były widoki ogółu; zaślepienie było tak wielkiem, iż owe dwa ważne fakta, zaznaczające zwrot stanowczy w losach *Królestwa*, nie sprawiły już żadnego wrażenia, niemal nie ściągnęły na siebie uwagi, a *Czas* nie poświęcił im nawet wstępnych uwag i sucho zapisał w *Przeglądzie politycznym*.

Polskim rządem owej chwili był na pół fikcyjny, na pół rzeczywisty—*Rząd Narodowy*. W Czerwcu podczas Zielonych Swiąt zaszła była w jego łonie jedna z tych rewolucyj, o których wspomniałem. Radykaliści, wyznawcy obłudni zasady „o własnej sile" i „od morza do morza," a szczerzy teroryzmu, którym na wzór Jakobinów, mniemali zbawić sprawę, bezmyślni naśladowcy, znajdujący się w zupełnie innych warunkach niż tamci, opanowali *Rząd Narodowy* i zapanowali w nim. Zamachu na dawny *Rząd Narodowy* dokonali teroryści pod przewodnictwem niejakiego Lampke. Broszura *W tył* wydana w Krakowie streszczała ich program; żądała nadania krajowi szczerze powstań-

czego charakteru oraz *ścisłej organizacyi*, łączącej niemieckie zabory z *Królestwem*.

Nowy ten rząd ustanowił *Trybunały Rewolucyjne*, które postawił obok *Rządu Narodowego* jako kontrolującą i teroryzującą władzę. Trybunały te dały początek owej dwoistości tajnej władzy, która zwłaszcza nam w Galicyi, utrudniała nieraz rozpoznanie istotnej, a krwawym samozwańczym zachciankom otworzyła wolne pole. Z ich ustanowieniem, rozpoczął się system morderstw, niby legalnych, w imieniu *Rządu Narodowego* dokonywanych, z nimi złączeni byli żandarmi wieszający oraz policya *Rządu Narodowego*. W Czerwcu i pod auspicyami tego terorystycznego rządu zaszedł fakt, który wywołał zdumienie; kradzież w Warszawie listów zastawnych w sumie dwudziestu czterech milionów złotych polskich, czyli jak wtenczas mówiono, przelanie ich do kasy narodowej. Pożytek z tego śmiałego czynu był niemal żaden, gdyż nie zdołano owych listów spieniężyć. Nie długo trwały te nowe rządy; w drugiej połowie Czerwca, powstał *Rząd Narodowy* złożony z umiarkowańszych i roztropniejszych żywiołów, z odcienia Ruprechta, nazwano go ponownie *białym*; istniał w tym składzie do Września.

Urzędowym organem tajnego *Rządu Narodowego*, stał się tajnie drukowany dziennik *Niepodległość*.

Z wielkiem zdziwieniem naszem *Niepodległość* ogłosiła 25 Lipca dekret *Rządu Narodowego* mianujący „obywatela Czartoryskiego“ ajentem swoim w Paryżu i Londynie; wiedzieliśmy bowiem, że nominacya na ajenta zagranicą już w Maju nastąpiła, i że w niej *Rząd Narodowy* nie odmówił był tytułu księcia, potomkowi

Jagiellonów. Było to zatem ustępstwo śmieszne jeżeli nie małoduszne, uczynione dziecinnym formułkom skrajnych żywiołów.

Zbrojna demonstracya trwała wciąż, przedłużano ją zawsze z tych samych powodów, z konieczności poparcia nią argumentów dyplomatycznej interwencyi, a w widokach, iż ta doprowadzi do wojny. Trzydziestego Czerwca wyruszyła ze wschodniej Galicyi, nie potrzebna nawet z powyższego punktu widzenia, opłakana w następstwach wyprawa na Wołyn.

Przygotowane były trzy oddziały pod naczelnem dowództwem jenerała Wysockiego, który prowadził jeden z nich, podczas gdy dwoma innemi dowodzili Horodyński i Artur Gołuchowski Pierwszy wkroczył Horodyński i uderzył na Radziwiłłów. Wysocki i Gołuchowski mieli za nim podążyć. Wysocki się spóźnił. Horodyńskiego oddział zaraz pod Radziwiłłowem, tak samo jak Jordana pod Komorowem, został rozbity; on sam zginął. Wysocki na czele dwóch tysięcy ludzi przybył do Radziwiłłowa dopiero o 7 z rana 1 Lipca. Bój toczył się pod Leniatynem; było wielu rannych. Po rozbiciu oddziału Horodyńskiego i jego zgonie, cała wyprawa szybki, w jednym dniu, wzięła koniec i cofnęła się za granicę do Galicyi, gdzie wojska austryackie w znacznej części rozbroiły i aresztowały jej uczestników.

Rozciągnięcie powstania do kraju południowo-zachodniego ściągnęło na te dzielnice klęski i twarde czasy, na Ukrainie dało powód do przewidzianych przez Smolkę krwawych, opłakanych zajść i przyczyniło się

głównie do roznamiętnienia przeciw żywiołowi polskiemu społeczeństwa rosyjskiego.

Z płytkością w sądzie łączyły się w owych czasach dziwnie szerokie poglądy obejmujące dalekie a zawsze fantastyczne horyzonty. Z wyprawą na Wołyń i powstaniem w kraju południowo-zachodnim, zespolono plan zaskoczenia Odessy od morza i wylądowania w Kaukazie. Co dziwniejsza, rząd francuski pochwalał, zachęcał i nawet wspierał ten zamiar!

Tymczasem zaszedł był fakt na pozór bez związku ze sprawą polską, przecież nie obojętny dla niej. Pod naciskiem ministra finansów Foulda, wystąpił z gabinetu francuskiego 24 Czerwca minister stanu, hrabia Walewski, a zajął jego miejsce Billault, ten sam, który w początkach powstania, odesłał był Polaków do wspaniałomyślności cara. Chociaż starano się wpoić w nas przekonanie, że ustąpienie Walewskiego nie było niepomyślną dla nas oznaką, że pozostając przy boku cesarza w radzie przybocznej, jeszcze silniej będzie mógł działać na rzecz Polski; chociaż istotnie dymisya jego nie miała bezpośredniego związku ze sprawą polską, przecież była zwycięstwem stronnictwa, przeciwnego czynnemu wmięszaniu się w nią Francyi, zatem, wojnie.

Lipcowe noty ks. Gorczakowa do trzech mocarstw były, każda dla każdego i z nich razem wzięte, dla trzech, przykremi; szyderczem i obrażającem odparciem ich wmięszania się w odgrywające się wypadki oraz zaprzeczeniem im prawa wtrącania się wogóle w sprawy polskie pod panowaniem rosyjskiem.

W odpowiedzi przesłanej hr. Rechbergowi ks. Gorczakow pod pozorami uprzejmości i wspólności interesów, wytykał przecież zachętę, jaką powstanie czerpało w stanowisku zajętem przez Austryę; jakby przypominając Austryi obowiązki jej względem dwóch innych mocarstw podziałowych, zapraszał ją wraz z Prusami, na narady trzech rozbiorowych mocarstw, co do krajów polskich; jedynie aby ją w trudnem postawić położeniu i na sztych wystawić wobec Anglii zwłaszcza Francyi. Wreszcie dość przezroczyście szydził poniekąd z hr. Rechberga i z przewidywanego jego kłopotu wobec tej odpowiedzi.

W nocie do lorda J. Russell wice-kanclerz rosyjski wdał się w długą polemikę, jakby zastosowaną do nałogu obszernych rozpraw ministra angielskiego; wykazał, że powstanie czerpie wszystkie swe nadzieje i powód bytu z zagranicy, z widoków połączonych z interwencyą; umieścił ten ustęp: „rozpowszechniane przeciw dzielnym żołnierzom rosyjskim, pełniącym w Polsce bolesny obowiązek z poświęceniem i zaparciem się siebie, oszczerstwa i potwarze, całą Rosyę głębokiem oburzeniem przejmują;“ wykazał bez najmniejszych względów całą nicość i niepraktyczność wniosku lorda J. Russella o zawieszenie broni, zaznaczył dumnie, że jedynem rozwiązaniem jest złożenie broni i zdanie się na łaskę cesarza; odepchnął myśl konferencyi nad sześciu punktami, mocarstw podpisanych na traktacie wiedeńskim, jako wmięszanie się obce „w najbardziej wewnętrzne“ sprawy Rosyi; przeciwstawił jej porozumienie się trzech mocarstw rozbiorowych; zakończył nauką daną trzem mocarstwom, iż one mogą się przy-

czynić do uspokojenia Polski, odbierając powstaniu nadzieję czynnej interwencyi. W ciągu rozumowania naznaczył był, że wszelkie ustępstwa zużytkowane by były przez Polaków na to tylko, aby utworzyć wielkie państwo polskie, niepodległe, obejmujące nie samo *Królestwo Polskie* ale także Wołyń, Podole, Ukrainę i Litwę „od morza do morza," któreby następnie rewindykowało Galicyę i W. Ks. Poznańskie. Wreszcie odwołał się do godności i uczuć narodu rosyjskiego, który tym sposobem wprowadzał w tę grę, co się dotąd rozgrywa.

Najważniejszą w oczach naszych wówczas, musiała być odpowiedź na depeszę francuską.

Ks. Gorczakow kategorycznie, rozumowaniem ścisłem i suchem odpierał sześć punktów, zawieszenie broni i konferencyę, naznaczając jak najsilniej, iż owe punkta dotyczą spraw najzupełniej wewnętrznych; znowu przeciwstawiał konferencyi mocarstw podpisanych na traktacie wiedeńskim, układy w rzeczach polskich, trzech mocarstw rozbiorowych, czem odsądzał Francyę od mięszania się w takowe, wreszcie wprost oskarżał ją o przedłużanie powstania. „Winniśmy tem silniej zwrócić uwagę rządu J. C. M. Cesarza Napoleona na ten przedmiot, ponieważ jedno z głównych ognisk tej agitacyi znajduje się w Paryżu. Emigracya polska, korzystając ze swoich socyalnych stosunków, uorganizowała tam rozległy spisek, mający na celu z jednej strony bałamucić opinię publiczną we Francyi przez system bezprzykładnych potwarzy, a z drugiej strony, podżegać rozruchy w *Królestwie*, już to przez pomoc materyalną, już to przez teroryzm komitetu tajnego, już to szczególniej

rozszerzając przekonanie o czynnej interwencyi zewnętrznej, na korzyść najszaleńszych dążności powstańczych. Wpływ ten jest dzisiaj głównem źródłem agitacyi, która bez niego byłaby stłumiona pod działaniem ustaw, wobec obojętności lub niechęci mas. Tam więc szukać trzeba przyczyny moralnej, która dąży do przedłużania przykrego stanu rzeczy, któremu to stanowi położyć jak najszybszy kres, pragnie podobnie jak my, rząd francuski w imię pokoju i ludzkości. Chcemy wierzyć, iż nie pozwoli on, aby nadużywano jego imienia na korzyść rewolucyi w Polsce i Europie."

Niepodobna było wyraźniej wskazać stosunków cesarza Napoleona z księciem Czartoryskim, jako jedną z głównych przyczyn przedłużania się powstania, oraz dokładniej określić powody istotne jego trwania.

Odepchnięcie w sposób niemal szyderczy wszystkich życzeń mocarstw; obraźliwa zwłaszcza dla cesarza Napoleona odpowiedź ks. Gorczakowa; były dla nas wskazówkami pocieszającemi, że się rozprawa zaostrza, że rozjątrzając się coraz bardziej, przyjdzie—jak w życiu prywatnem—ze słów do czynów.

Widoki te zdawały się tembardziej uzasadnionemi, że zaraz po nadejściu odpowiedzi rosyjskiej już 19 Lipca hr. Rechberg w depeszach do ks. Metternicha w Paryżu i hr. Appony w Londynie, wyzwalał się ze sideł zastawionych mu przez ks. Gorczakowa, odpychał myśl narad w sprawach polskich trzech rozbiorowych mocarstw i dodawał: „że między trzema gabinetami, wiedeńskim, londyńskim i paryskim ułożone zjednoczenie, tworzy węzeł, z którego Austrya nie może się teraz wyłączyć, aby się oddzielnie z Rosyą układać.“

Czekaliśmy zatem na następstwa owego węzła, owego związku; czekaliśmy na to, co postanowią i co powiedzą trzy gabinety, wobec niemal niepamiętnych śmiałością i bezwzględnością depesz ks. Gorczakowa. Bezstronny sędzia przyzna, że byliśmy wedle wszelkich zasad loiki, a nawet polityki, która nie zawsze rządzi się loiką, uprawnieni, czekać i oczekiwać skutków tak dalece już rozognionej dyplomatycznej kontrowersyi, prowadzonej wobec krwawej w Polsce walki.

Ks. Gorczakow 27-go Lipca może zaniepokojony wrażeniem jakie wywołać mógł i powinien był ton wyniosły jego odpowiedzi na ostatnie noty trzech mocarstw i sześć punktów, spróbował je osłabić, łagodniejszą nierównie w formie depeszą do barona Knorringa zastępującego w Wiedniu posła Bałabina i w niej napomknął o rozwiązaniu odpowiadającem „rozsądnym życzeniom Polaków i troskliwości, jaką okazuje Europa około spokojności owych okolic.“

Journal de St. Petersbourg z 6 Sierpnia umieścił depeszę ks. Gorczakowa do barona Budberga ambasadora w Paryżu, jako odpowiedź na ocenienie depeszy z 13 Lipca ze strony Drouyn de Lhuys, także w formie mniej ostrą niż depesza z 13 Lipca, chociaż obstającą przy odmowie wszystkich życzeń mocarstw, a która się kończyła słowy: „W depeszy z 13 Lipca nie leży ani ironia, ani wyzwanie, ale tylko uczucie obrażonej godności. Musieliśmy uwzględniać uczucie narodowe rosyjskie, które staramy się uspokajać. Zadanie nasze byłoby trudnem, gdyby Francya miała zapoznać to, co nam koniecznie nakazują tradycye i interesa żywotne państwa, tudzież zrosłe z niemi uczucia ludu.“

Tak zatem ks. Gorczaków coraz wyraźniej odwoływał się do miłości własnej, do namiętności narodu rosyjskiego, a podczas gdy pragnął oszczędzać Austryę i łagodzić ton względem niej twardo stawał wobec Francyi i cesarza Napoleona.

Po długiem oczekiwaniu, które w znanych warunkach nierównie dłuższem się wydawało, mocarstwa w pierwszej połowie Sierpnia odpowiedziały na depesze rosyjskie z pierwszej połowy Lipca. Wysłały do Petersburga noty, w których zrzucały „na Rosyą odpowiedzialność za następstwa przedłużenia niepokojów w Polsce.“ Ks. Gorczakow depeszą z 7 Września, raptem przyjął odpowiedzialność rzuconą na Rosyę przez trzy mocarstwa, oświadczył, iż niechce przedłużać dyskusyi i zamknął ją ostatecznie.

Na tem skończyła się korespondencya dyplomatyczna trzech mocarstw z Rosyą w sprawie polskiej, która miała być punktem wyjścia do ich w niej działania, a która bezowocnie przedłużyła bezrozumną samą przez się, krwawą, niszczącą w teraźniejszości, niweczącą przyszłość, walkę w Polsce, stała się srogiego zawodu przyczyną i pozostała w dziejach pomnikiem wyjątkowej, upokarzającej porażki dyplomatycznej trzech wielkich i potężnych mocastw.

Nie skończyły się przecież z tem zamknięciem korespondencyi, różne jeszcze kombinacye i usiłowania, podniesienia sprawy polskiej, które stały się powodem przedłużenia powstania do wiosny 1864 r., co pogłębiło przepaść, w którą naród polski dobrowolnie był wskoczył, powstaniem styczniowem 1863 r.

Tymczasem na wielkiej widowni świata zaszedł był wypadek, który w innym kierunku miał także zawodne obudzić nadzieje i doprowadzić do mniej srogiej lecz dla Europy donioślejszej katastrofy.

Cesarz Franciszek-Józef zjechał się 2 i 3 Sierpnia w Gastein z królem pruskim Wilhelmem, przedłożył mu powody zachowania się Austryi w sprawie polskiej, i zaznaczył jej związek z zachodniemi mocarstwami, jako pokojowy; zawiadomił go zarazem o zamiarze zawezwania książąt Rzeszy niemieckiej, na zjazd do Frankfurtu w celu omówienia pożądanych w ustawach Rzeszy zmian. Król pruski nie zgodził się z tą myślą. Pomimo tego, cesarz austryacki wręczył za pośrednictwem adjutanta 3 Sierpnia królowi zaproszenie na zjazd w Frankfurcie 16 Sierpnia.

Cesarz Franciszek-Józef wjechał do Frankfurtu 14 Sierpnia, przyjęty z oznakami uniesień patryotyzmu niemieckiego, otoczony wszystkimi książętami Rzeszy, z wyjątkiem króla pruskiego, który nie przybył. Cesarz przewodniczył obradom nad zmianami w urządzeniach Rzeszy, które do żadnych istotnych nie doprowadziły skutków, a stały się punktem wyjścia zmian innych, nierównie dalej sięgających i mających zapewnić nie Austryi ale Prusom już nie przewagę, ale wyłączne w Niemczech panowanie.

Pamiętny ten zjazd dał nam także powód do rachób dowolnych, opartych na niejasnych, mglistych kombinacyach. Coraz bardziej znikały z przed naszych oczów kontury sprawy polskiej, coraz bardziej przemieniały się w *fata morgana*, które znowu wywoływały nużące i zawodne gonienie za przywidzeniami, za marą!

Wogóle jednak nie wiele oczekiwano i nic dobrego nie wróżono z tego zjazdu dla sprawy polskiej, już dlatego, że pod wpływem *napoleonizmu* jeszcze górującego nad wszystkiem, sądzono go w *Hotelu Lambert* i w kraju, wedle złego wrażenia, jakie wywołał w Paryżu i w otoczeniu cesarza Napoleona. Miał on zresztą to ujemne na owe czasy następstwo, iż chwilowo, odwrócił uwagę świata politycznego, dziennikarstwa i publiczności, od wypadków w Polsce.

Już po otrzymaniu wiadomości, iż w Gastein, pomimo nacisku ze strony Prus, Austrya nie chciała zmienić swojego w sprawie polskiej stanowiska i odłączyć się od mocarstw zachodnich, gabinet paryski zwrócił się był do ambasadora w Wiedniu księcia Gramont, z poleceniem zażądania bardziej stanowczego wobec wypadków polskich działania. Zjazd frankfurcki dozwolił gabinetowi wiedeńskiemu ociągnąć się z odpowiedzią na to wezwanie; gdy przecież nie powiódł się, zarazem dotknął cesarza Napoleona, gdy jednocześnie półurzędowe dzienniki francuskie poczęły napomykać o możności porozumienia się Francyi z Rosyą i Prusami, nie omieszkało to podziałać na Austryę i gabinet wiedeński znowu okazał, tym razem, dość żywą chęć, zbliżenia się do Francyi. Hrabia Rechberg zaczął *proprio motu* mówić o potrzebie czegoś stanowczego w sprawie polskiej a naczelnik rządu cywilnego w Krakowie, Merkel, otrzymał we Wrześniu, rozkaz przerwania dotąd dość ścisłych z policyą rosyjską i jej ajentami stosunków.

Dobiegaliśmy do jesieni 1863 r. w tym stanie opłakanym, w którym już ani cofnąć się, ani naprawić

błędu i pomyłki nie można było, ani też zwrotu pomyślnego i zbawienia dostrzedz, w którym z każdego zawodu przychodziło wytwarzać sobie nową złudną nadzieję.

Stan rzeczy w Galicyi ułatwiał jeszcze zasycanie i przeciąganie zbrojnej demonstracyi, która służyła do przedłużania owego psychologicznego procesu, zawodów rodzących nadzieje, a przeszkadzała zaniechaniu walki, już nie politycznie, ale ekonomicznie i społecznie szkodliwej, zgubnej dla kraju.

Wprawdzie, pomimo zupełnie innych stosunków w W. Ks. Poznańskiem, nie mogły władze pruskie przeszkodzić wkraczaniu oddziałów do *Królestwa Polskiego*, mianowicie pod dowództwem Taczanowskiego. Przecież istotną podstawą tak w początkach powstania, jak teraz, demonstracyi zbrojnej, była i pozostała Galicya. Lecz i ztąd już coraz mniej wychodziło oddziałów; w Sierpniu jeden znaczniejszy wkroczył do *Królestwa* pod dowództwem Taniewskiego. Jan Popiel (Chościakiewicz) powtórnie wszedł do *Królestwa* na czele mniejszego zastępu.

Doszła nas z Paryża wiadomość, iż pojawiła się myśl, prowadząca w następstwie do uznania przez mocarstwa powstania, za stronę wojującą i polecenie, aby o to uznanie upominać się

Niejasnym był praktyczny cel takiego dyplomatyczno-platonicznego kroku, takiej akademickiej sankcyi danej dogorywającej w *Królestwie Polskiem* partyzantce. Mówiono przecież, że uznanie powstania za stronę wojującą, obrazi Rosyę, i zdoła ją pokłócić z mocarstwami, i znowu dodawano, że ztąd wyniknąć mogą zawi-

kłania. Było to nowe złudzenie optyczne na puszczy naszych rachub; lecz nie pozostawało jak i jemu uledz dla uniknięcia zupełnego zwątpienia. Podobne przymusowe położenie, wytworzyć mogło, tylko do tego stopnia bezmyślne przedsięwzięcie, jakiem było powstanie polskie 1863 r.

Rozpoczęliśmy na całej linii, zwłaszcza w *Czasie*, kampanię za uznaniem powstania stroną wojującą. O ile rzecz poważnie była podjętą przez dyplomacyę trzech mocarstw, nie wiedzieliśmy dokładnie. Początkiem jej była oddawna przez jenerała Władysława Zamoyskiego pieszczona myśl, odsądzenia Rosyi, wskutek niedotrzymania przez nią warunków traktatu wiedeńskiego, od prawa posiadania Polski. Po długich i mozolnych rozmowach z ministrami angielskimi i wytrwałych naleganiach, których jenerał Zamoyski posiadał tajemnicę, udało mu się przekonać lorda J. Russella; przyjął on za swój ten punkt widzenia, który może dlatego mu się spodobał, że był akademickim i 29-go Września w Blairgowrie wypowiedział mowę, w której oświadczył, że Austrya i Prusy dopełniły, Rosya nie dopełniła warunków traktatn wiedeńskiego, że zatem utraciła prawa swoje do posiadania Polski.

W skutku odsądzenia Rosyi od prawa posiadania Polski, miało samo przez się, nastąpić uznanie powstania za stronę wojującą, już na wiosnę, usilnie popierane przez ks. Czartoryskiego. Jenerał Zamoyski przypuszczał, że Austrya wskutek odsądzenia Rosyi — do czego i ją także lord J. Russell zawezwał — zajmie *Królestwo Polskie*.

Doszły nas wieści, że Anglia, która najbezpieczniej mogła do takiego posunąć się kroku i zachować mu charakter akademicki, postanowiła pierwsza, po odsądzeniu Rosyi od praw do Polski, uznać powstanie za stronę wojującą. Rozeszła się niebawem wiadomość, iż gabinet londyński osobnym kuryerem, wysłał do Petersburga notę z zawiadomieniem, iż odsądza Rosyę od praw do Polski. Niemal jednak jednocześnie dowiedziano się, że lord J. Russell zatrzymał w drodze kuryera i cofnął notę.

Cofnięcie noty przypisywano obawie, iż uznanie przez Anglię powstania za stronę wojującą, pociągnie za sobą uznanie takie samo ze strony Francyi, coby mogło wywołać między nią a Prusami, związanemi z Rosyą konwencyą, wojnę, w której pierwsza pozostałaby zwyciężką i posunęła swoje granice do Renu. Gabinet angielski, lordowie Palmerston i Russell, opanowani byli wówczas obawą przed potęgą i wpływem Napoleona III, ta obawa była sprężyną wszelkiego ich działania, całej polityki zewnętrznej. Do zbyt licznych rzeczywistych zawodów, przyszło doliczyć jeszcze jeden platoniczny.

Przepaść, w jaką powstanie wtrąciło ostatecznie sprawę polską, coraz widoczniej odrysowywała się przed oczami ludzi dobrej wiary i miłujących ojczyznę. Coraz wyraźnie okazywała się niemożność wydobycia z niej narodu i kraju za pomocą zagranicznej interwencyi, bezsilność zawiązanego w tym celu towarzystwa ratunkowego.

Wtedy najcelniejsze umysły chwyciły się, jak deski zbawienia, myśli, która gdyby była powstała

z samego początku, zwłaszcza, gdyby się była stała podstawą układów między mocarstwami, byłaby może nadała inny wypadkom obrót.

Adam Potocki, ks. Leon Sapieha, kilku posłów polskich do Rady Państwa wiedeńskiej, działać poczęli w tym kierunku, aby nakłonić Austryę do zajęcia wojskowo *Królestwa Polskiego* w celu następnie przyłączenia go do monarchii Habsburgów. Jednocześnie ukazała się broszura napisana po polsku i francusku, przez znakomitego obywatela W. Ks. Poznańskiego, Cegielskiego, która w świetny sposób rozwijała i wymownie popierała tę myśl. Nieomieszkaliśmy jak najsilniej przemawiać w tym duchu w *Czasie*. Teraz dopiero rozwiązanie sprawy polskiej, nabierało kształtu, na czem od początku zbywało mu; teraz dopiero pojawiało się praktyczne zakończenie wypadków 1863 r. Za późno jednak i był to głos wołającego na puszczy. Na naleganie w Wiedniu ks. Leona Sapiehy, powiedziano: „Jakże może ks. Sapieha przypuścić, abyśmy się zgodzili pójść za przykładem Wiktora Emanuela.“

Myśl może zbawcza dla stron obu, nie została ani przyjętą ani wykonaną; nie pozostała nawet myślą przyszłości. Gdyby się była stała treścią misyi ks. Metternicha, przypuścić wolno, iż nie byłaby odrzuconą bezwzględnie.

We wrogich dla polskiego narodu zamiarach myśl podobną piastował i dwa razy, na początku oraz przy końcu wypadków, zdradził się z nią Bismark. On pragnął zajęcia *Królestwa* przez wojska pruskie, on pieścił się z zamiarem przyłączenia *Królestwa* lub części jego do Prus.

Już światu było wiadomem, że w początkach 1863 r. Bismark w rozmowie z wice-prezesem sejmu pruskiego, wskazał był możność powiększenia się Prus w kierunku ostatniego rozbioru. Pod koniec wypadków zwrócił się do obywateli polskich w Kaliskiem przez Keudla, aby wywołać ze strony polskiej żądanie okupacyi pruskiej. Znany i poważany obywatel Kłobukowski, chciał zbadać, jakie istotne pod tą myślą ukrywają się zamiary. Ks. Czartoryski był także tajemnie przez Bismarka w tej mierze nagabywany.

Spotkałem się w owym czasie z Traugutem, wysłanym w końcu Lipca przez *Rząd Narodowy* za granicę, jako nadzwyczajny komisarz; wracał czy ze Lwowa, czy z Paryża, nie pomnę, spieszył do Warszawy, wezwany do objęcia kierownictwa *Rządu Narodowego*, w którym żywioły, tak nazwane skrajne i demagogiczne, groziły, że wezmą ostatecznie górę. Pamiętam, że uderzyła mnie brzydota fizyczna Traugута, było w nim coś z niedoperza i w czasach jawności, brzydota ta byłaby mu szkodziła; lecz silna wola i niezwykła energia były widoczne, dobra wiara, którą się czuło w nim, obudzała zaufanie; rozumiał i oceniał położenie czerstwo, po męsku, bez złudzeń, tylko w obcej pomocy upatrywał możność powodzenia, jako wojskowy, nie widział jego warunków w powstaniu; przedłużanie takowego poczytywał tylko jako środek wywołania obcej pomocy, a chociaż jej widoki były coraz słabsze, równie jak my mniemał, że skoro się tak daleko zaszło, nie podobna było nie wyzyskać ich do końca. W rozmowie przedstawiłem mu niebezpieczeństwa i szkodę, jaką przewaga skrajnych w *Rządzie Narodowym* pociągnę-

łaby za sobą, zwłaszcza wobec zagranicy. Zdawał się być o tem jak najsilniej przeświadczony i pragnął wszystko uczynić, aby temu zapobiedz. Jakoż powiodło mu się. Wkońcu, jako członek *Rządu Narodowego*, ostatniego, miał siedzibę w Warszawie, i o ile wiem, powieszonym został przez władze rosyjskie, na stokach cytadeli warszawskiej.

W Warszawie wobec coraz widoczniejszego niepowodzenia ogólnego, zwłaszcza interwencyi, zaczęło się podkopywanie *Rządu Narodowego* z odcienia Ruprechta, przez skrajniejszych. Znowu teroryści twierdzili, że oni jedni posiadają słowo zagadki i środki zbawienia sprawy. Siedemnastego Września *Rząd Narodowy*, istniejący od Czerwca, uległ już nie wewnętrznemu przekształceniu, ale zamachowi stanu, wobec którego ustąpić musiał. Powstał nowy *Rząd Narodowy* terorystyczny, jak mówiono złożony z Chmielińskiego, Narzymskiego później komedyopisarza, oraz z młodych ludzi, przybyłych lub zawezwanych z zagranicy. Rząd ten gwałtem przywłaszczył sobie *pieczątki*. Morderstwa polityczne z jego powstaniem wzmogły się. Wreszcie 19-go Września urządził zamach na hr. Berga.

Rząd rosyjski, który w niepojęty i dotąd niewytłómaczony sposób, okazał się był bezwładnym wobec ruchu i powstania, teraz zaczął się brać do rzeczy energiczniej. Feldmarszałek Berg nietylko sprężyściej począł prowadzić walkę z oddziałami powstańczemi, ale także w Warszawie sięgał żelazną ręką aż do *Rządu Narodowego*.

Występować teraz poczęły objawy towarzyszące zwykle dogorywaniu każdej rewolucyi, każdego powsta-

nia, zamięszanie zupełne pojęć i czynów, nieład i rozkład, sprzeczne działania, rozpaczliwe pomysły niewykonalne i nie wykonane, zwiastuny upadku i końca, które tu były względnym ratunkiem.

Odbijało się to i na Galicyi. Ów najskrajniejszy i najszaleńszy *Rząd Narodowy*, żądał zupełnego poddania się jej, a teroryzm jego nie był wolny od dziecinnych i drobiazgowych pomysłów; między innemi przysłał wzór mundurów dla narodowej służby cywilnej w Galicyi; żądał równocześnie, aby go ztąd zasłaniać i bronić. Temu wszystkiemu przyszło się oprzeć jak najstanowczej; te żądania, te spory i widocznie coraz gorszy stan sprawy, pod względem obcej skutecznej pomocy, na której my oparliśmy byli nasz współudział, czyniły życie nieznośnem, ciężkiem; tem sroższem, że już mogliśmy zmierzyć rozmiary błędu popełnionego nie przez powstanie, ale przez dane mu poparcie.

Dawniej, jak wiadomo, rozpoczęta i wciąż prawie trwająca walka o kompetencyę *Rządu Narodowego*, co do Galicyi, zaostrzyła się. Teraz w niej główną rolę odegrał Ludwik Wodzicki; z wielką siłą i stanowczością oparł się zgubnym, bezrozumnym zachciankom, narażenia Galicyi i zwichnięcia sprawy wobec, wprawdzie wątłych już, lecz jedynych nadziei, obcego poparcia. Zapewne to męskie postępowanie stało się powodem skazania go na śmierć. Dowiedziawszy się o tem, dokładnie nie wiedzieliśmy, przez kogo, przez jaki tajny trybunał. Wyroki te bowiem nieraz krzyżowały się, niemniej stwarzały istotne niebezpieczeństwo.

Walka o kompetencyę *Rządu narodowego* co do Galicyi, zakończyła się nieco później, dzięki stanowczości Wodzickiego, zgodnie z naszem zapatrywaniem i zdrowym rozsądkiem. O ile przypominam sobie, po nowej znowu zmianie w *Rządzie Narodowym*, stanął polubowny układ i nastąpiło uchwalenie warunków oraz granic zakresu władzy; spisanego nic nie było.

Zmianę w *Rządzie Narodowym* sprowadził w połowie Października Traugut; postąpił sobie po powrocie z zagranicy, energicznie, stanowczo w duchu i kierunku, które uznawał, w rozmowie ze mną, za potrzebne. Usunął *Rząd Narodowy* terorystyczny, powstały we Wrześniu; utworzył inny, sam stanął na jego czele. Tak powstały *Rząd Narodowy* doniósł natychmiast ks. Czartoryskiemu o zaszłych w jego łonie przewrotach. Podług jego raportu, jacyś niepowołani a bardzo skrajni, nie myślący jedynie o sprawie narodowej, ale także o rewolucyi socyalnej, wcisnęli się byli do *Rzadu Narodowego*, opanowali go gwałtownie i przywłaszczyli sobie *pieczątkę*. Ten *Rząd Narodowy* powstały w skutku gwałtu, ogłosił, że bierze odpowiedzialność za zamach na Berga. „Teraz, mowi rapot, donieść możemy, że udało się wyprzeć z łona *Rządu Narodowego* owych niepowołanych, że wielkie niebezpieczeństwo, które groziło, już zażegnane, i że znowu *Rząd Narodowy* idzie w tym samym kierunku, co dawniej.“

Powstanie *Rządu Narodowego* z Traugutem na czele, nastąpiło 17 Października. Trwał on do końca wypadków, do połowy Kwietnia 1864 r., kiedy został odkryty i aresztowany.

Teroryści, usunięci przez Trauguta, urządzili na wzór dawnych szlacheckich konfederacyi, tajną, wymierzoną przeciw jego władzy; konfederacya ta poczęła krzyżować się z *Rządem Narodowym*, próbowała nieraz, albo zająć jego miejsce, albo samozwawczo występować, co w ciemnościach tajnego działania nie trudnem było. Przyszło nam z nią później rozprawić się, co do Galicyi.

Wśród tych ciemności wciąż pojawiała się, raz błyszcząca całym blaskiem tradycyi i praktyk spiskowych, to znowu przyćmiona postać, niemal fatasmagoryczna, rzeczywiście zawsze szkodliwa, kiedy nie była katastroficzną, Mierosławskiego. Od początku wypadków, stosownie do przeważającego prądu, Mierosławski był przez zmieniające się *Rządy Narodowe* używany, lub odsuwany, lecz zawsze liczono się z nim. Kiedy przeważyły widoki pomocy mocarstw, Mierosławskiego, którego samo nazwisko nadawało ruchowi znamię ogólno-rewolucyjne, czego tak bardzo nakazywano nam z Paryża wystrzegać się, chowano, że tak powiem, do lochu, z którego przecież zawsze wyglądał i nieraz wydobyć się potrafił. Kiedy słabły nadzieje obcej pomocy, czyniąc zadość skrajnym żądaniom w spisku, wyprowadzano na widownię Mierosławskiego i obdarzono go jakąś szumną godnością, jakąś mniej lub więcej urojoną władzą. Tak się stało ku naszemu niemałemu zdziwieniu a niemniejszemu kłopotowi *Hotelu Lambert* w połowie Sierpnia, za władzy względnie umiarkowanego i roztropniejszego od innych *Rządu Narodowego*, który mianował Mierosławskiego „jeneralnym organizatorem wojsk polskich.“ W drugiej poło-

wie Października 1863 r., August Gorayski otrzymał polecenie od komisarza *Rządu Narodowego* w Krakowie, żeby się udał do Liège, gdzie podówczas mieszkał jenerał Mierosławski, i doręczył mu pismo tegoż Rządu. Zażądał instrukcyi — szczegółowej nie dano mu, o treści pisma nie był zawiadomiony, nie wskazano nawet, w jaki sposób pismo ma być doręczone, czy przy świadkach, czy ma żądać potwierdzenia odbioru. Ostrzeżono go, iż spełnienie tego zadania jest dosyć trudne i niebezpieczne, gdyż jenerał Mierosławski nie dopuszcza nikogo do siebie, otacza się pod względem pomieszkania swego tajemnicą, ma adjutantów czy sekretarzy, którzy nie przebierają w środkach z tymi, którzy im nie są na rękę. Zalecono tylko, żeby pismo oddał tak, iżby miał sumienne przeświadczenie o tem, że doszło rąk jenerała. Dodano wreszcie, iż należałoby usunąć się czemprędzej z Liège, nawet wsiąść na kolej na innej stacyi.

Przybywszy do Liège i wysiadłszy w Hotelu, posłał Gorayski wywiedzieć się o mieszkaniu jenerała Mierosławskiego. Po godzinie powrócił posłaniec, oświadczając, że mieszkania jenerała odszukać nie mógł, ale że ma znajomą jenerałową polską, do której poszedł, i ta mu powiedziała, że jest przyjaciółką Mierosławskiego, że właśnie tego dnia wieczorem będzie u niej. Udał się więc zaraz Gorayski do tej jenerałowej, której nazwiska ani wtenczas, ani potem dowiedzieć się nie mógł, powiedział jej, iż proszono go o oddanie listu jenerałowi Mierosławskiemu; że jednak o jego mieszkaniu trudno się dowiedzieć, a słyszał, jakoby dzisiaj wieczorem miał być u niej, więc ośmiela się

prosić, czy nie byłaby tak dobrą ów list mu doręczyć. Zgodziła się na to najchętniej, bez zapytania zkąd jest list i kto go powierzył, z czego był Gorayski bardzo zadowolony. Gdyby bowiem Mierosławski był powziął najlżejsze podejrzenie, co list zawiera, nie wątpliwieby go nie przyjął. Tymczasem tym dziwnym zbiegiem okoliczności może dla tego właśnie, iż nie miał Gorayski żadnej zkądkolwiek pomocy, że wszystko cicho i niespodziewanie się stało, rzecz miała pozór tak niewinny, nie wzbudzający najmniejszej obawy podstępu, iż mógł być pewny pożądanego skutku.

Późniejsze doniesienia stwierdziły, iż Mierosławski tego samego wieczora otrzymał to pismo z rąk owej jenerałowej i nie mogąc powstrzymać swego uniesienia, odczytał je zaraz głośno w obecności kilku osób, tak, iż nie mógł się go zaprzeć. Pismo zawierało dymisyę jenerała z zajmowanego przezeń stanowiska w organizacyi narodowej, z zagrożeniem kary śmierci, gdyby zawartych w niem poleceń natychmiast nie wykonał.

Traugut i jego rząd, ogłosili dymisyę Mierosławskiego z owej władzy, której wcale nie wykonywał, 8 Listopada.

Władze austryackie poczęły uzbrajać się w Galicyi w spóźnioną, wobec pomocniczej powstania organizacyi, surowość. Namiestnik hr. Mensdorff, czy dla poratowania zdrowia, czy dla usunięcia się ze stanowiska, na którem nie miłemi mu były pozory dwuznaczności, zażądał był urlopu. Zastąpił go chwilowo komenderujący w Krakowie jenerał Bamberg. Teraz powrócił hr. Mensdorff do Lwowa z poleceniem bardziej

stanowczego postępowania z pomocą niesioną z Galicyi powstaniu. Rozpoczęły się rewizye, dakonywane z mniejszą nierównie niż dotąd dobrodusznością i aresztowania. Stanisław Tarnowski i kilku innych, uwięzionych zostało w Krakowie.

W protokółach spisywanych z nazwiskami przez Elżanowskiego znalezionych u niego, znajdowało się nazwisko *Tarnowski* bez imienia. Był to Jan Tarnowski z Chorzelowa, który kilka oddziałów przeprowadził do Królestwa, i jak wiadomo, do komitetu zachodniej Galicyi należał. Jak policya wyczytała Tarnowski, zadała sobie pytanie — który? Brat Stanisława, Jan późniejszy marszałek, ubolewając nad wszystkiem co się działo, nie ruszał się z domu, z Dzikowa; Jan z Chorzelowa, zajęty wyprawianiem oddziałów, nie często ukazywał się w Krakowie; Stanisław od Marca przebywał z nami prawie ciągle w Krakowie. Po dość długiem namyśle, wobec zaostrzonych instrukcyj, policya wpadła na domysł, że on jest owym Tarnowskim, zapisanym w protokóle Elżanowskiego. Odbyła u niego rewizyę w nocy z 30 Września na 1 Października; zastała dużo dzienników i papierów, mundur pruski Ludwika Mycielskiego, zostawiony, kiedy ten wyszedł z oddziałem, nareszcie jakiś raport z obwodu Sandeckiego przesłany do Ludwika Wodzickiego — który był na jeden dzień na wieś wyjechał — bez wymienienia jego nazwiska. Inne papiery zdołał Tarnowski spalić. Pieczątki, odziedziczone po Baumie, leżały na stole, w szczotkach od włosów i tam ich nie szukano. Mundur, gazety i raport, wystarczyły w procesie, jako dowody. Stanisław Tarnowski wywiezionym został do

Lwowa w Kwietniu 1864 r., potem osadzony w kazamatach w Ołomońcu, przebył ciężkie więzienie, jak mogłem się przekonać, odwiedziwszy go na wiosnę 1865 r. Tak był znękany obrotem, jaki brały wypadki, że więzienie poczytał był za moralne wyzwolenie.

Ludwik Wodzicki, nierównie później, dopiero w Lutym 1864, musiał dla uniknięcia aresztowania, wydalić się na Bobrek za granicę pruską, i udał się do Anglii.

Mnie prawdopodobnie zasłoniła ta okoliczność, iż należałem do redakcyi *Czasu*, co tłómaczyło bardzo liczną korespondencyę, telegramy które posyłałem i odbierałem, udział w bieżących wypadkach. Wytoczono mi proces za artykuły *Czasu* o zdradę stanu, broniłem się sam wobec sądu, dowodząc, że zachowanie się *Czasu* odpowiedniem było polityce rządu austryackiego i zgodne z interesami Austryi. Skazany na trzechmiesięczne więzienie, odsiedziałem je wraz z kolegą Antonim Kłobukowskim w Krakowie w początkach 1865 r.

Józef Szujski uniknął aresztowania.

We Lwowie aresztowano kolejno członków komitetu wschodniej Galicyi.

Nie położyło to końca, ani istnieniu komitetów w Galicyi, ani wspieraniu zbrojnej w *Królestwie Polskiem* demonstracyi. Twierdzono bowiem z Paryża i tego samego zdania był rząd francuski, że potrzebną jest jeszcze, dla nawiązania nowego działania mocarstw w sprawie polskiej. Jakby dla dodania otuchy, *Monitor* 22 Września powtórzył był, jak powiedziałem, memoryał *Rządu Narodowego* z 15 Sierpnia. Tego samego dnia, nie dla zamknięcia sprawy, mówiono nam,

lecz dla rozpoczęcia nowej w niej epoki; minister francuski spraw zewnętrznych, Drouyn de Lhuys, wysłał był cyrkularz do agentów zagranicą, w którym oświadczył, że Francya zrzeka się nadal inicyatywy w sprawie polskiej, obstając za tem, że jest ona interesem europejskim.

W. ks. Konstanty, który 8 Września wyjechał był z Warszawy, przybył do Wiednia z żądaniem lepszego pilnowania granicy przez władze austryackie w Galicyi, oraz oświadczenia gabinetu wiedeńskiego, że się zadawalnia odpowiedzią ks. Gorczakowa z 7 Września. Misya ta W. księcia, nie odniosła na razie skutku. Lord J. Russell tymczasem zamieniał 20 Października deklaracyę, odsądzającą Rosyę od prawa Polski, wstrzymaną telegrafem, na depeszę do ambasadora w Petersburgu, zamykającą sprawę polską oświadczeniem zadowolnienia z dobrych zamiarów cara względem Polaków i pojednawczości względem mocarstw. Wtedy hr. Rechberg w depeszy do hr. Thuna spróbował zbliżenia się do Rosyi. Drouyn de Lhuys, dowiedziawszy się o tym zwrocie Austryi ku Rosyi, wystosował depeszę do ambasadora francuskiego w Wiedniu, ks. Gramont, w której zażądał raz jeszcze, aby Austrya oświadczyła się w sprawie polskiej i ponowił obietnicę wszelkich możliwych rękojmi. Dostaliśmy wtedy z Wiednia wskazówki, iż znowu pod naciskiem Francyi, chwiać się poczęły postanowienia gabinetu wiedeńskiego, że nastąpił pomyślny zwrot wobec sprawy polskiej.

Dnia 31 Października, znanym listem z Liwadyi, cesarz Aleksander II uwolnił W. księcia Konstantego

z obowiązków Namiestnika *Królestwa Polskiego* z zastrzeżeniem użycia go w stosownej porze.

Wreszcie 5 Listopada cesarz Napoleon przy otwarciu sesyi ustawodawczej wystąpił z myślą kongresu, i odnośne wezwanie rząd jego rozesłał do mocarstw:

Ustęp dotyczący sprawy polskiej, streszczał zachowanie się w niej cesarza i brzmiał:

„Sprawa polska wymaga dłuższego wyłuszczenia. Gdy powstanie w Polsce wybuchło, były rządy rosyjski i francuski w najlepszych stosunkach; Od czasu zawarcia pokoju, wielkie sprawy europejskie znajdowały je w porozumieniu, i nie waham się oświadczyć, że podczas wcielenia hrabstwa Nicei i Sabaudyi, cesarz Aleksander użyczał mi najszczerszej i najserdeczniejszej pomocy. Dobre to porozumienie wymagało względności, i musiałem uznać sprawę polską za nader popularną we Francyi, aby się nie wahać narazić jedno z najpierwszych przymierzy na stałym lądzie, i podnieść głos na rzecz narodu, który w oczach Rosyi, jest zbuntowanym, ale w naszych oczach, jest spadkobiercą prawa zapisanego w historyi i traktatach.

„Niemniej sprawa ta dotykała najważniejszych interesów europejskich; Francya nie mogła się nią w odosobnieniu zajmować. Obraza honoru naszego i zagrożenie naszym granicom, wkładają na nas jedynie, obowiązek działania bez poprzedniego porozumienia. Okazała się przeto potrzeba, abyśmy jak w czasie wypadków na Wschodzie i w Syryi, porozumieli się z mocarstwami, które równie jak my miały powody i prawa wypowiedzenia swojego zdania. Powstanie polskie, któremu trwanie jego nadało charakter narodowy,

obudziło wszędzie sympatye, a celem dyplomacyi było, zjednać tej sprawie o ile można przychylność, aby na Rosyę wywrzeć nacisk, całym ciężarem opinii europejskiej. To jednomyślne prawie współdziałanie życzeń, wydawało nam się najstosowniejszym środkiem, aby na gabinet petersburski przekonywująco wpłynąć.

„Na nieszczęście wykładano nasze bezinteresowne rady, jako zamiar wywarcia przestrachu, a kroki Austryi, Anglii i Francyi, zamiast walce kres położyć, rozdrażniły ją jeszcze. Z obu stron popełniono nadużycia, nad któremi w imię ludzkości równie ubolewać należy. Cóż więc pozostaje uczynić? Czyż ograniczeni jesteśmy do alternatywy wojny, lub milczenia? Nie! Nie chwytając za oręż, ani milcząc, pozostaje nam środek: to jest przedłożyć sprawę polską trybunałowi europejskiemu.“

Dalej oświadczywszy, że „traktaty 1815 r. przestały istnieć,“ cesarz parafrazując wyrażenie *Memoryału Rządu Narodowego* z 15 Sierpnia do ks. Czartoryskiego, dodawał: „Rosya depce je nogami w Warszawie,“ i kończył słowy odnoszącemi się do ogólnego położenia: „Dwie drogi stoją otworem: jedna prowadzi do postępu przez pojednanie i pokój, druga prowadzi, na nieszczęście do wojny, przez upór w podtrzymywaniu walącej się przeszłości.“

Widocznem było, że cesarz szukał wyjścia dla siebie ze sprawy polskiej, bez wiary w praktyczne powodzenie. Odmowa mocarstw i nieprzyjście do skutku kongresu, łatwemi były do przewidzenia. Było to ukoronowaniem błędów w sprawie polskiej. Było to odsłonięciem, własnej w niej słabości, zgubnego systemu działania, wyłącznie dyplomatycznego i platonicznego.

Do unicestwienia tego działania przyczyniała się wyprawa meksykańska, która pewną część sił wojskowych Francyi uwięziła, najpierw wojną, teraz okupacyą na rzecz przyszłego cesarza, z czego Rosya wnosić mogła, że po za wdaniem się dyplomatycznem nie ma ani zamiaru, ani możności poparcia go czynnie. Nasze złudzenia były tak wielkie, raczej przymusowe, iż w końcu nie zwracaliśmy już uwagi na ową krępującą Francyę wyprawę do Meksyku, wiara w jej siłę i w potęgę Napoleona III była tak nieograniczoną, że nie przypuszczaliśmy, aby ta wyprawa ostatecznie przeszkodzić mogła niesieniu Polsce pomocy. Przecież z początku czuliśmy, że Meksyk krępuje europejską politykę cesarza, że już z tego względu powstanie było co najmniej nie w porę wybuchło. Teraz byliśmy dotknięci ślepotą, wśród naszej po pustyni wędrówce.

Wobec podniesionej przez Napoleona III myśli kongresu, nie pozostało nam znowu jak uczepić się nadziei, że odmowy znieść nie będzie mógł cesarz, że będzie zanadto wielką dla niego porażką; aby nie powstały zawikłania; wśród których, coś z rozbicia naszego okrętu, uratować się da. Listy z Paryża, nie kazały się łudzić co do pomyślnego obrotu sprawy kongresu, nie upatrywały w nim zbawczego środka, ale nie wykluczały dalszych korzystnych dla nas zawikłań.

Mocarstwa odpowiedziały na życzenie kongresu, jedne oględnie, inne szorstko; wszystkie, prócz Prus, odmownie.

Nieprzyjście do skutku kongresu, uroczyście zapowiedzianego przez Napoleona III, było ostatnią porażką jego polityki w sprawie polskiej a pierwszym sta-

nowczym ciosem zadanym jego urokowi, wpływowi i nieomylności. Odsłoniętą została słabość jego systemu narodowóści, jego w nim niemoc. Zagadka sfinksa była odgadnioną, szło o to, kiedy wrzuci się w przepaść. Miało to nastąpić w siedem lat później. Zasadę narodowości przywłaszczyły sobie w swoich celach Prusy; przeprowadzać ją poczęły w Holsztynie i Szlezwigu. Bismark wywieszał ją dla dokonania jedności niemieckiej—zwracał ją przeciw Francyi i Napoleonowi. Ani cesarz Napoleon Polakom, z którymi się znosił, ani ci Polacy, to jest *Hotel Lambert*, nie dali nam po upadku kongresu, hasła do odwrotu. Tak dalece trudnem było ówczesnemu władcy Francyi rozstać się z zamiarem uczynienia czegoś dla Polski, tak dalece przeczuwał instynktownie, nie zdając sobie zapewne z tego dokładnej sprawy, że opuszczenie jej i stwierdzenie swej w tym względzie bezsilności, stanie się początkiem jego końca, bo zniweczeniem systemu narodowości, którym nad współczesnemi górował; górował bowiem nierównie więcej wpływem i siłą moralną, niż materyalną. Łudził się zatem jeszcze cesarz i tem samem pośrednio łudził nas, iż powstająca w skutku zgonu króla duńskiego, zeszłego 15 Listopada, sprawa Księstw Nadelbiańskich, wywołała antagonizmy, może starcia między rozbiorowemi mocarstwami, z których, w nowym kształcie, powstanie sprawa polska. Nie powstała z tych wypadków, powstał Bismark i cały dzisiejszy porządek rzeczy, oparty na wzroście potęgi niemieckiej, zmniejszeniu francuskiej, upokorzeniu Francyi, na usunięciu sprawy polskiej jako europejskiej.

Bismark, który w pierwszej chwili, kiedy wobec powstania polskiego, zawarł konwencyę między Prusami a Rosyą powodował się wrodzonym, Prusaka i junkra, instynktem, nienawiścią do wszystkiego co polskie, skłonnością do Rosyi, spostrzegł w biegu przedłużających się wypadków, jakie z nich dla siebie i państwa pruskiego wyciągnąć może korzyści, w całej pełni je wyzyskał i wzrósł niezmiernie za pomocą powstania polskiego, które nabrało było znaczenia europejskiego i trwałości w skutku konwencyi 8-go Lutego.

Tak zatem powstanie 1863 r. znacznie się przyczyniło do powodzeń, jednego z największych wrogów polskości i Polaków. Gdy się na oślep strzela, trafia się najczęściej we własne szeregi.

Z popiołów polskiego powstania, powstało dzieło Bismarka.

ROZDZIAŁ XII.

Opłakany stan kraju. *Rząd Narodowy.* Hasła. Zawieszenie *Czasu.* Stan oblężenia w Galicyi. Samozwańczy *Rząd Narodowy* w Warszawie. Oparcie mu się w Krakowie. Ostateczna rozmowa cesarza Napoleona z ks. Czartoryskim. Cesarz zaleca stanowczo zaniechanie powstania. Przemawiamy za zakończeniem powstania. Oświadczenia *Czasu.* Odsuwamy się od wszelkiego działania. Uwagi końcowe.

Gdy wielcy i mali, potężni i słabi, cesarz Napoleon i my, błądziliśmy w labiryncie złudzeń, bezpodstawnych już spekulacyj i rachub, wepchnięci weń wybuchem powstania, następnie mylnemi na położenie europejskie zapatrywaniami, co razem złożyło się na ową nieubłaganą fatalność, która wciąż pchała sprawę w głębszą przepaść; stosunki w krajach polskich pod panowaniem rosyjskiem, stawały się coraz opłakańszemi. Cierpiały i uginały się pod ciężarem i grozą teroryzmu *Rządu Narodowego,* i oddziałów powstańczych. Powstanie ani żyć, ani umrzeć nie mogło.

Im dłużej wlekły się te wypadki, tem przykrzejszemi się stawały. Omdlewała władza i siły *Rządu Narodowego,* jak tego sternika, który wśród burzy nie wi-

dzi już ratunku. Im jednak działanie było słabszem, tem mowa niektórych stawała się gwałtowniejszą. Teroryzm ich rozciągnąć się pragnął do wszystkiego, acz już niedaleko sięgał.

Wstrętnym jego wyrazem stali się żandarmi wieszający. Co za przestrzeń przebyta od bezbronnych w Warszawie demonstracyj.

Powstanie, raczej demonstracya zbrojna, słabo tylko stwierdzała się. Bosak (Hauke) wychowaniec szkól i oficer wojsk rosyjskich, związawszy się uczuciem ze sprawą polską, odznaczał się niezwykłą wytrwałością, których dowody składał do Kwietnia 1864 r.

Głównym argumentem było — iż nie należy psuć ducha — hasło, które od początku odzywało się, które znaczne na wypadki wywarło wpływ, bo na wszystkich dobrodusznych, uczuciowych, słabych i lękliwych. Im bardziej ułudną okazywała się nadzieja pomocy zewnętrznej, tem głośniej znowu wołano — iż naród na własne tylko liczyć winien siły — co sprawiało, że trwanie powstania ze środka, przemieniało się w cel. Coraz wyraźniej całe postępowanie opierało się na owem — jakoś to będzie — które w życiu naszem narodowem, tak przeważnym zawsze, niestety, było czynnikiem.

Oznaką zmiany stanowiska rządu austryackiego wobec wypadków, było zawieszenie na trzy miesiące *Czasu*, orzeczone 3 Grudnia; wyrok był prawomocnym, 14 Grudnia, przestał w dniu tym wychodzić; już 17 powstał z własnych popiołów, jako *Chwila*, dalej w tymsamym duchu i kierunku co pierwej występował, pod

Szukiewicza i moją redakcyą. Później powrócił do pierwotnego tytułu.

Ciągnął i wił się ogon powstania przez pierwsze miesiące 1864 r. Przyszło mi jeszcze stoczyć, niestety że nie z początkiem, ale z końcem owego zgubnego ruchu, walkę już jałową.

Doszły nas niedokładne wieści, że w Warszawie *Rząd Narodowy* tajny, aresztowaniami osłabiony, wywróconym został wewnętrznym zamachem, że miejsce jego zajęli zagorzalcy, chcący za pomocą *pieczątki* używać urojonej władzy i uwiecznić tajne rządy, przynajmniej ich pozór.

Rzecz zaś miała się istotnie tak, że jeszcze w końcu 1863 Kurzyna, zausznik Mierosławskiego, stworzył był w Warszawie Komitet rewolucyjny, na czele którego stał niejaki Brzozowski, w celu przeciwdziałania Traugutowi i jego *Rządowi Narodowemu*. Korzystając z coraz bliższego śledzenia i ścigania *Rządu Narodowego* przez policyę rosyjską, ów komitet rewolucyjny w pierwszym kwartale 1864 r. usiłował pochwycić władzę *Rządu Narodowego*, i oddał główne kierownictwo nad powstaniem Kurzynie, przebywającemu w Dreźnie; chciał się on jednocześnie narzucić Galicyi, tam, w myśl Mazziniego i Garibaldiego przerzucić powstanie. Rozchodziło się o to, czy Galicya i tutejsza organizacya narodowa, uznać mają ten komitet i dopomódz do przedłużenia zabójczego epilogu w sposób najszkodliwszy.

Nietylko przekonanie, ze ostatnia godzina wypadków się zbliża i potrzeba zasłonięcia przynajmniej Galicyi przed ich opłakanemi następstwami, powodowały mną, także przeczucie, że uznając ów komitet rewolu-

cyjny w Warszawie, ułatwimy i podamy rękę najgorszym, wstrętnym szaleństwom, bez najmniejszej tym razem wymówki wobec nas samych.

Przy coraz większej trudności znoszenia się z Warszawą, nie wiedzieliśmy dobrze, czy mamy do czynienia z nowym *Rządem Narodowym*, czy z jakąś samozwańczą władzą, jaką był istotnie ów komitet rewolucyjny. Mąciło to sądy wielu, zwłaszcza tych, którzy mniemali, że do końca należy uznawać warszawski *Rząd Narodowy*. Byłem przekonany, że *Rządowi Narodowemu*, złożonemu z podobnych żywiołów, występującemu z takim programem, poddać się nie można, że już nie istniała konieczność, uznania go, zresztą nie wiedząc dokładnie, domyślałem się, że to było jedno z tych wysileń pobocznego spisku, do których nawykliśmy byli. Znalazły się w Krakowie żywioły, prawdopodobnie rozbitki i reszki *Ławy*, które próbowały tu uchwycić część władzy, w imieniu owego komitetu, i które napierały, aby mu się poddać.

Jeszcze w lecie 1863 r., za wiedzą komisarza *Rządu Narodowego*, członkowie organizacyi *Ławy* urządzili byli w Krakowie rodzaj spisku, pod nazwą *Straż Narodowa* czyli *Gotowość do pospolitego ruszenia.* Miała ona na celu utrzymanie narazie demonstracyi zbrojnej w *Królestwie Polskiem*, w ten sposób, aby małemi oddziałami napadać na graniczne posterunki rosyjskie i cofać się zaraz do Galicyi. W razie zaś potrzeby *Straż Narodowa* przemienić się miała w pospolite ruszenie. Po upadku powstania zamierzała sobie zapobiedz prostracyi. Powstała z tego tylko nowa w Krakowie organizacya, po za Komitetem Zachodnim, która dawała

znaki życia, bruździła, chętnie się łączyła z wszelkiem skrajnemi w Warszawie żywiołami i zamachami. Między innymi, należał do niej ksiądz Kamiński, który potem przeszedł na staro-katolicyzm. Spisek ten wymagał teraz od nas uznania samozwańczego *Rządu Narodowego* i wypełnienia jego poleceń.

Rzecz była rozbierana i namiętne nad nią toczyły się rozprawy w licznych zebraniach. Nie szczędziłem zabiegów, aby zapobiedz przynajmniej końcowym wybrykom i stratom. Wciąż głos zabierałem, aby przeprowadzić moje zapatrywanie, iż z tą nieznaną nową władzą tajną, w żadne nie należy nam wchodzić stosunki, nawet starłem się wtedy, raz jedyny w życiu, z Zyblikiewiczem, którego ceniłem, kochałem, z którym następnie szedłem zawsze w najzupełniejszem do niego zaufaniu. Odgadywałem w poplecznikach mniemanego Rządu warszawskiego myśl szaloną, przeniesienia powstania do Galicyi. Nie wierzono mi, oskarżono o przesadę, o bojaźliwość. Nie wierzył Zyblikiewicz. Na szczęście, jeden z najzagorzalszych apostołów uznania owej tajnej władzy w długiej przemowie, dobrodusznie wygadał się z całym planem i w końcu oświadczył, że skoro oddziały powstańcze nie mogą się narazie utrzymać w *Królestwie Polskiem*, trzeba je przerzucić do Galicyi; że aby nie dać upaść sprawie, winny tu rozwinąć sztandar narodowy. Słowa te przekonały wszystkich tych, na których zależało mi, aby zrozumieli o co idzie. Wszystkim się rozwidniło w głowach, zdanie moje przemogło. Owego mniemanego nowego *Rządu Narodowego* w Warszawie nie uznaliśmy, ani weszliśmy z nim w stosunki. Był to pożądany początek końca,

naszego współudziału w wypadkach, było to oświadczeniem się, przeciw nieprzerwalności spisku. Zostałem podobno, za moje zachowanie się skazany na śmierć, przez jakąś samozwańczą władzę. Ale już wtedy stępiały sztylety.

Zachowanie się to moje nie o wiele zmniejszyło klęskę ogólną, ale tym razem miałem poczucie, że spełniłem obowiązek.

Rząd austryacki ogłosił w Lutym 1864 stan oblężenia w Galicyi. Gdyby to był uczynił w Styczniu 1863 r., byłyby wypadki inny wzięły obrót, w każdym razie innem byłoby postępowanie tych, których zachowanie się i działanie wraz z własnem przedstawiłem. Nietylko bowiem z nierównie większą trudnością byłaby się Galicya stała podstawą operacyjną powstania, ale także jeden z powodów złudzeń, jedna z przyczyn, dla których ludzie rozsądni i politycznie wykształceni w Galicyi przyłożyli rękę do powstania, byłaby nie istniała. W samej bowiem rzeczy, zachowanie się władz austryackich, które wydawać się musiało dwuznacznem i czasem przybierało pozory pobłażliwości, a najczęściej było bezskutecznem wobec pomocy niesionej z Galicyi powstaniu, nietylko ułatwiało ją, temsamem przedłużanie powstania umożebniało, ale także budziło nadzieję i przypuszczać pozwalało rozsądnym w kraju ludziom, *Hotelowi Lambert*, nawet cesarzowi Napoleonowi, że Austrya, która jedna bezpośrednio, czynnie, praktycznie rozwiązać mogła sprawę polską, podniesie ją, bo o jej załatwieniu przemyśliwa i ze sposobności korzystać pragnie. W przeciwnym razie, natychmiastowego a stanowczego postępowania władz austryackich

w Galicyi, ogłoszenia stanu oblężenia, nietylko pomoc niesiona powstaniu' byłaby była uniemożebnioną, byłoby ono pozbawionem podstawy, ale rozwiałyby się zaraz wszystkie złudzenia, nie powstałyby mylne rachyby, a cała prawda lekkomyślności i szaleństwa beznadziejnej walki zbrojnej, byłaby w swej nagości stanęła przed oczyma wszystkich i wtedy znaczna i znacząca część społeczeństwa polskiego nie byłaby umaczała rąk w zgubnem, bezrozumnem przedsięwzięciu; rozmiary powstania mogłyby być ograniczonemi do burdy, do dzieła spisku, w którem tylko część narodu wzięłaby chwilowo udział; niezawodnie nie byłoby przyszło do złowrogiej interwencyi dyplomatycznej; może po kilkotygodniowem zamięszaniu i potyczkach, W. ks. Konstanty i Wielopolski byliby uratowali doniosłe instytucye narodowe przez ostatniego stworzone, i oparli je na uspokojonym gruncie, w atmosferze oczyszczonej ze złudzeń i mylnych rachub. Wtedy cesarz Napoleon, nie naraziwszy się w sprawie polskiej Rosyi, byłby zapewne mógł dalej wywierać zbawienny wpływ na jej korzyść, przez swoje niezamącone z Petersburgiem związki. Ale właśnie dlatego polityka — o której powiedział Mickiewicz, że: „Jest to okropność“ — nie pozwalała ogłosić w Galicyi stanu oblężenia na początku powstania, nakazywała zaprowadzić takowy pod jego koniec.

Przypisywano wtedy stan oblężenia wpływom i radom kilku obywateli galicyjskich. Było to nawet w tej spóźnionej chwili jedynem wyjściem, pożądanem i dla Galicyi i dla *Królestwa Polskiego* a jeżeli prawdą jest, że owi obywatele przyłożyli rękę do ogłoszenia

stanu oblężenia, niezawodnie dobrze postąpili, i spełnili obowiązek. Żałowaćby tylko przyszło, że bardzo nieliczni ludzie, którzy twierdzili, że nigdy żadnego nie żywili złudzenia, że nie wierzyli, aby pomoc obca i wojna przyszły na ratunek i przyniosły naprawę popełnionego błędu, nie przedsięwzięli w Wiedniu usiłowań w celu ogłoszenia w Galicyi stanu oblężenia, w samym początku powstania.

Jednak w owych czasach wpływy obywateli galicyjskich w Wiedniu były zbyt jeszcze małemi, zaufanie do nich zbyt słabem, aby w tak ważnych okolicznościach, głos ich nie był podejrzany, aby został wysłuchanym.

Jenerał Anenkow, twórca kolei azyatyckich, który wtedy był adjutantem hr. Berga, wysłany został przez niego, potajemnie, do namiestnika hr. Mensdorffa z przedłożeniem, iż dopóki stan oblężenia nie będzie ogłoszonym w Galicyi, nie podobna będzie położyć końca powstaniu, to jest pojawieniu się sporadycznemu oddziałów, które wprawdzie nic zdziałać nie potrafią, lecz dawać będą powód do rozlewu krwi, zniszczenia i ciągłego niepokoju. Hr. Mensdorff opatrzył listem do ministra spraw zewnętrznych hr. Rechberga, młodego oficera rosyjskiogo, ten udawszy się do Wiednia, przedłożył ministrowi te same uwagi, to samo żądanie hr. Berga. Stało mu się zadość. Stało się zadość pod wpływem zmiany położenia, wspólnego już Austryi z Prusami działania w sprawie księstw Duńskich i misyi Manteufla w Wiedniu, w skutku której gabinet wiedeński zwrócił się stanowczo w sprawie polskiej, ku Prusom, względnie ku Rosyi.

Stan oblężenia ogłoszony w Galicyi 29 Lutego 1864, nie położył bezpośrednio końca, ani powstaniu, ani dawanej mu pomocy. Raz w ruch puszczone szalone koło, szło nadanym mu pędem, ale szło coraz słabiej, omdlewająco, już z nielada utrudnieniem.

W Paryżu, przyjaciele nasi tak dalece wciągnięci byli w politykę złudzeń, że nie zrozumieli użyteczności stanu oblężenia w Galicyi i za złe wzięli rządowi austryackiemu to postanowienie, któremu tylko spóźnienie zarzucić można było. Polacy, mający stosunki towarzyskie z księstwem Metternich, przestali bywać w ambasadzie austryackiej. Francuski zaś minister spraw zewnętrznych, Drouyn de Lhuys, uskarżał się przed ks. Metternichem, z powodu stanu oblężenia w Galicyi, co dowodzi, że uznawał jeszcze potrzebę trwania powstania, jeszcze snuł kombinacye w związku z wypadkami w Polsce.

Wreszcie cesarz Napoleon, wobec niepodobieństwa rozwiązania zadania, przyjął 18 Kwietnia ks. Czartoryskiego, z którym od dawna nie był się widział, aby mu oświadczyć, że wszystko w sprawie polskiej skończone i wyraźnie a stanowczo zalecił, zaniechanie powstania, nie widząc już w niem nic innego, prócz źródła klęsk i ruiny kraju.

Wiadomość o tej rozmowie cesarza z ks. Czartoryskim, natychmiast została nam przesłaną. Natychmiast zawiadomiliśmy o niej kogo należało, a postępując odpowiednio do naszego punktu wyjścia w wypadkach, oświadczyliśmy, że do dalszego przedłużania powstania ręki nie przyłożymy. Uszczuplone aresztowaniami *grono krakowskie*, usunęło się od wszystkiego.

Komitety galicyjskie rozwiązały się; zachodniego ostatnim sekretarzem był August Gorayski; w jego rękach pozostały pieczątki, które oddał jakiemuś ostatniemu komisarzowi *Rządu Narodowego.*

Jednocześnie *Czas* zaznaczył zakończenie powstania.

List mojego ojca z 20 Kwietnia, umieszczony w tym dzienniku, mówił:

„Sprawa meksykańska nad wszystkiemi innemi górę wzięła; system pokojowy przemógł. Cesarz, zapowiadając pokój bez zapowiedzenia rozwiązania spraw toczących się, odwołuje niejako to, co wyrzekł w dniu 5 Listopada. W mowie tronowej stawiony był do wyboru kongres, lub wojna koniecznością sprowadzona. Dziś niema mowy ani o kongresie, ani o wojnie. Nie stanowcze, trwałe załatwienie, spraw europejskich, ale utrzymanie pokoju, stało się celem. W słowach dzisiejszych jest wyznanie braku dostatecznej woli — albo też niemocy w poparciu spraw, z którychby wojna wyjść mogła.

Cesarz Napoleon, rozmiłowawszy się w swojem dziele meksykańskiem, aby je wznieść i utrwalić, poświęcił mu inne zamysły i przedsięwzięcia, w które był zawsze, dziś zawiedzioną wiarę, rozbudzał. Nie należy w tej chwili w słowach jego śledzić tajemnych myśli, głębszych zamiarów. Odgadywania i domysły mogłyby w błąd wprowadzić. Wprawdzie doświadczenie z przeszłości zdawałoby się upoważniać do nich, bo nieraz wyrazy jego były tylko osłoną sprzecznych z niemi przygotowujących się czynów, ale wówczas inne były okoliczności, inny może człowiek.“

Czas wreszcie pisał: „Wiadomości, które nas doszły z Paryża, nie pozwalają wnosić, aby podczas układów prowadzonych przez lorda Clarendona, polityka francuska odniosła zwycięstwo w duchu programu 5 Listopada; przeciwnie, z wiadomości tych wypływa, że raczej Francya poczyniła ustępstwa Anglii w kwestyi duńskiej, aniżeli Anglia nachyliła się do myśli cesarza Napoleona, przy której dotąd uporczywie obstawał. Zbliżenie się Francyi do Anglii i przystąpienie do konferencyj londyńskich, nastąpiło, jak się zdaje, w skutku zgodnych doniesień o silnem porozumieniu się innych mocarstw. Ks. Gorczakow miał, jak nam donoszą, rozmowę z lordem Napier, ktora także wywarła pewien wpływ. Wice-kanclerz rosyjski oświadczyć miał, że we wszystkich sprawach porozumienie się z Zachodem jest podobnem; wyjąwszy jednej, w której Zachód połączone znajdzie siły przeciw sobie; szczególniej zaś nie będzie dozwolone Francyi jej się dotknąć.“

Po tem ostrzeżeniu, *Czas* dodawał: „Dowiadujemy się z dzienników, że w dzień odjazdu lorda Clarendon z Paryża, ks. Władysław Czartoryski otrzymał posłuchanie u cesarza Napoleona, i że niebawem wyjedzie na dłuższy czas do Rzymu.“ Na drugi dzień donosił: „W sobotę 23 odezwały się pierwszy raz dzwony w kościołach warszawskich, jakoteż organy. Z ambon odczytano list pasterski arcybiskupa Felińskiego, pisany z Jarosławia, w którym naczelnik Kościoła polskiego mówi, iż nie spodziewając się wrócić rychło z wygnania, nie chce dłużej, aby z jego przyczyny Kościół doznawał uszczerbku w obrzędach swoich.“ Jednocześnie *Czas* zapisywał: „Z Krakowskiego donoszą, że przy

końcu zeszłego tygodnia, Bosak opuścił to województwo i udał się zagranicę."

Z ustaniem wszelkich widoków obcej pomocy, z wyraźnem i stanowczem oświadczeniem Napoleona III, na woli i zamiarach którego oparliśmy nasze postępowanie, że dalsze trwanie powstania jest bezowocnem, znikał dla nas jedyny powód popierania go i brania udziału w wypadkach.

Dogorywające powstanie, ograniczone do paru oddziałów i żandarmów wieszających, skonało. Z uwięzieniem w Kwietniu Traugutta i jego kolegów, znikł *Rząd Narodowy*, usiłowania przedłużania jego w kraju istnienia, rozbiły się o niechęć ogółu i represyę rządu rosyjskiego a rozpłynęły się w powszechnym upadku i bezmiernej klęsce. Przeniosły się zagranicę, najprzód do Paryża, gdzie pokuszono się o utrzymanie nieprzerwalności *Rządu Narodowego*, już więcej śmiesznej, niż szkodliwej. Zakończyły się wypadki 1863 r., rozpoczęły ich zabójcze dla narodu polskiego skutki.

Dlaczego cesarz Napoleon dopiero na wiosnę 1864 r. wypowiedział słowa, które—wiedział o tem — musiały być rozstrzygającemi i obowiązującemi dla tej przynajmniej części społeczeństwa polskiego, z którą bezpośrednio się znosił? Pozostanie to zagadką, której odgadnięcia szukaćby trzeba w przepaściach natury ludzkiej i w tajemnicach osobistości tego monarchy niezwykłego, niepospolitego, który przerachował się i w wierze w swoją, nieraz pomyślną gwiazdę, i w szlachetnych swoich zamiarach i w środkach do wzniosłych celów. Zachowanie się Napoleona III, stało się przyczyną naszego i wielu innych w wypadkach 1863 r.

postępowania, pogłębiło przepaść, w którą wtrąconą została sprawa polska, a z której cesarz pragnął ją wydobyć; podczas gdy jednocześnie to zachowanie się Napoleona III, przyniosło uszczerbek jego stanowisku, stało się jednym z powodów późniejszych klęsk i upadku.

Zaniechanie nieszczęsnego działania, nie zmniejszyło dla nas okropności położania. Usposobienie nasze ówczesne, tylko wyrazem „rozpacz“ da się określić. Teraz zrozumieliśmy, wobec bezowocności naszych usiłowań, ich zgubność, czuliśmy, iż zapóźno kładziemy im koniec, aby w najmniejszej mierze naprawić złe, wyrządzone sprawie i krajowi. Rozpacz tem silniej opanowywać nas poczęła, że ją dotąd przygłuszała gorączkowa działalność, teraz budziła bezczynność, i nic dziwnego, że niejednemu wobec samobójczego zamachu narodu, nasuwały się samobójcze myśli.

Nie jest moim zamiarem zmniejszać winy własnej i moich przyjaciół. Przeciwnie, chciałem wykazać, jak dalece niedoświadczenie w sprawach publicznych, brak dostatecznego wyrobienia charakteru i sądu, zwłaszcza i przedewszystkiem wpływ błędnych, acz szlachetnych wyobrażeń, w których się jest wychowanym, zgubnemi stać się muszą we wszelkiem działaniu politycznem, jak w niem dobre i czyste zamiary nie wystarczają, jak wychodząc z fałszywego punktu widzenia, niepodobna dróg sprostować i do celu dojść. Chciałem wykazać, że są przedsięwzięcia tak dalece szalone, iż wszelkie w nich rachuby okazać się muszą mylnemi, a rozsądne usiłowania stać się zgubnemi; oraz, że jest bezrozumnem chcieć do nich stosować prawidła rozumu. Przedsięwzięcia takie, rozbijają się o niepodobieństwo,

a kto niepodobieństwa nie rozpoznał, ten już zawinił.

Ale nasz, to jest mój i moich przyjaciół udział, w winie ogólnej, znajduje jeżeli nie usprawiedliwienie, to wytłómaczenie w zbiegu okoliczności, w naszych stosunkach ówczesnych i w winach i w błędach innych; nietylko w pomyłkach naszych rodaków, tych z któremi byliśmy złączeni tożsamością przekonań i zapatrywań, węzłami wspólnych usiłowań, a którzy lepiej od nas sądzić mogli o położeniu; ale także w pomyłkach potężnych tego świata, mężów stanu i polityków, zwłaszcza Napoleona III. Postępowanie nasze nie było bezmyślne, ani—że się tak wyrażę — nasza pomyłka bezpodstawną, bo następstwem tylko pomyłki innych, o których sądzić mogliśmy, iż pomylić się nie powinni. Podczas gdy w najmniejszej mierze nie ciąży na nas wina błędu głównego, powstania, nasza ogranicza się do tego, iż chcieliśmy ten błąd główny, którego doniosłość doskonale ocenialiśmy, naprawić, wyzyskując jedyne widoki powodzenia, zgodne z rozsądkiem, acz ostatecznie zawiedzione, nie pozbawione istotnych warunków bytu. Widoków tych nie wytwarzaliśmy sztucznie; gdy się same pojawiły, zamiast je odepchnąć, uchwyciliśmy się ich, jako deski zbawienia. Skutek okazał, że na tem polegała nasza pomyłka. Skutek pozostał wyrokiem; powinien się był stać nauką. Pomyłką było liczyć na obcą pomoc, ale nie szaleństwem; pomoc ta zawiodła, ale do bezsilnych środków zaliczoną być nie mogła. Nie danem nam było złego naprawić, lub ze złego korzyści wyciągnąć—jak pragnęliśmy i mniemaliśmy — przeciwnie, naszym współudziałem zwiększyliśmy rozmiary złego, nie byliśmy jego spraw-

cami. Bezrozumu nie popełniliśmy; przypuszczając, że z niego da się coś rozumnego wydobyć, dopuściliśmy się błędu i znacznie przyczyniliśmy się do szkody ogólnej; dlatego twierdzę, że skutek stał się nietylko wyrokiem, ale i nauką. Niech pierwszy pozostanie nieodwołalnym, byle druga strąconą nie została.

Dziś, kiedy tak długie lata przedzielają nas od tych wypadków, powiedzieć mogę we własnem, mniemam i w imieniu tych moich przyjaciół, z którymi wtedy i później szedłem w sprawach publicznych ręka w rękę, którzy pozostali sobie wiernymi, iż postępowaliśmy pod wpływem przekonania, że naprawić zdołamy wielkie złe i wielki błąd powstania, że powodowaliśmy się miłością sprawy i narodu; że strzegliśmy się porywów i lekkomyślności, przecież porwani zostaliśmy i staliśmy się lekkomyślnymi w skutku błędnych rachub innych, potężniejszych od nas. Osobistych widoków naszem zachowaniu się nie było.

Natura ludzka przecież jest skomplikowaną i słabą; przedstawiać ją jednostronnie, ani jest zgodnem z prawdą, ani nauczającem. Dlatego—nie mówiąc już o innych — przyznam co do mnie, że obawa pozostania po za działaniem narodowem, od chwili, jak ukazały się rozsądne widoki powodzenia, bo oparte na zewnętrznej pomocy, podziałała na mnie; że podziałała sposobność odznaczenia się w służbie ojczystej na obszerniejszem polu, w większym niż dotąd stylu; że podziałały rachuby rozwiązania sprawy polskiej już nie w ciasnych, ale w szerszych rozmiarach. Przyznam nareszcie, iż pomimo, że w ciągu wypadków mniej od innych miałem może złudzeń, a parę razy zdawałem się jaśniej

widzieć; dlatego nie zatrzymałem się, bo nie miałem już odwagi śmiało i stanowczo zajrzeć prawdzie w oczy, nie z błahej obawy przyznania, iż się pomyliłem, ale dlatego, że wyjścia już nie widziałem, a odłączać się od moich przyjaciół w tem położeniu nie chciałem; ani rozstawać się nawet z ułudami.

Wyznaję to wszystko, aby okazać niebezpieczeństwo w polityce, zwłaszcza w położeniach wyjątkowych, pobudek mających swoje źródło nie w rozsądku i obowiązku, nie w poczuciu tego, co możliwe, lecz w wyobraźni, w zachciankach i miłości własnej.

Ani na moich przyjaciół, ani na mnie, nie wywarła wpływu obawa niepopularności, lub sztyletów.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

TREŚĆ.

Str.

ROZDZIAŁ I.

ROZDZIAŁ II.

ROZDZIAŁ III.

ROZDZIAŁ IV.

ROZDZIAŁ V.

ROZDZIAŁ XII.




Stanford University Libraries
3 6105 014 992 825

